

K A T A R Z Y N A

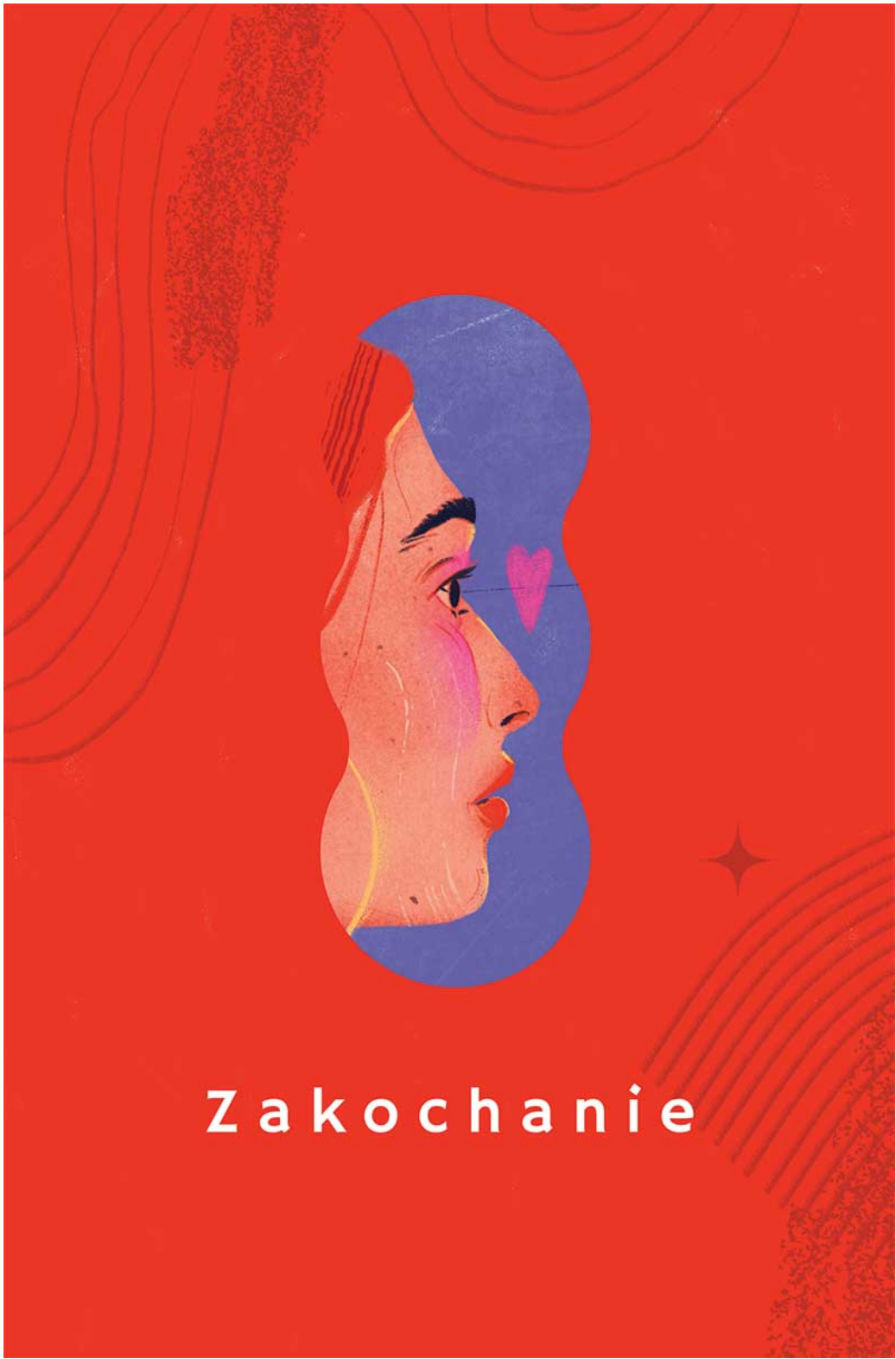
NOSOWSKA

N I E M Y L I Ć Z M I Ł O Ś C I Ą



K A T A R Z Y N A
NOSOWSKA
N I E M Y L I Ć Z M I Ł O Ś C I Ą





Zakochanie

Maciek z grupy Biedronek był pierwszy. Błękitnooki, z aureolą precyzyjnie poskręcanych pszenicznych loczków tworzących absolutnie zachwycający skalp. Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie on, dlaczego dopiero w wieku pięciu lat w grupie Biedronek, bo przecież w Misiach widywałam go codziennie i też miał błękitne oczy pod blond loczkami. Pewnego dnia pojawił się nad Maćkiem snop światła, wyłuskał go spośród reszty i uczynił dla mnie widocznym. Naraz pękły mi wewnątrz wszystkie fiołki z chemią, która rozlała się po zagnieceniach mózgu i spłynęła do gardła, sprawiając, że stałam się niema, przepłynęła przez równinę klatki piersiowej, zapierając dech, przez brzuch, wiążąc w nim supeł, zalewając miejsce służące dotąd do sikania falą gorącą, i dotarła do stóp, unosząc je lekko nad wykładzinę na przedszkolnej podłodze. Przestałam być sobą. Maciek zamieszkał w mojej głowie na stałe. Mama nie zdawała sobie sprawy, że odbiera po pracy i prowadzi za rękę do domu dwójkę dzieci. Gdyby w tamtych czasach mówiło się o narkotykach, na bank usłyszałabym: Co się z tobą dzieje?! Bierzesz jakieś narkotyki?! Przeszukano by mi fartuszek, a brygada antynarkotykowa splądrowałaby mój pokój, rozpruła miśki, szukała towaru w głowach lalek.

Wolna wola? Skąd. Całkowita bezwola. Mało tego, blondas nie wykonał żadnego ruchu w moją stronę, nie posłał znaczącego spojrzenia, nie wyrył na blacie stolika nieudolnego „K” w serduszku, nie podbił w czasie zabawy plastikowym autkiem, nie oddał swojej porcji budyniu z sokiem podczas podwieczorku. Nic do mnie nie mówił, ba, prawdopodobnie mnie nie widział, bo nie oświetlił mnie dla niego snop światła. No może raz mnie dostrzegł, gdy porzygałam się zupą owocową. Spokojnie umierałam sobie z zakochania przez cały sezon w Biedronkach i pierwsze miesiące w Marynarzach. Obserwowałam ukradkiem, marzyłam przed snem. Teraz nie jestem w stanie przypomnieć sobie treści marzeń, scenariusza fantazji. Nie miałam przecież żadnego doświadczenia w tej materii, to nie był moment na fantazje erotyczne, choć może jakiś pocałunek w policzek mogłam sobie wyobrażać i przewijać wciąż od początku, raz za razem oblewając się rumieńcem.



O tym, jak zakochanie się skończyło, wspominałam w poprzedniej książce, nadmienię tylko, że serce miałam w ruinie, bo na Dzień Kobiet tulipana i laurkę dostała Magda. Maciuś. Chuj Maciuś Pierwszy.

Przeszło mi, bo prawie zawsze przechodzi. Prawdopodobnie wtedy w główce zakodowałam, że zakochanie to haj, który kończy się bolesnym zjazdem, że choć odległość stóp od wykładziny jest ledwie widoczna dla postronnych, upadek z takiej wysokości też boli niemiłosiernie.

Zakochanie, na pewno to dziecięce, w pierwotnej postaci jest bezwarunkowe. Zakochanie rozpoznajemy, gdy fiołki z chemią zostaną stłuczone, a zawartość spłynie z góry do dołu, wprawiając każdą pojedynczą komórkę w dygot, wywołując szczękościsk, utratę apetytu, przyspieszone tętno, uderzenia gorąca, chroniczny *standby* aż do bezsenności, dekoncentrację z jednoczesnym hiperfokusem na obiekcie, znaczne ograniczenie pola widzenia, upośledzenie słuchu, stany zawieszenia z momentami całkowitej utraty kontaktu z rzeczywistością. Żaden z wymienionych objawów, by wystąpić, nie wymaga od nas kontaktu werbalnego ani fizycznego z obiektem, nie jest konieczne, by obiekt miał świadomość stanu, w jakim się znajdujemy, ani też tego, że zamieszkuje naszą głowę, żeby nie powiedzieć, że jest tam uwięziony. Jeśli nie znamy obiektu osobiście, może się okazać, że w naszych fantazjach posługuje się zupełnie innym niż w realu zasobem słów. I tak na przykład uczeń zakochany w profesorce, a mający skromny wokabularz, wyobrażając sobie ich pierwszą rozmowę, powie: Zabujałem się w tobie maks. A ona odpowie: W szoku, bo ja w tobie też w chuj. Jeśli obiektem zakochania studenta wrażliwca jest mało czytana fanka *Warsaw Shore*, to w fantazji o pierwszej rozmowie on wręczy jej w milczeniu kamyczek wylizany przez bałtyckie fale w kształt serca, a ona spuści nieśmiało powieki, podniesie je po sekundzie i łagodnym jak muzyka relaksacyjna głosem powie: Oto kończy się rozpacz samotności; jesteś, nareszcie jesteś.

Lista objawów oczywiście powiększa się znacznie, gdy zakochanie jest obojętne, a kontakt istnieje w rzeczywistości. I tak mamy: nierealistyczną ocenę własnych możliwości fizycznych (próby przenoszenia gór, dojścia na koniec świata, chęć noszenia obiektu na rękach do końca życia), szastanie niemożliwymi do spełnienia obietnicami, wrażenie przebywania poza nawiasem ludzkości, gadulstwo, pozerstwo, tryb „demo” niewiele mający wspólnego ze stanem faktycznym, łatwość przemilczania prawdy i skłonność do wszelkiego naddawania.

Zakochanie to nie jest decyzja. Bóg jeden wie, jaki jest klucz, dlaczego to właśnie ta, a nie inna osoba. Ile takich osób docięża planetę za naszego życia, bio-

rać pod uwagę wszystkie kontynenty? Czy ci ludzie, ustawieni w szeregu, opasaliby Ziemię? Czy wypełniliby stadion?

W prawdziwych związkach byłam pięć razy, a zakochana dwadzieścia cztery, nie licząc tych gości od związków. Chodzi o stłuczone fiołki i dygot komórek, licząc od narodzin. Prawie żaden z obiektów nie miał i nie ma pojęcia, że był przyczyną mojej niepoczytalności, nie wie, że na zawsze znalazł schronienie w tekstach piosenek. Zapomniałam policzyć obiekty z plakatów, filmów i bajek, a to między innymi: Janek z *Białego delfina Uma*, Sindbad Żeglarz, Janek Kos, Kurt Cobain, ten książkę z *Bridgertonów*, Emil Cioran... Warto zauważyć, że urodowo, charakterologicznie, zawodowo, wiekowo – od Sasa do Lasa. Biorąc pod uwagę Janka od delfina i Sindbada – nie musiały nawet być trójwymiarowe.

Czy zakochanie to kategoria „przekleństwo”, czy można z niego uszczknąć trochę sensu? Dziś myślę, że jest coś pięknego we wpatrywaniu się w dal lub ciemność, wylewaniu łez i słuchaniu przy tym muzyki. Fajnie tworzyć na tym stuffie. Fajnie czuć całe ciało, każdy nerw. Czy fiołki tłuką się i na powrót ustawiają w rzędzie do końca? Do śmierci? Sprawdźmy. Najważniejsze, by nie mylić tego z MIŁOŚCIĄ.



Obsesja

Obsesja to stan, w jakim człowiek zmienia się w balon wypełniony helem, ulatuje wysoko w stronę błękitu, a jedyne, co go łączy z ziemią, to sznurek przywiązany do szyi innego człowieka, który na ziemi zwyczajnie żyje. Ustaliliśmy już, że zakochanie ludzkość przypomina fazę narkotykową i o ile takie zwyczajne jest jak stan po kokainie, piksach albo mefedronie (zanim pojawi się paranoja), o tyle w przypadku obsesji odklejka sięga zenitu i jest jak stan po dragu, który sprawia, że drzewa oddychają nam pod dłonią, Jezus w rajstopach matki siedzi na parapecie i proponuje, by razem przefrunąć się po okolicy, a szwadrony szwoleżerów odzianych w dresy Adidasa próbują lancami odwrócić wir wody spuszczonej w kiblu, z pieśnią *Dumka na dwa serca* na ustach. W pierwszym przypadku zdrowy rozsądek nakazuje ograniczone zaufanie do siebie, w drugim zaś człowiek staje się po prostu niebezpieczny; na maksa niebezpieczny. Płeć nie gra tu roli, myślę, że wiek również. Spektrum szaleństwa i absurdu podejmowanych w amoku działań jest porażająco szerokie.

Zaczyna się niewinnie. Odpowiadasz uprzejmie na „dzień dobry” mniej lub bardziej obcemu, potem przychodzi od niego (trochę się dziwisz, skąd ma numer) miły esemes, znajdujesz kwiaty za klamką u drzwi, podarunek z dedykacją, szukasz w sklepie monety do wózka, a obcy pojawia się znikąd i ci ją wręcza, śle dwadzieścia esemesów, potem dwieście, pisze na wszystkich możliwych komunikatorach, wyznaje miłość, dziękuje za znaki, jakie mu rzekomo wysyłasz. Zdarza się, że nawet na tym etapie nie orientujesz się, że coś tu jest grubo nie tak, i myślisz, że to, co się odbywa, jest całkiem urocze, choć nie czujesz nic szczególnego, a na pewno zakochania.



Bywa, że obcy nie jest obcy. To ktoś, kogo znasz, i traktujesz te zachowania jak staranie się o ciebie, jak wyrafinowaną i pełną zaangażowania formę uwodzenia. Masz dyskomfort, ale jesteś za dobrze wychowana, zbyt samotna albo

przestraszona, by na komplementy i kwiaty odpowiedzieć stanowczym: Nie życzę sobie.

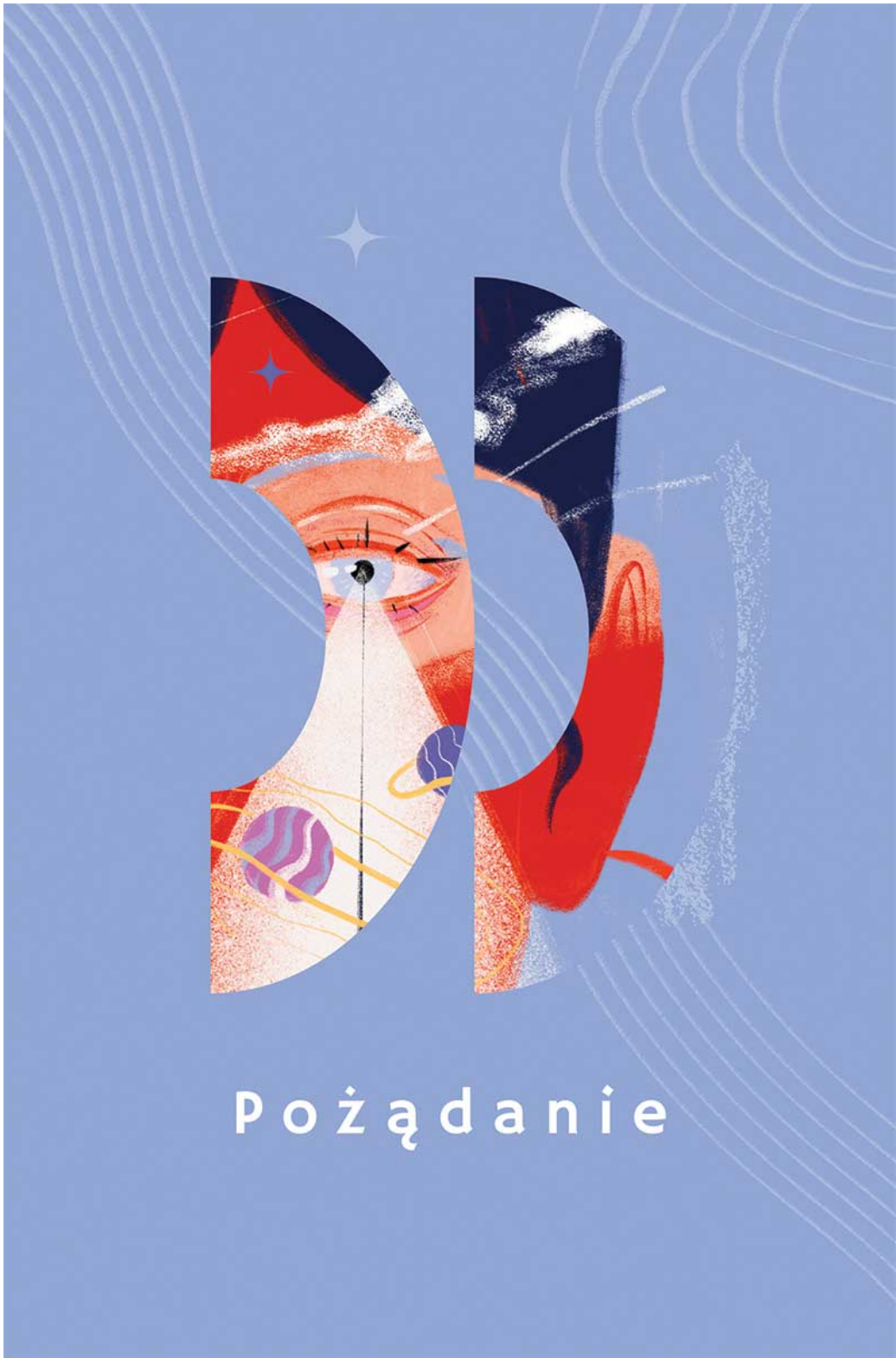
A może koleżanka z pracy albo przyjaciółka żony prosi cię o spotkanie, bo ma problemy z facetem. Służysz pomocą, bo chcesz, by świat cię dobrze zapamiętał, a babka staje się coraz bardziej nachalna, nie wspomina już o facecie, z kopa rozwala twoje granice, jej obecność zaczyna ci towarzyszyć jak odtwarzana w nieskończoność w głowie piosenka, której nawet nie lubisz.

Po fazie miłej, jeśli brak wymyślonej wcześniej w chorej głowie reakcji, zawsze następuje alchemiczna przemiana miłości w zemstę. I zaczyna się zastraszanie, szantaż emocjonalny i ten z filmów kryminalnych – wypisywanie do twoich bliskich, gotowanie ukochanego królika twojej córeczki, wystawianie pod twoim oknem, przebijanie opon, preparowanie dowodów na gwałt, atak na drogich twemu sercu, aż po „zabiję się” i ostatecznie „zabiję ciebie”.

Skojarzenie z uzależnieniem jest nadto wyraźne. Są ludzie, którzy napiją się wina do obiadu i nie prosząc o dolewkę, wstaną od stołu, ale są tacy, którym nie chodzi o posiłek, tylko o wino, i nawet jeśli w końcu wstaną, to butlę będą nosić ze sobą. Tacy, którzy nie doświadczają momentów trzeźwości i nie ma znaczenia nic, tylko picie, żłopanie, obsesja. W zakochaniu ktoś wchodzi ci do głowy, ale trzeba być bardzo czujnym, by wzdychając do tej osoby i marząc o niej, nie przekroczyć granicy, za którą robi się mrocznie jak w alternatywnej rzeczywistości *Stranger Things*.

Zastanawiam się, co powoduje, że dziwne typy biorą nas na celownik. Nie jestem specjalistką, ale myślę, że zawsze chodzi o szczelinę, przez którą łatwo przeniknąć. Musi być miejsce, w którym splot ochronny jest luźniejszy albo go nie ma. Jest głód. Głód uwagi, potwierdzenia, że jesteśmy coś warci, że mamy w sobie to, co zawoła drugiego człowieka i wprawi go w zachwyt, bo nas nader często niewiele w sobie zachwyca. Problem polega na tym, że chcielibyśmy wziąć same smakołyki, sprawując kontrolę nad scenariuszem wydarzeń, ewakuować się najedzeni. Jednak obsesjonaci najpierw sypią pojedyncze ziarna, by w końcu włożyć nam do gardeł rury, przez które pompują karmę bez opamiętania, dławiąc nas na śmierć. Jakby chcieli uzyskać odpowiednik *foie gras*.

Dlatego uważaj i systematycznie repasuj warstwę ochronną albo uwierz, że nie potrzebujesz nikogo, by się sobą zachwycić.



Pożądanie

Ponoć przed nami kroczą feromony. Trwamy bez ruchu, a one – podstępne, bo niewidzialne – już się ładują do nozdrzy stojącej ładnych parę metrów dalej osoby, by poinformować o naszym istnieniu. Feromony niczym akwizytorzy napadają na klienta i prawie przemocą chwytają jego uwagę, by rozpocząć zachwalanie towaru. Są jak linka rozciągnięta między nami a cudzym nosem, po której podąży ku nam to pierwsze spojrzenie.

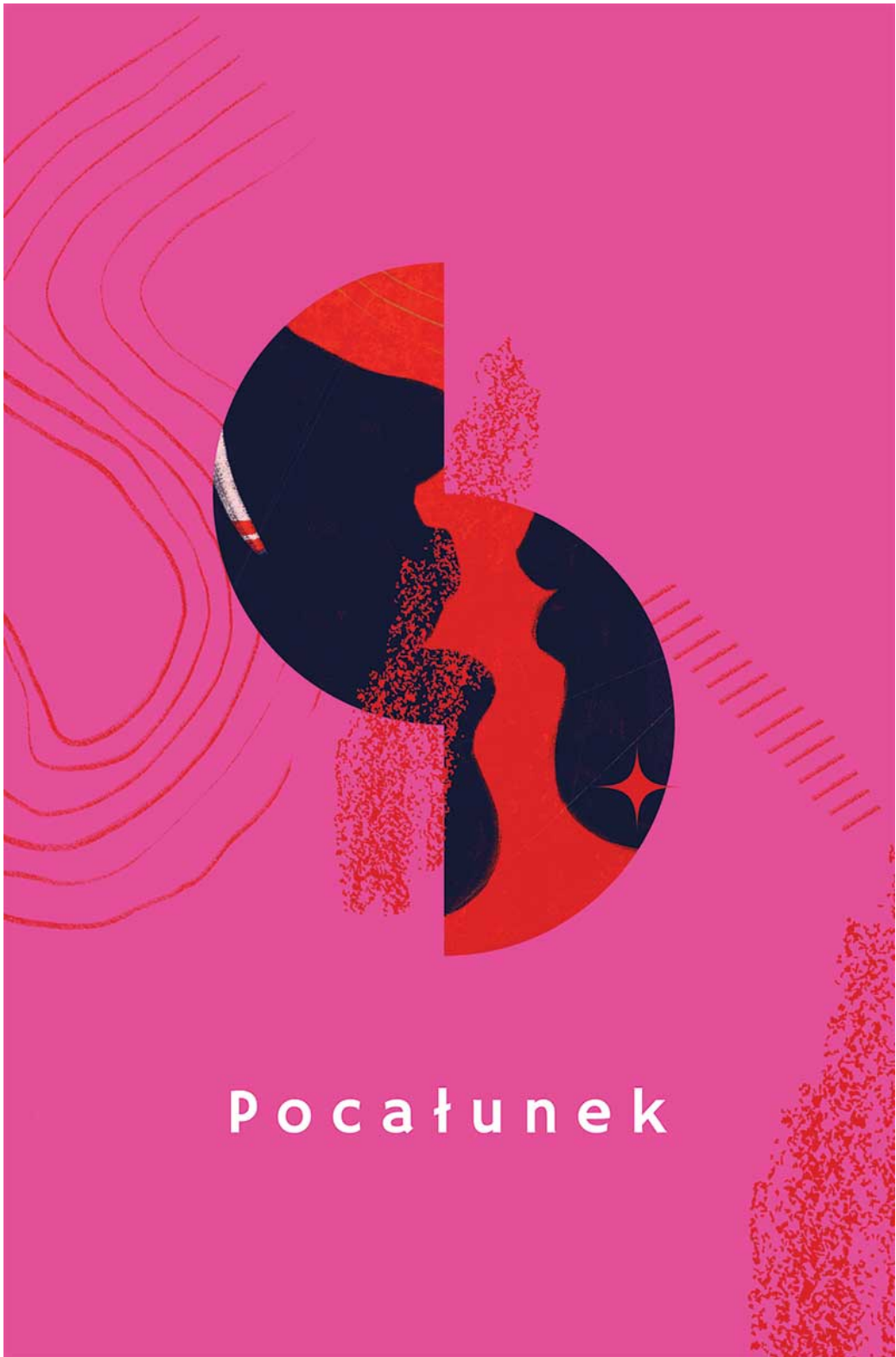
Może rzeczywiście wszystko zaczyna się od ruchu niewidzialnych przedskoczków. Jedno jest pewne – musi powstać jakiś impuls. Coś, co odpala pożądanie. Dla mnie to spojrzenie. Nie takie zwykłe, codzienne. To jest jak parada planetarna, gdy ciała niebieskie ustawiają się w jednej linii, tylko w tym przypadku idealnie nakładają się na siebie źrenice oczu dwóch osób, by synchronicznie się poszerzyć. Na ułamek sekundy zapada wtedy cisza, wszystko wokół zamiera w stopklatce, są tylko te dwie osoby i jedna na moment wpada w szeroko rozwarte źrenice drugiej. Tylko tyle i aż tyle. Potem gwar powraca, a zawieszona chwilę temu w powietrzu kulka papieru ląduje w koszu. Coś się jednak zmieniło. Te dwie osoby już siebie widzą, szukają się wzrokiem, przypadkowe dotknięcie podczas przekazywania sobie dowolnego przedmiotu wywołuje mikrowyładowanie elektryczne, zwyczajne słowa zdają się skrywać dodatkowe znaczenia, a uśmiechy zawierają lisi rys. Nie jest to zakochanie. Jeszcze nie. I nie musi się w nie przerodzić. Pożądanie może być tylko przeczuciem, tym momentem podczas zbliżania do siebie dwóch magnesów, gdy po raz pierwszy czujemy siłę ich przyciągania. Wiadomo, że jeśli nie zaprzestaniemy zbliżania, siła będzie narastać, by ostatecznie dwie powierzchnie z impetem do siebie przywarły.



Na etapie pożądania jest względnie łatwo powstrzymać konie. Zalecam jednak ostrożność, bo gdy zniecka na scenę wkroczy podniecenie, czyli reakcja fizyczna, może się okazać, że nie zdążycie poinformować Houston, że macie problem.

Moim zdaniem podniecenie jest mniej złożone. Koniunkcja żrenic nie jest wymagana. Podniecenie jest jak swędzenie. Chcesz się tylko podrapać, by poczuć ulgę. Świad może wywołać element garderoby, taniec, alkohol, niektóre narkotyki, pornos, głos, kawałek odsłoniętego ciała typu brzuch, pośladki, podstycze (modne teraz topy ukazują ten fragment), kudły na kłacie. Czasami mięśnie z niektórymi coś takiego robią albo jakiś zestaw słów wywołuje świerzbiecie.

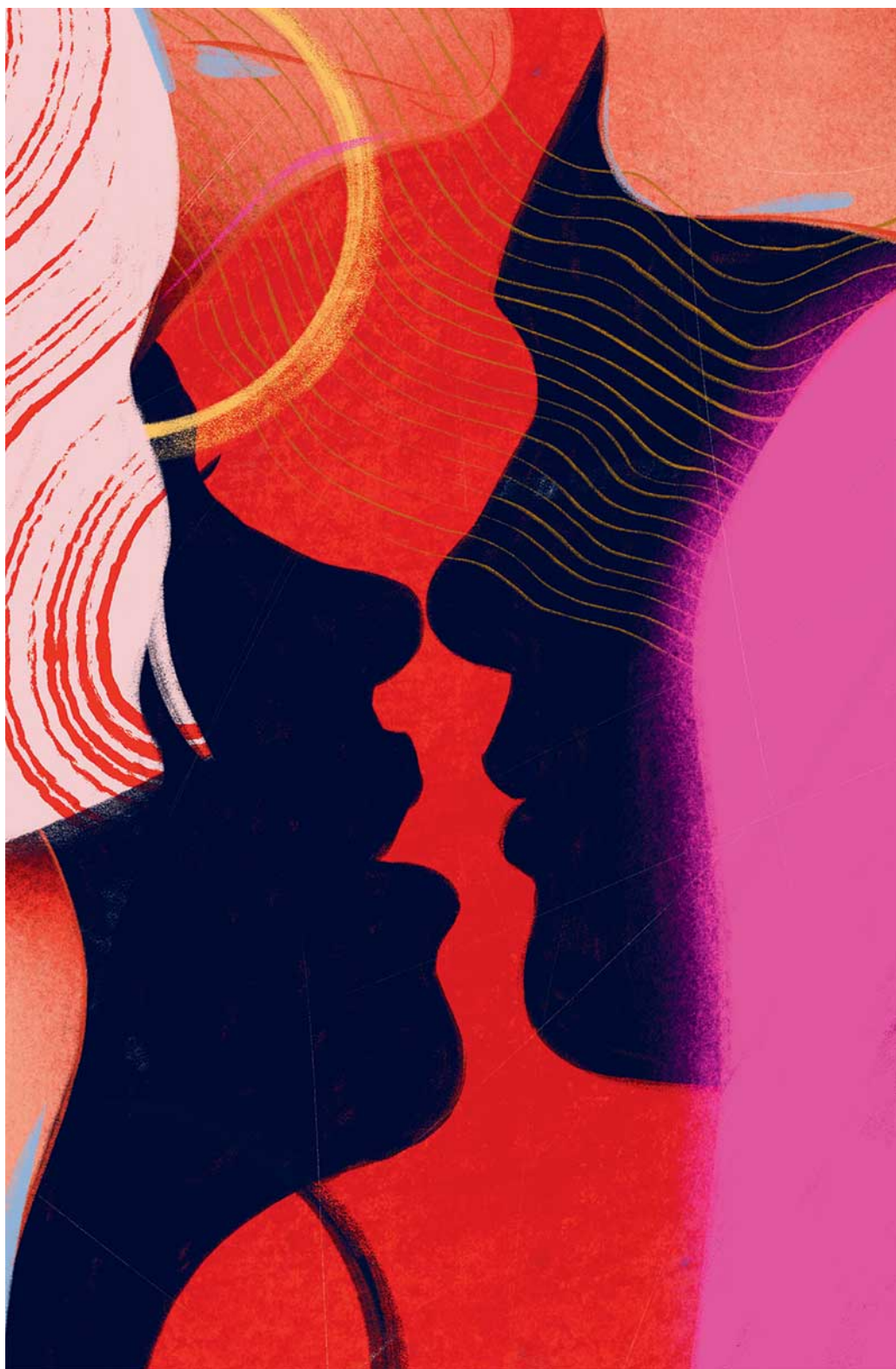
Podsumowując: pożądanie zawiera element wzniosłości, podniecenie jest bardziej przyziemne. Podniecenie wyłaniające się z pożądania daje możliwość (stopniujmy) bezdotykowego wywołania u drugiej osoby drgnienia, łagodnej pojedynczej fali, napływu krwi w okolice tych kilku palców poniżej pępka. Najważniejsze, by nie mylić tego z MIŁOŚCIĄ.



Pocafunek

Myslałam, że chodzi o zetknięcie się zamkniętymi ustami i kręcenie ósemek głowami. Tak to wyglądało na filmach. Na sucho, żadnej wilgoci. Proste. Nie pamiętam, kiedy dotarło do mnie, że aktorzy się wstydzą albo nie lubią na tyle, by usta rozchylić. Na pewno w podstawówce. Nie zanosilo się na żadną praktykę, ale miałam śladową nadzieję, że przed śmiercią spotkam kogoś, kto – nieprzekupiony albo pod groźbą użycia broni – zechce wydychać we mnie dwutlenek węgla, dołoży swoje kubki smakowe do moich i tym samym stworzymy niezły zestaw smakowy.

Trenowałam sama ze sobą. Początkowo na grzbiecie dłoni. Usta okazały się miękkie, a język i oddech ciepłe. Potem pomyślałam, że muszę wiedzieć, jak wyglądam, gdy całuję. Miałam w pokoju na drzwiach szafy duże lustro. Całowałam się z własnym odbiciem często i namiętnie. Wiedziałam, że wygodniej mi przechylać głowę na prawo, ale żeby nie było nudy, raz na jakiś czas, na krótko, przechylałam na lewo. Nie zachwycił mnie widok własnego oblicza z otwartymi ustami. Długo szukałam optymalnego rozwarcia. Do półtora centymetra wyglądało to przyzwoicie, powyżej – zjeżdżała mi z twarzy inteligencja, wyglądałam głupio i jak głupia. Kolejna sprawa: co z oczami? Zostawiać otwarte, by chłopak mógł się pluskać w moich tęczówkach, co biorąc pod uwagę ich błękit, w tych trudnych komunistycznych czasach byłoby niczym namiastka kąpieli w zagranicznym oceanie? Czy zamykać i jemu kazać zamknąć, a wtedy – nie ryzykując, że zobaczy głupotę – powiększyć bez wstydu rozwarcie?



Ryzyko realnego pocałunku pojawiło się w szóstej klasie. Przeniosłam się do innej szkoły. W poprzedniej na przerwach grało się we flirt towarzyski. Dla niewtajemniczonych – gra polega na podawaniu sobie w kręgu kartek zawierających różne zdania, od bzdurnych typu „Fajnie pływasz” do znaczących w rodza-

ju „Chciałbym się z tobą umówić”. Dziecinada. W nowej szkole ludzie grali w butelkę. Ludzie się lizali. Nie lubiłam tego określenia, a współczesne „przełizać się” przejmuję mnie nieprzyjemnym dreszczem. Kojarzy się z tymi czarnymi bezdomnymi (bo bez skorupy) ślimakami. „Pójść w ślinę” równie brzydkie, ale nie przywołuje widoku obłych.

Do brzegu – ludzie się lizali. Byłam przerażona! Co prawda lustro nie narzekało, ale tylko ja się z nim całowałam, więc nie miało porównania. Przed zimowiskiem chodziły słuchy, że butelka będzie wirować codziennie. Ogarnęła mnie panika. Ja pierdołę, całować się tak bez zakochania?! Z randomem? Na oczach wszystkich? Do jednego chłopaka trochę wzdychałam i nakładałam jego wyobrażone oblicze na swoje odbicie w lustrze, ale w realu to co innego. Jeśli mnie wylosuje, to jakie rozwarcie? Czy zamyka oczy? Nawet jeśli zamyka sam z siebie, to przecież reszta zobaczy głupola, jeżeli przekroczy półtora centymetra. Jeżeli nie przekroczy, to może wyjdę na taką, co się beznadziejnie całuje. Dzi-zas!!!

Tego dnia miała do mnie wpaść koleżanka, chciałyśmy się razem pouczyć. Znałyśmy się dobrze, bo siedziałyśmy razem w ławce. Była butelkową gwiazdą. Wyznałam jej, że okropnie się boję wyjazdu, a butelki to już się boję straszliwie, bardziej niż potencjalnej wypierdolki na nartach czy nawet śmierci pod lawiną. Na co ona, że możemy poćwiczyć. Tu powinien się pojawić emotikon z wybałuszonymi oczami. Nie wiedziałam, że to dopuszczalne. Szybko przełknęłam szok i zdecydowałam, że strawię go później. Nie mogłam nie skorzystać z takich warsztatów. Choć koleżanka miała miękkie usta, ciepły oddech, była żywo obecna i w przeciwieństwie do lustrzanej tafli nie stawiała bariery językowi, więc mógł przekroczyć otwarte wrota warg i zajrzeć do wnętrza różowego amfiteatru z ustawionymi w półkole zębami krzeselkami, to nie towarzyszyły temu ekscytacja, pogo komórek, wir w brzuchu, których spodziewałam się po całowaniu, których w związku z pocałunkiem oczekiwałam. Całowałyśmy się więc technicznie, zadawałam mnóstwo pytań. Głównie o taniec języków. Jakie tempo, jakie kroki, czy jak do ballady, czy raczej disco, ile pauz, czy w amfiteatrze, czy wychodzą tańczyć na zewnątrz, który prowadzi? No i najważniejsze: jak z jej perspektywy wyglądam przy różnych rozwarciach, czy miło jej się pływa w moich tęczęwkach, czy lepiej nie proponować kąpieli?

Gdy wyszła, język miałam sztywny, nabrzmiące wargi, ale byłam wdzięczna i szczęśliwa, że zechciała mnie przez to przeprowadzić. Tego wieczoru nie całowałam się już z lustrem, ale posłałam mu pełne szacunku spojrzenie.

Na obozie czułam się jak posiadaczka prawa jazdy, która wie, że nie wsiądzie za kółko. Wymyślałam różne preteksty, by broń Boże nie zagrać w butelkę. Bałam się. Wstydziłam.

Jeszcze pięć lat musiałam czekać na pierwszy, choć formalnie drugi pocałunek. Miałam siedemnaście lat. Pierwszy chłopak poprosił mnie o chodzenie, zostawiając złożoną na pół i wciśniętą między futrynę a drzwi mieszkania na Miedzianej kartkę z odręcznie napisanym zdaniem: „Ja Cię kocham, a Ty śpisz”. Wołałam go rok w marzeniach, zasypiając, pozostawiałam jego usta w nabrzmieniu. Co wieczór. W wyobraźni. Aż w końcu usłyszał. I poprosił. Myślę, że nie poprosiłby, gdybym bezgłośnie nie wołała. I tu mała dygresja – ja, kurde, potrafię to robić. W sensie: wyobrażać sobie intensywnie zdarzenia, które wcześniej czy później materializują się w realu. Sprawdziłam nie raz, nie dwa, nie dziesięć :) Spróbujcie.

Sto dni całował mnie tylko w czoło. Dziesiątki stempli w ten płaski blat. Byłam zrozpaczona, choć czoło miało satysfakcję i patrzyło na usta z góry. Aż nadszedł dzień sto pierwszy...

Teraz wymienię niektóre rodzaje zetknięć ustami. Nie próbujcie przypisywać konkretnego pierwszemu chłopakowi ani następnym. Mogę przecież zmyślać. Wrzucam je do bębna maszyny losującej i... zwalням blokadę.

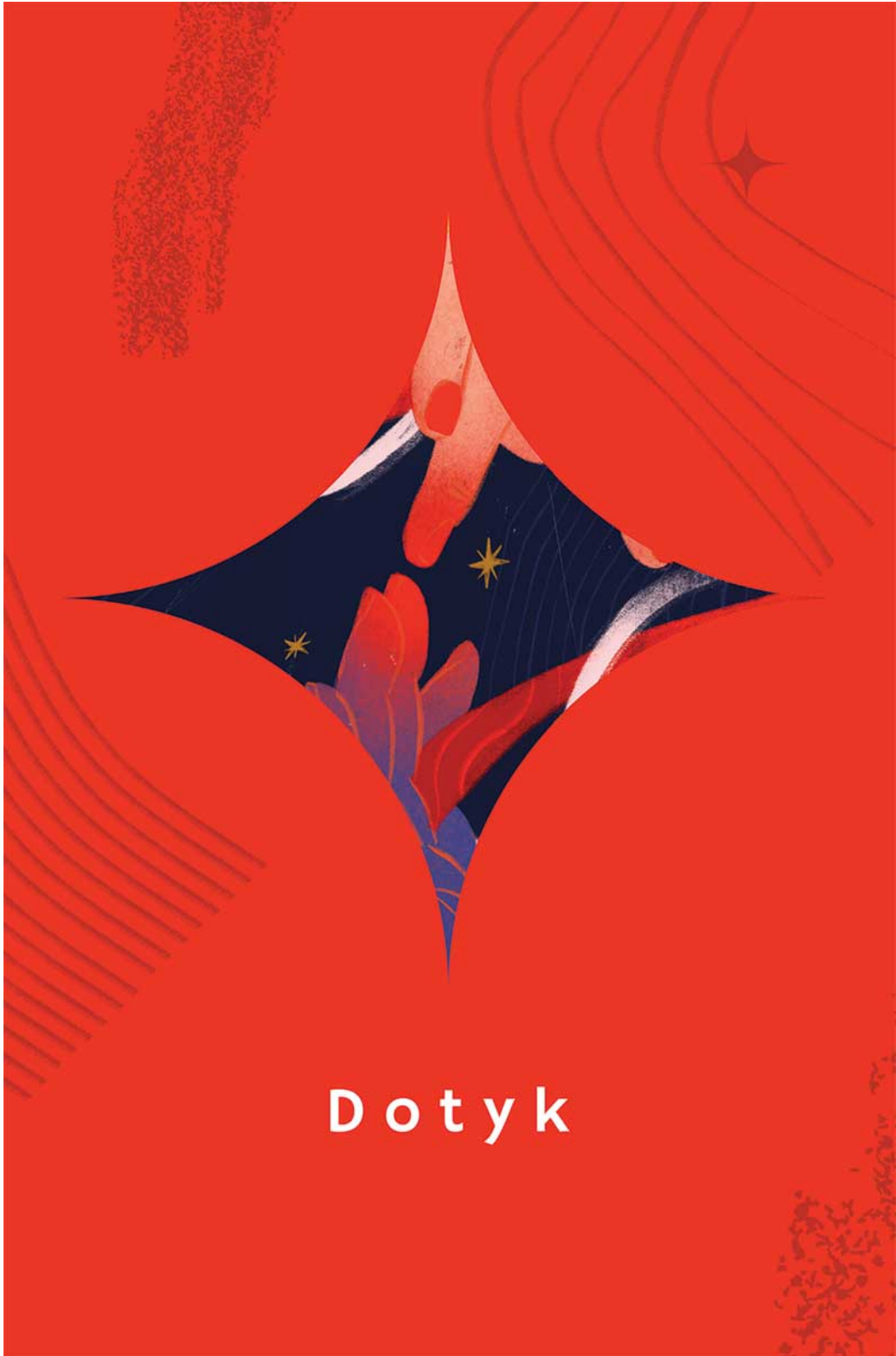
- Takie ze sztywnym zebrany w sobie językiem, wylaniającym się spomiędzy szorstkich warg, by zakręcić kilka kółek małej średnicy (jakby tańczyć ze zbyt chudym, będąc dużą kobietą) i wrócić na chwilę do właściciela, który następnie przez moment pilinguje zadziarami wasze usta. W cyklach.
- Takie samo tylko bez pilingu plus lizanie warg po wierzchu.
- Wyjątkowo szerokie rozwarcie, śladowa obecność języka, ogromna ilość wydychanego w was gorącego powietrza. Bardziej jak sztuczne oddychanie.
- Ruchy języka jak przy „lalala” plus częste przekręcanie głowy z prawej na lewą.

- Wjazd do waszego amfiteatru i solowy taniec jęzora, aż boicie się, że poprzestawia zęby krzeselka.
- Chwytnie dolnej wargi, naciąganie na maksa i strzelanie jak z procy, zwieńczone po każdym strzale mikrouśmiechem zachwytu nad sobą – popa, jaki jestem perwersyjny.
- Jakby bezgłośnie, bardzo powoli mówił: „mniem, mniem”.
- Niby spoko, ale oczy zaciśnięte na wciąż – masz wrażenie, że pod powiekami wyświetla sobie kogoś innego.
- Młaśnięcie wewnątrz, szybki wypad na zewnątrz i szaleństwo mokrych pi-ruetów jęzorem po całej waszej twarzy. Czujecie przymus przetarcia jej od czasu do czasu.

Tu wracamy do wzniosłego pożądanego, koniunkcji źrenic, tego szczególnego spojrzenia, które – wytrzymane – mimo odległości łagodzi każdą sztywność, usuwa wstyd, podnosi włoski na przedramionach, tamuje oddech. Mdleją wam kolana, ale tylko tak, żeby świat się nie domyślił, wzdłuż kręgosłupa przebiega dreszcz, coś się budzi pod pępkiem i wystarczy już tylko pokonać tę odległość. Idzicie, trzymając się za spojrzenia, z absolutną pewnością, że ten pocałunek będzie jak szczerza, głęboka rozmowa, podczas której padną odważne pytania, a każde znajdzie odpowiedź, bo tak jest, gdy ludzie się widzą i słuchają, nie przerywają sobie, chcą się o sobie wszystkiego dowiedzieć i wszystko zapamiętać.

Jesteś. Nasze usta są miękkie, pełne, poznają się. Smakujemy się, smakujemy sobie. Usta rozchylają się tak, jak czujemy; to jest niczym dobre wspomnienie. Język jest jak klucz, wsuwa się w ciebie, we mnie, obraca się i otwiera wszystkie drzwi. Wchodzisz, wchodzę, uwalniasz, uwalniam westchnienie, głos, który wydaje pierwotną nutę, zgadujesz, zgaduję kod i choć do zlania się w jedno jeszcze daleko, czujesz, czuję tam, gdzie mieszka intymność, pierwszy skurcz.

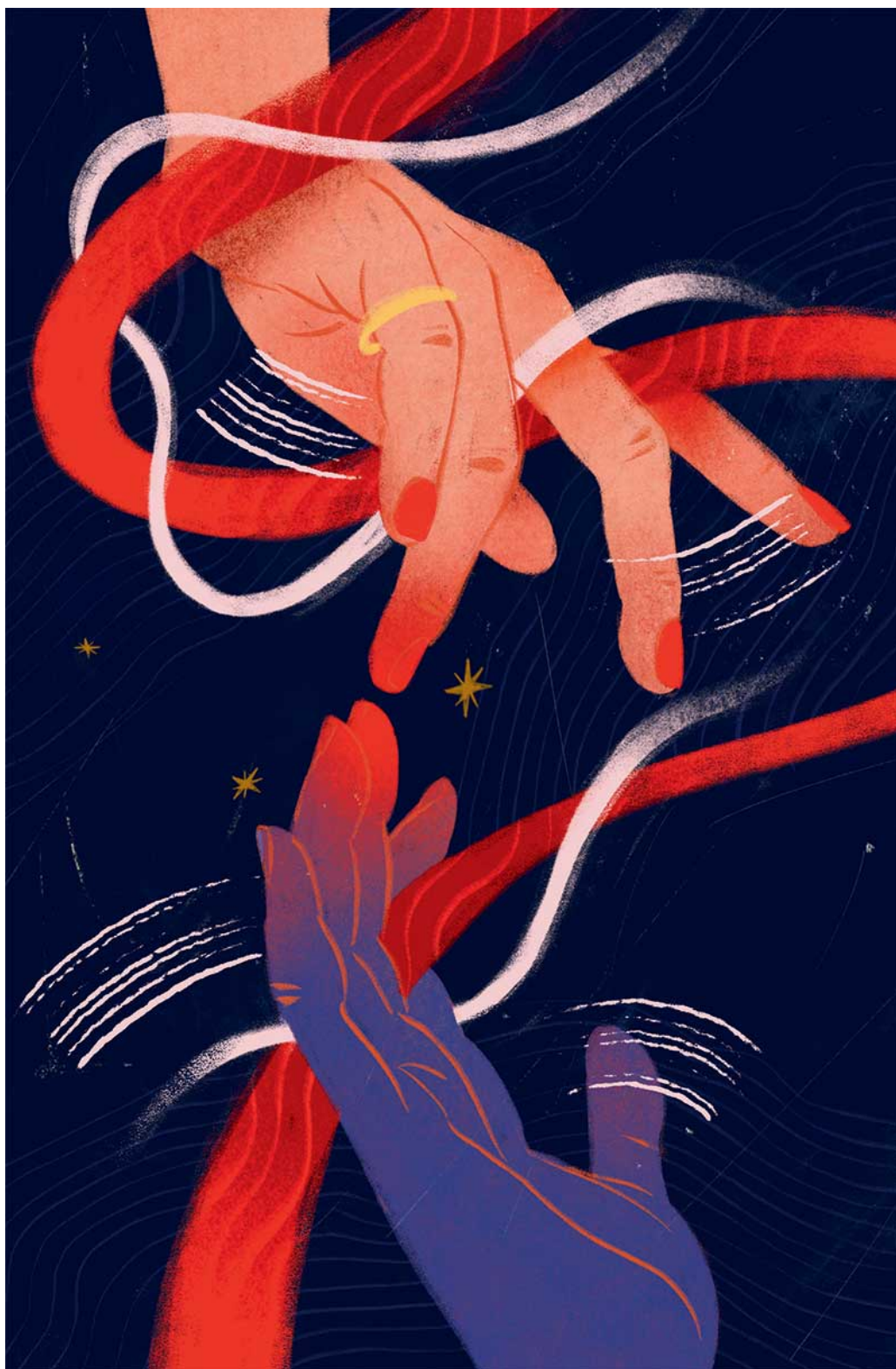
Tu też można się jeszcze zatrzymać.



Dotyk

Włonie matki jesteśmy objęci kompletnie. W tej rozkosznej ciasnocie każdy fragment skóry jest dotknięty i ogrzany. Myślę, że opuszczamy to miejsce nauczania dotyku w stopniu, jaki każe nam go oczekiwać. Spodziewamy się go, wydaje się niezbędny i wieczny. Pierwszy kontakt z zewnątrz musi być rozczarowujący z wielu powodów, ale doświadczenie utraty kontaktu skóry z ciepłem i miękkością matczynego wnętrza należałoby nazwać powitalną traumą. Połączenie zostaje przerwane. W najlepszym wypadku, jeśli noworodka położy się natychmiast na brzuchu matki, obydwójce przechodzą na głośnomówiący, a rozmowa przestaje być intymna, ale przynajmniej trwa. Mnie nie podano mamie. Jak pewnie wielu zostałam szczelnie zawinięta we flanelę i wyniesiona do sali dla noworodków, gdzie rozpoczęłam pełne rozpaczliwe zawodzenie, które potem bezgłośnie kontynuowałam przez większość życia.

Jeśli mamy fart, to ramiona czulej matki są w stanie uformować bezpieczną kołyskę, dwoją się i troją, by dopieścić skórę dotykiem i nie pomijając żadnego jej fragmentu, przesłać tą drogą wiadomość do serca. Potrafią zebrać nas do kupy, spiąć klamrą, zabezpieczyć przed rozpadem. Ale są też sztywne, nieporadne ramiona, zdolne jedynie do pielęgnowania, utrzymywania w czystości, mechaniczne, nerwowo podrzucające małe ciało. Zimne ramiona zakończone dręt看ymi dłońmi, które oschłym migowym informują nasze ciała, że głód dotyku będzie nam towarzyszył już zawsze. Czasem myślę, że ten pierwszy, konieczny czuły dotyk informuje nas, gdzie się kończymy, pokazuje granice naszego cielesnego ja, których uczymy się naturalnie strzec. Gdy go zabraknie, mylimy zły dotyk z dobrym, odrzucamy własne ciała albo przemierzamy świat w kompulsywnym poszukiwaniu kogoś, kto dotknie tak, że zawróci nas do łona matki. Oczywiście czynimy to bezskutecznie. Muszę powtórzyć – tu nie ma winnych. Albo inaczej: łatwo jest winić drewnianą matkę, ale jeśli dostatecznie wyostriamo sposób postrzegania, ze smutkiem stwierdzimy, że i ona, i skostniały ojciec też czują głód, im również podano powitalny koktajl odrzucenia po urodzeniu.



My, głodomory, depczemy ziemię z rozdziawionymi porami, wystawiając się na rozmaite formy dotyku, w nadziei na znalezienie tego, kto nareszcie nas uspokoi. Nie zaprzestajemy poszukiwań, często zmywamy z siebie wstyd, szo-

rujemy się z odcisków palców, które go wywołały. Część z nas się poddaje, knebluje pory i dławi się znaną od pierwszego dnia rozpaczą – skrycie, wewnątrz.

Wiem z doświadczenia, że można się nauczyć dotyku jak języka obcego – samodzielnie, od podstaw. Co prawda nigdy nie będzie dla nas tak naturalny jak (ojczysty) matczyny, ale przy odpowiednim zaangażowaniu jesteśmy w stanie osiągnąć porozumienie, dużą swobodę wypowiedzi, a z czasem nawet myśleć w tym języku. No, nie ukrywam, nauka nie jest łatwa. Nie zliczę, ile razy, przyjmując dotyk lub dotykając, lądowałam w miejscu, w którym *Dirty Dancing* tłumaczy się jako wirujący seks... Nierzadko wmawiałam sobie, że czuję dreszcz, a było mi zwyczajnie zimno. Albo ból, na który pozwalałam, bo był słabszy niż podczas szarpania za ucho czy łańska za karę w dzieciństwie. Człowiek tak bardzo nie kumał, co jest czym, jeżeli chodzi o dotyk i granice, że polegał na partnerze i jego rzekomej znajomości tematu, a partner też głównie wiedział, jak się z czasem okazywało. Myślę, że łatwiej było spytać chłopaka, jaki dotyk preferuje, co sprawia, że jego pory przeżywają z apetytem, niż to samo pytanie zadać sobie, więc jadało się co popadło: przesolone, niedogotowane, za słodkie, za dużo, ledwie na spróbowanie. Czasem taka uczta kończyła się zgagą albo wręcz zatruciem.

Bardzo długo, odziana we własne ciało, nie miałam z nim kontaktu. Służyło do podróżowania przez czas i przestrzeń. Pierwszy raz naprawdę je poczułam, gdy leżałam w szpitalu ciągle jeszcze odcięta od pasa w dół po znieczuleniu. Dłonie były moje, czuły. Dotknęłam własnego, choć zupełnie obcego uda i wtedy coś mi pękło w głowie, jakiś stary konstrukt runął z hukiem. Poczułam je pod dłonią. Było niezwykle gładkie, to leżące obok również. Powierzchnią skóry, pod którą spoczywały mięśnie ud, tego dotyku nie odbierałam, co wywołało ważną refleksję: ja nie czułam dotyku – w pełni – nigdy. To wtedy, gładząc z totalnym wzruszeniem własne jakby martwe ciało, po raz pierwszy zapragnęłam je poznać, poczuć, zrozumieć, wysłuchać jego opowieści. Popłakałam się na myśl o tym, że nigdy nie odzyskam czucia. Układałam usta w bezdźwięczną modlitwę o powrót władzy w nogach, ślubując, że już się od ciała nie odwrócę, od żadnego jego fragmentu. Po powrocie do domu, choć nie tego samego dnia, stanęłam przed lustrem naga i w myślach powiedziałam: Cześć, ciało, opowiadaj. Mów do mnie, widzę cię, przepraszam... Dotykałam się delikatnie, zawstydzona, by wychwycić nawet najsubtelniejszą reakcję, odpowiedź. Wszędzie.

Żeby nawet jeden centymetr ciała nie czuł się jak sierota. Moje duże, smutne, głodne ciało. Dziś wiem, że nie znając i nie kochając własnego cielesnego pojazdu, nie da się mówić płynnie w obcym dotąd języku dotyku. No może jakieś: *Halo, how are you, nice to meet you*. Marne podstawy. Operowanie idiomami, w pełni swobodne wyrażanie się, komunikacja, głęboki dialog z drugim ciałem nie mają szans zaistnieć bez zbudowania miłosnej relacji z własnym.

Mijam codziennie lub obserwuję w sieci tak wiele niewidzianych przez właścicieli ciał. Bez czucia, choć chętnie fotografowanych, wystrojonych. Kobięcych, męskich, młodych, dojrzałych, nadmiernie szczupłych, dużych – wszystkie czytelnie wygłodzone. Na jakiejś zasadzie to się czuje – jakby moje ciało, niedawno zauważone, rozpoznawało obce ciała na głodzie uwagi, karmiącego dotyku. Tak bardzo Was czuję.

Jeśli przypuszczacie, że ciała piękne wedle obowiązujących kanonów zawsze są najedzone, odpowiednio dokarmione, to wielokrotnie moglibyście się zdziwić. Przypominam, że nie chodzi o macanie, lecz o karmienie porów. Czy właściciele tak zwanych nieładnych ciał nie zasługują na dotyk, czy go nie pragną? Czy muszą być skazani na dożywotnią ano(taczo)reksję? To tak, jakby uważać, że uroda matki ma znaczenie, że tylko piękne matki mają otulające łona i potrafią ofiarować noworodkom czuły dotyk. Często myślę o tym, ile najczulszych dłoni odrzucamy, bo są przytroczone do nieatrakcyjnych (wedle zasad z dupy i wgranych nam do głów standardów) ciał.

Miało być o dotyku, a ja, grubo, pragnę teraz zawołać: Zobacz w drugim sobie! Brzydotę widzi tylko oko, w które wbił się, a z czasem tam otorbił, fragment potłuczonego lustra! Jak u Kaja z *Królowej Śniegu*.

Nikt nie jest brzydki, to tylko skaza w oku. Nie odwracajmy się od swoich ciał, nie skąpmy im własnego czułego, uważnego dotyku, nie traćmy nadziei na znalezienie w świecie pary dłoni, ramion, które obejmą nas i uspokoją, a my odwdzięczymy się tym samym.



Dowód miłości

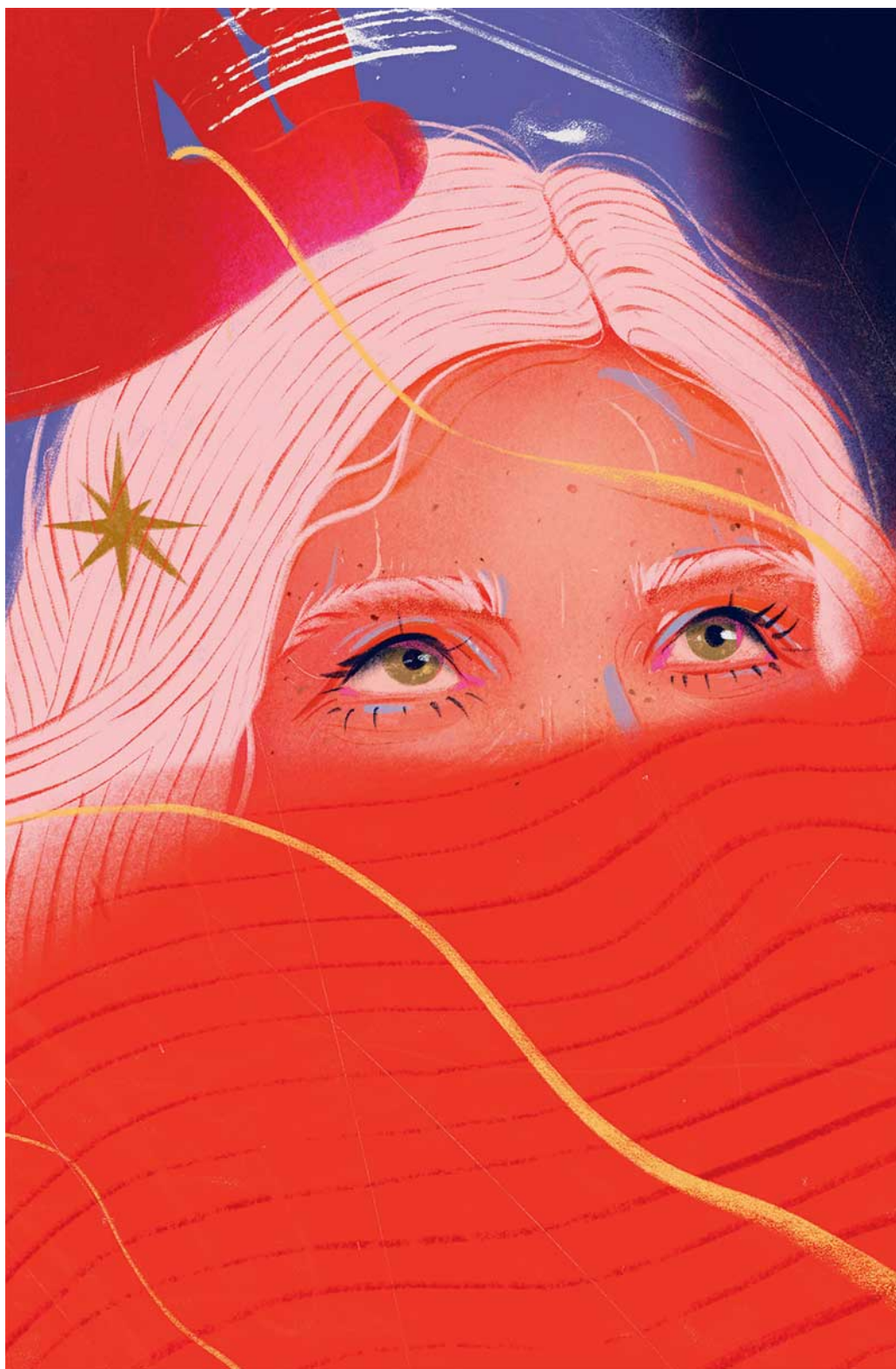
Czy chłopaki żądają obecnie dowodu miłości? Czy współczesne panny nadal, często przedwcześnie, muszą zmagać się z presją chłopackich oczekiwań w tej materii? Błagam, powiedzcie, że nie. Dawniej to było na porządku dziennym. Prośba o chodzenie, sporo lizania się, wjazd pod bluzkę, nieporadne ściskanie (tak się ścisła trąbkę rowerową) piersi, jeśli były już obecne, trochę jałowego pettingu i sru – żądanie dowodu miłości, czyli wyraźna sugestia, że pora pójść na całość, bo jak nie, to koniec. Bo jak nie, to poprosi o chodzenie Beatę albo Kamilę.

Niezwykle trudny moment dla dziewczyny. Rozpiera ją duma, że nareszcie ma chłopaka, urosła we własnych oczach, ale też w oczach koleżanek. Wystarczą jej pocałunki i może ściskanie trąbek, bo to zrobi wrażenie na dziewczynach z klasy, będą na nią patrzeć jak na dorosłą, będzie gwiazdą na długiej przerwie, gdy wszystkie się zlecą do kibla, by z wypiekami na twarzach słuchać o jego rękach na jej trąbkach, ale dowód to jakby zbyt wiele, bo widziała, że o Agnieszce, która dała się wylegitymować, któryś z chłopaków napisał na murze: „Agnieszka to puszczańska kurwa”. I słyszała, że niektóre dziewczyny też tak mówią o Agnieszce, a może nawet sama tak powiedziała. No i jak się rodzice dowiedzą, to ją chyba zabiją. No i przerwanie błony dziewiczej na pewno boli. Zresztą bez błony to półprodukt i wstyd, bo mama przynajmniej raz do roku z dumą mówi, że zachowała dziewictwo do ślubu. A może da się tę błonę w razie czego załatać? No chyba że chłopak się z nią kiedyś ożeni, to wtedy będzie przecież pamiętał, że to on przebijał, i prawdopodobnie obejdzie się bez pretensji, a dzieciom też będzie mogła, trochę naginając fakty, mówić z dumą, że zachowała do ślubu. Gdyby zaszła w ciążę, to zanim rodzice przystąpiliby do mordowania, musiałyby się szybko zabić sama, żeby mniej bolało, a ze szkoły to już na pewno by ją wyrzucili.

Może mu powiedzieć, że okej, ale nie dziś. Może powiedzieć, że nie jest jeszcze gotowa, ale to raczej zaowocuje porzuceniem. Może powiedzieć wprost, że nie chce, że to o jeden most za daleko, i zostać cnotką niewydymką, plus oczywiście porzucenie. Może zamknąć oczy i pozwolić mu to zrobić, a potem po-

prosić, żeby nikomu nie mówił (ta, jasne). Może nie zdążyć nic powiedzieć ani nawet pomyśleć, bo chłopak, nie zostawiwszy sekundy pauzy, staranuje bramę i rozerwie błonę na strzępy...

Wiadomo, że bywały inne scenariusze, ale dziewczyna musiała trafić na chłopaka, który nie ośmieliłby się żądać dowodu miłości. Na szczęście zdarzali się i tacy. Co to w ogóle był za tragiczny konstrukt – żądanie dowodu miłości. Jakiej miłości? Żądanie, kurwa??? Teraz jestem taka mądra, ale w tamtych czasach naprawdę nie rozumieliśmy – ani dziewczyny, ani chłopcy – że coś tu jest nie tak. Okazywaliśmy się zbyt słabi, by powiedzieć sobie samym i sobie nawzajem: NIE. Osobiście nie musiałam się zmagać z tym tematem, bo byłam całkowicie niewidzialna dla płci przeciwnej. Nikt nigdy ode mnie niczego nie żądał, nikt mnie nie całował, miałam parę obecnych bezdźwięcznych trąbek, ale mogłam zostawiać bramę otwartą na oścież, a błona i tak spałaby spokojnie dziewiczym snem. Nie byłam w niczym, dosłownie w niczym typie. Było nas wiele niedostrzeganych, niechcianych, marzących przed zaśnięciem o chłopakach ze sportówy albo o Limahlu. Czasem z zazdrości wyzywałyśmy atrakcyjne koleżanki na murach.



Zaraz, zaraz, właśnie sobie uświadomiłam, że nadal są tacy, którzy żądają dowodu! I dziewictwo może, ale nie musi wchodzić w grę. Ile, ale też ilu z nas jest ciśniętych, by się złączyć narządami?! Presję wywierają zarówno kobiety, jak i faceci. Żeby zaklepać, żeby potwierdzić, związać, dać dowód, wylegitymo-

wać. I nadal, już dorośli, ulegamy bez ochoty, i nadal boimy się, że wybierze Be-
atę, boicie się, że rozsiądzie się w Waszej wybrance jakiś Bogdan, jeśli odmówi-
my, odmówicie. I nadal bywa, że nie padnie nawet pytanie: Czy można? Nadal
są tacy i takie, co wchodzą z kopa.

Nie róbmy tego sobie nawzajem. Spróbujmy dowiedzieć się, czym jest mi-
łość. Zdobyć dowód na jej istnienie w naszym życiu albo uczciwie przyznać, że
jej w nim nie ma.



Mieszkanie

Cma wspólnego mieszkanie z miłością? Może być niczym inkubator, w którym umieszczona zostaje bliźniacza parka. Tu zajdą wszelkie procesy umożliwiające jej wzrost, dojrzewanie, w którego czasie wykształcą się funkcje warunkujące ostatecznie to, czy bliźnięta przetrwają.

Moi rodzice przez pierwsze trzy lata małżeństwa mieszkali w małym pokoju, z czego ostatnie dwa lata ze mną. Pokój obok zajmowała siostra mamy z mężem i bobasem, ten pokój z kolei poniemieckie cegły oddzielały od stołowego, dzielonego przez dziadków z najmłodszym synem, któremu właśnie sypnął się niepoważny wąs. Cztery palniki kuchenne na trzy kobiety. Dwójka małych dzieci, z czego jedno ciche, karmione piersią, drugie (ja) wiecznie drące się, wpatrzone w puste matczyne kanki. Wujek po zawodzie miłosnym snujący samobójcze fantazje. Babcia uprawiająca aktywnie zemstę na dziadku, który fiknął kozła z „czarną francą błyskawicą”, lecz po roku zdecydował się wrócić z podkulonym ogonem, by odbyć karę dożywocia. Kolejka do łazienki. Pralka Frania w niekończącym się ataku epilepsji. Wyciągnięte pod ciężarem prania sznury. Bezdźwięczne spółkowanie, przykrywanie ust dłonią, która złapie – i nie wypuści w nocną ciszę – wieńczący je spazm. Ręczne zapieranie prześcieradeł, by nie usłyszeć: Mało wam bachorów?! My tu więcej miejsca nie mamy! Eksplozje powstrzymywanego nocą krzyku – za dnia znajdowanie dowolnej przyczyny, by je uzasadnić: Kto ci pozwolił jeść moją zupę?!, Teraz moja kolej na pranie!, Gdzie mój śrubokręt, do kurwy nędzy?!

No ale rodzice i tak mieli fart, bo po trzech latach poligonu otrzymali własny kąt z zakładu, w którym obydwójce pracowali, co znacząco zwiększyło ich szanse. To dwupokojowe mieszkanko wchłonęło w wykładziny i ściany nasze historie, marzenia, łzy, a także krew, ejakulaty, przekleństwa, alkohol, plotki, zdradę, muzykę i tony złuszczonego naskórka. Pewnie gdzieś tam, wdeptane w podłogę, spoczywają szczątki mojej błony dziewiczej, bo mieszkanie stoi właściwie nieremontowane od lat osiemdziesiątych. Najwięcej o relacji moich rodziców wiedziała z pewnością wersalka, a kolejne pokolenia zamieszkujących ją roztoczy śledziły ten trwający dziesięciolecia serial. Dziwię się, że tak długo

był kręcony, bo nie wyobrażam sobie relacji w jej rumianej, zdrowej odsłonie, jeśli przykrywa się ona, ta relacja, wspólną kołdrą i przekręca na drugi bok synchronicznie. Albo gdy kąpie się relacja w tej samej wodzie, napuszczonej do wanny, gdy drugi w kolejności wsuwa się w letnie już środowisko, które przyjęło cały brud pierwszego. Zdarzało się, że słyszałam jako trzecia: Wskakuj, zanim spuszczę wodę. Ble...

Nie lubię spać pod wspólną kołdrą. Długo zajęło mi dopuszczenie do siebie myśli, że nie muszę, jeszcze dłużej – odważenie się, by wyartykułować to na głos. Bo przecież dobrane pary tulą się przez całą noc. Wielokrotnie widziałam w gazetach rysunki lub fotografie ułożenia ciał w partnerskim łóżu i według specjalistów te przedzielone powietrzem nie rokowały. Nie zgadzam się ze specjalistami (nie tylko w tej sprawie zresztą), bo o ile czas przed snem jest git, by się kochać, poprzytulać, o tyle mój czas w ramionach Morfeusza musi być w duecie wyłącznie z Morfeuszem. Mam specjalny system owijania się kołdrą, własny rytm przekręcania się z boku na bok, autorską metodę układania głowy na poduszce. Kropka. Ciekawe, że mąż, ośmielony tym coming outem, przyznał, że poczuł wielką ulgę, że nie musi przez całą noc dźwigać na ramieniu mojej głowy, przepasany w biodrach moim ciężkim, bo śpiącym udem. Odwiedzamy się zatem pod kołdrami, a potem każde wraca do siebie. Oczywiście idea osobnych sypialni w naszym przypadku nie wchodzi w grę, bo autentycznie lubimy mieć siebie na wyciągnięcie ręki, choć podobno niektóre dobrane pary wolą zrobić więcej kroków po odwiedzinach w łóżku partnera. Tak, wiem, że istnieją związki, w których potrzeba bliskości jest tak silna, że ludzie nie dość, że sypiają przytuleni, to najchętniej śniliby wspólne sny. Ale to nie my.

Wróćmy do mieszkania – zastanawiałam się, jak rozłożyć procentowo to, ile współczesnych par mieszka z rodzicami lub teściami, ile wynajmuje, ile zakłada na szyje kredytowy stryczek, a ile w czepku urodzonych dostaje mieszkanie w prezencie lub robi taki hajs, że może je kupić. Mieszkanie potrafi zamordować związek; dotyczy to nawet par w czepkach.



Apodyktyczna teściowa, matka upierdliwa lub z nabytą nieporadnością, teść, który wie lepiej, ojciec predator – w takich układach trudno przetrwać. Przykłady. Weganka mieszkająca u teściów, którzy w przedpokoju mają galerię martwych głów, bo ojciec ukochanego to dumny myśliwy. Chłopak z Poznania pod

jednym dachem z radykalnym kibicem Legii, który nikomu nie chciał oddać córuchny, a już za nic w świecie gościowi z Pyrlandii. Zięc na dorobku w chacie bogatych snobów, którzy patrzą z politowaniem i jawną pogardą na przemian, a słowo „mezalians” odmieniają przez wszystkie przypadki. Panna dzieląca kuchnię z nadopiekuńczą matką chłopaka, która nie dość, że wie najlepiej, co mu smakuje, to jeszcze spieszy w nocy, by okryć mu plecy, żeby sobie nerek nie przeziębził, i nic to, że on akurat jest na dziewczynie i w dziewczynie.

Poszkodowany czy poszkodowana pod obcym dachem w końcu nie wytrzyma. To się będzie działo stopniowo. Trochę zaciskania zębów, przełykania gorzkich sytuacji, potem sączenie partnerowi rozczarowania do ucha, oczekiwanie na reakcję z jego strony, postawienie granic, cokolwiek. Bezskuteczne, bo przecież „nie mamy dokąd pójść”. Im wyższy jęzor płonącego wciąż uczucia, tym dłużej można przełykać i zaciskać. Trudno podtrzymywać płomień, gdy nawet intymność we dwoje bywa przerywana szuraniem kapci osób, które w samym akcie udziału nie biorą.

Jestem ciekawa Waszych doświadczeń. Ile można wytrzymać? Po jakim czasie płomień zaczyna przygasać?

Co się może przyczynić do wysypki, gdy mieszkamy sami?

1. Za mały metraż

– Ocieramy się o siebie bez przerwy. Dobrze, że on nie przywiązuje wagi do stroju, choć lepiej, by miał tylko to, co aktualnie na sobie, bo odstępianie mu nawet jednej półki w szafie sprawia, że się nie mieszczę. I wkurwia mnie jego rower w przedpokoju.

– A mnie doprowadza do szału chaos na szafce łazienkowej wywołany jej kosmetykami bez ładu i składu. I te kwiaty, miliony doniczek, a ja nie mogę się dostać do okna, żeby zapalić. Do tego, gdziekolwiek stanie, zasłania mi telewizor. Gdy się żyje w kawalerce, jest najtrudniej.

– Kiedy odwiedza ją koleżanka, to muszę wychodzić z domu nie tylko dlatego, że nie mogę znieść tego babskiego pierdolenia, ale też dlatego, że nie mam się gdzie podziać.

– Nie pozwala mi czytać przed snem, bo go światło razi.

– A ona w nocy wstaje pięć razy do toalety i przelazi przeze mnie. Po pracy ciągle siedzimy na kanapie, bo co mamy robić, i ona chce się tulić albo rozmawiać, gdy ja gram w grę albo oglądam mecz. Marzę o własnym pokoju, może nawet zamkniętym na klucz, gdzie mógłbym grać do woli.

2. Za duży metraż

– On całymi dniami siedzi w swoim pokoju i gra w grę. Mieszkamy razem, a prawie się nie widzimy. Nie pomaga mi w sprzątanii, a to przecież tyle metrów do ogarnięcia.

– Kupuje, ciągle coś kupuje, bo metraż spory i jej pusto i dourządzać musi. Ale jak ja chciałem kupić akwarium, takie pięćset litrów, porządne, to mi powiedziała, że zagraci. Pretensje ma, że nie pomagam w sprzątanii, ale płakać mi się chce na myśl o wytarciu z kurzu tego wszystkiego, co kupiła, więc idę pograć do swojego pokoju, żeby nie zwariować.

3. Nie tacy byli przed wspólnym zamieszkaniem

– Tak nam się zawsze dobrze rozmawiało, opowiadał mi różne historie, miał wybitne poczucie humoru, a teraz głównie milczy. Nie wiem, co się stało.

– Oprócz oglądania seriali niczego nie robimy razem. Kiedyś zawsze wypachniony, fajnie ubrany, a teraz w gaciach i T-shircie się snuje i w jajach grzebie, a potem wacha rękę.

– Chodziliśmy po teatrach, knajpkach, na wystawy, a teraz jest domatorem.

– Była taka namiętna, a teraz musimy otworzyć wino, żeby do czegoś doszło, a i tak najczęściej zasypia.

– Mówiła, że gotuje, a ciągle każe mi coś zamawiać.

– Sprawiała wrażenie ufnej, a za każdym razem, gdy przychodzi do mnie esemes, pyta od kogo, a czasem muszę pokazać telefon, bo nie wierzy, że od kumpla.

4. Odmienne gusty do wystroju

Mąż i ja ustaliliśmy, że on do wystroju się nie bierze. Ja wystrajam. Po prostu znam się lepiej na wystroju naszego wnętrza. To tylko i wyłącznie moja opinia, ale wystrajam dla nas sama, bo choć nie mam papierów, to wiem, że wystrój poczyniony przez niego wypaliłby mi oczy; do cna by wypalił. Dobra, to nie do końca prawda, ma na koncie zakupy, które przeczą teorii, że się nie zna, na etapie remontu podjął samodzielnie kilka decyzji dotyczących elementów stałych. Byłam pod wrażeniem, muszę przyznać. Ale kiedy wchodzisz do naszego domu i robisz skan pomieszczeń, to włączają ci się lampki, które odpala czysty zachwyty nad moimi umiejętnościami dekoratorskimi. Urządzam bez trzymanki, nie szanuję zasad, działam spontanicznie, wiedzona instynktem. Czuję zakochanie i wtedy decyduję, że dany przedmiot czy mebel z nami zamieszka. Stare, nowe, z klasą i zenujący innych kicz, a jednak jest w tym jakiś sens. No pewnie, że nie wszystkim się lampki odpalają, co mną nie wstrząsa, wszak to nasze gniazdo.

P. od początku sprawiał wrażenie, że jest mu wszystko jedno, jak się urządzimy, lubił jednak krytycznie komentować moje zakupy i dopiero po czasie przyznawał, że jednak miałam rację i jest fajnie. Dla mnie otoczenie jest bardzo ważne, realnie wpływa na nastrój, czuję jakąś mikrorozkosz, chce mi się pracować, wypasać minuty na łonie kwatery. Jednocześnie nie jestem do niczego, co mamy, przywiązana, nie lękam się straty. Nie staje mi serce, gdy dzieciaki tłuką wazony, psy podgryzają meble, a znajomym ulewają się płyny czy upadają talerze pełne treści. Ja bezcielesna mam na wnętrza wywalone. Wiem jednak, że wystrój jest tylko pozornie nieistotny, gdy partnerzy nie są w stanie w tej materii wypracować porozumienia. Babka zakochana w stylu boho nie wytrzyma w mieszkaniu, które urządza jej facet, nieprzejeđnany fan czarnej skóry, błyszczących srebrnych poręczy i luster ciętych w trójkąty. Nawet nie wiem, jak się osiąga kompromis przy takiej rozbieżności. Dlatego jeśli wygląd mieszkania dla którejkolwiek ze stron jest szalenie ważny, lepiej chyba pogadać o tym, zanim sprawy nabiorą rozpędu i powagi. Bo gdy ognisko będzie się już tylko żarzyć, czarna kanapa może być przyczynkiem do ucieczki kobiety w ramiona koleśia o długich włosach, obutego w sandały z konopi, z którym będzie mogła wreszcie zasnąć spokojnie na rattanowym łóżu pod łapaczem snów.

Nie uciekniemy od tematu mieszkania na kredyt. Mnie ta pętla dusiła tak bardzo, że miałam ochotę skoczyć z wysokości lęku prosto w niebyt. Zaciągamy

kredyt, gdy wydaje nam się, że damy radę go spłacać. Zaciągamy na trzydzieści lat czasem. Gdy mieliśmy pracę, nie spałam spokojnie, bo goniły mnie myśli o tym, że możemy ją stracić. Kiedy zarabialiśmy coraz mniej, przestałam spać zupełnie, bo szukałam planu B. Często wpadałam w histerię, a wtedy krzyczałam do P.: „Zrób coś!!! Wymyśl! Uratuj!”, a on, choć się starał, nie umiał mnie uspokoić. Bywało, że pracowaliśmy tylko na ratę, a na życie pożyczaliśmy. Taka sytuacja może rozwalić rodzinę. Bank zabiera wypłatę, bank plombuje waginę, bank sprawia, że praca jest w niedowładzie; mieszkanie należy do banku, my też. I tu chcę Wam, właśnie Wam paść do stóp i podziękować, bo kupując moje poprzednie książki, zdjęliście nam sznur z szyi kwadrans przed naszą śmiercią. Bardzo dziękuję.

Mieszkanie, apartament, dom, rezydencja, ciasne własne, ciasne cudze, przygarnięci pod dach przez bliskich – to może nie mieć żadnego znaczenia lub może mieć znaczenie kolosalne. Miłość jest jak woda, anektuje dowolną przestrzeń, czyniąc z niej naczynie, które wypełnia w całości. Mieszkanie, nieważne czyje, nieważne jak duże, może być zbiornikiem na miłość. Wtedy jest bezpiecznie, jest dobrze, nic bliźniakom nie grozi. Chyba że to, co jest między nami, mylimy z MIŁOŚCIĄ.



Oczekiwania

Badam temat od dłuższego czasu. Ponoć cierpienie jest wprost proporcjonalne do oczekiwań. Nie mam wyjścia, muszę się z tym twierdzeniem zgodzić. Przez większość życia oczekiwałam, wydawało mi się to słuszne, zgodne z rodzajem oprogramowania w mojej głowie. Dorośli oczekiwali bezdyskusyjnego posłuszeństwa ode mnie, ale też od siebie nawzajem. Państwo oczekuje tego samego od obywateli, obywatele wpatrują się w innych obywateli w pełnym napięciu oczekiwaniu. Miłość? Tylko nam się wydaje, że wiemy, czym jest. To, co nam się przytrafia, a co nazywamy lekko miłością, jest transakcją. Mam tu serce na dłoni, a teraz ty mi pokaż swoje. Kocham cię, a ty mnie? Ja bym ci wszystko dała, pokaż, co masz dla mnie. Musisz, powinienes, powinnaś. Te rozkazy słyszymy od zawsze i dzięki nim oczekiwania znajdują w nas silne umocowanie. Frustracja i cierpienie muszą osiągnąć niemal niemożliwy do udźwignięcia poziom, byśmy dopuścili myśl, że może od początku błędziliśmy, że program w umyśle jest raczej wirusem, który należałoby z centralnego komputera usunąć.

Chciałam, żeby mój chłopak nie był jak mój tata. Gdyby tata był cudowny, chciałabym, żeby mój chłopak był jak tata, z ewentualną opcją przebicia taty w cudowności. Tata posiada złotą rączkę? Ty też powinienes taką mieć lub – jeśli wolisz – możesz mnie zaskoczyć platynową, ale na pewno doznam rozczarowania, jeśli masz drewnianą. Moja mama gotowała najlepiej na świecie, chciałabym, żeby moja kobieta też gotowała, choć wiem, że takiego kurczaka w potrawce, jakiego robi mama, nie zrobi żadna kobieta, no ale nie można mieć wszystkiego.

Nie umiemy wejść w związek na czysto, bez oczekiwań. W relacjach jesteśmy niczym inwestorzy, którzy włożą, żeby wyjąć, chcą w najgorszym razie wyjść na zero, a najlepiej zarobić. Jeśli mamy poczucie przeinwestowania, wcześniej czy później zamykamy firmę i rozglądamy się za nowym interesem, chętnie zwalając winę na współnika.

Jestem nieszczęśliwa. Dlaczego? Bo on:

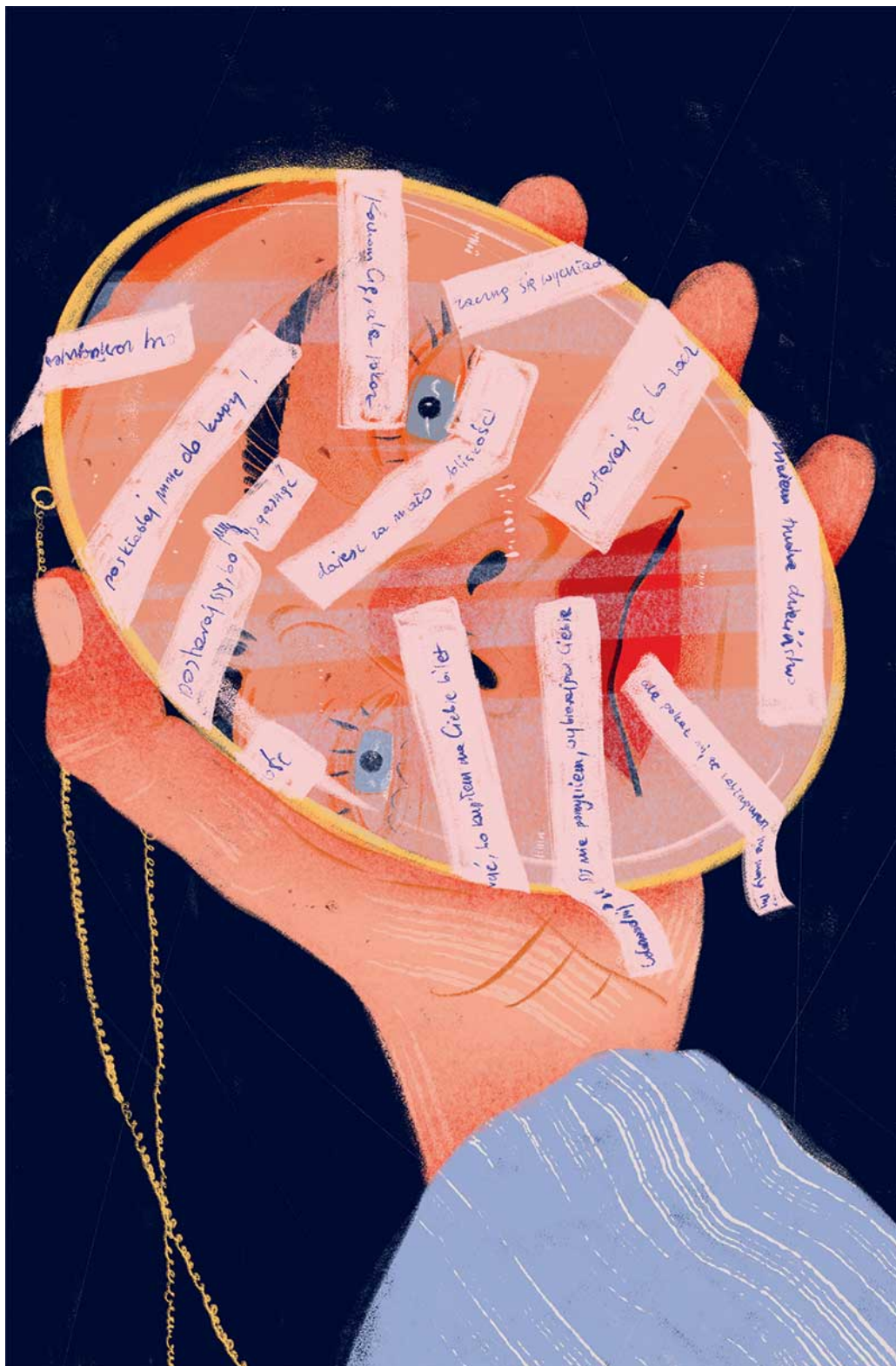
- rzadko mówi, że mnie kocha, a ja mówię codziennie,
- adoruje inne kobiety,
- nie pracuje,
- pracuje non stop,
- zostawia wszystko na mojej głowie, a sam się byczy,
- nie broni mnie przed swoją matką,
- nie dba o siebie,
- nie przytula, gdy płaczę,
- nie słucha, gdy mówię,
- nie kupuje mi kwiatów,
- zapomniał o naszej rocznicy,
- nie mówi mi komplementów,
- pije,
- gra w gry,
- beka i pierdzi,
- chrapie,
- o niczym mi nie mówi,
- nie dokłada się do rachunków,
- zamyka się w sobie,
- kłamie,
- źle dotyka,
- nie całuje tam na dole,
- po seksie zasypia,
- nie lubi moich rodziców,
- ogląda sport,
- nie umie pocieszyć,
- głupio pociesza i bagatelizuje moje problemy,
- zawstydzta mnie przy znajomych,

- nie chce zobowiązań,
- kontroluje,
- obraża się, gdy nie mam ochoty na seks.

Jestem nieszczęśliwy. Dlaczego? Bo ona:

- nie daje mi przestrzeni,
- nie robi loda,
- przedkłada dzieci ponad związek,
- sprawia, że czuję się przy niej gorszy,
- nie docenia mnie,
- krzyczy,
- krytykuje,
- wiecznie ma pretensje,
- kłóci się z moją matką,
- kokietuje facetów,
- każe mi coś zrobić, gdy jestem zajęty,
- więcej zarabia,
- przytyła,
- niecierpliwi się, gdy jestem chory,
- wydaje na bzdury,
- dyryguje z kanapy,
- nie lubi moich kumpli, nie mogę się z nimi spotykać jak dawniej,
- obraża się, gdy nie mam ochoty na seks.

Oczekiwania. Kocham cię, ale pokaż, że zasługujesz na moją miłość. Udowodnij, że się nie pomyliłam, wybierając właśnie ciebie. Miałem trudne dzieciństwo, poskładaj mnie do kupy. Nie podchodź zbyt blisko. Dajesz za mało bliskości. Postaraj się, bo zacznę gasnąć, wychładzać się, coś we mnie pęknie, odkocham się. O, nie kocham cię już.



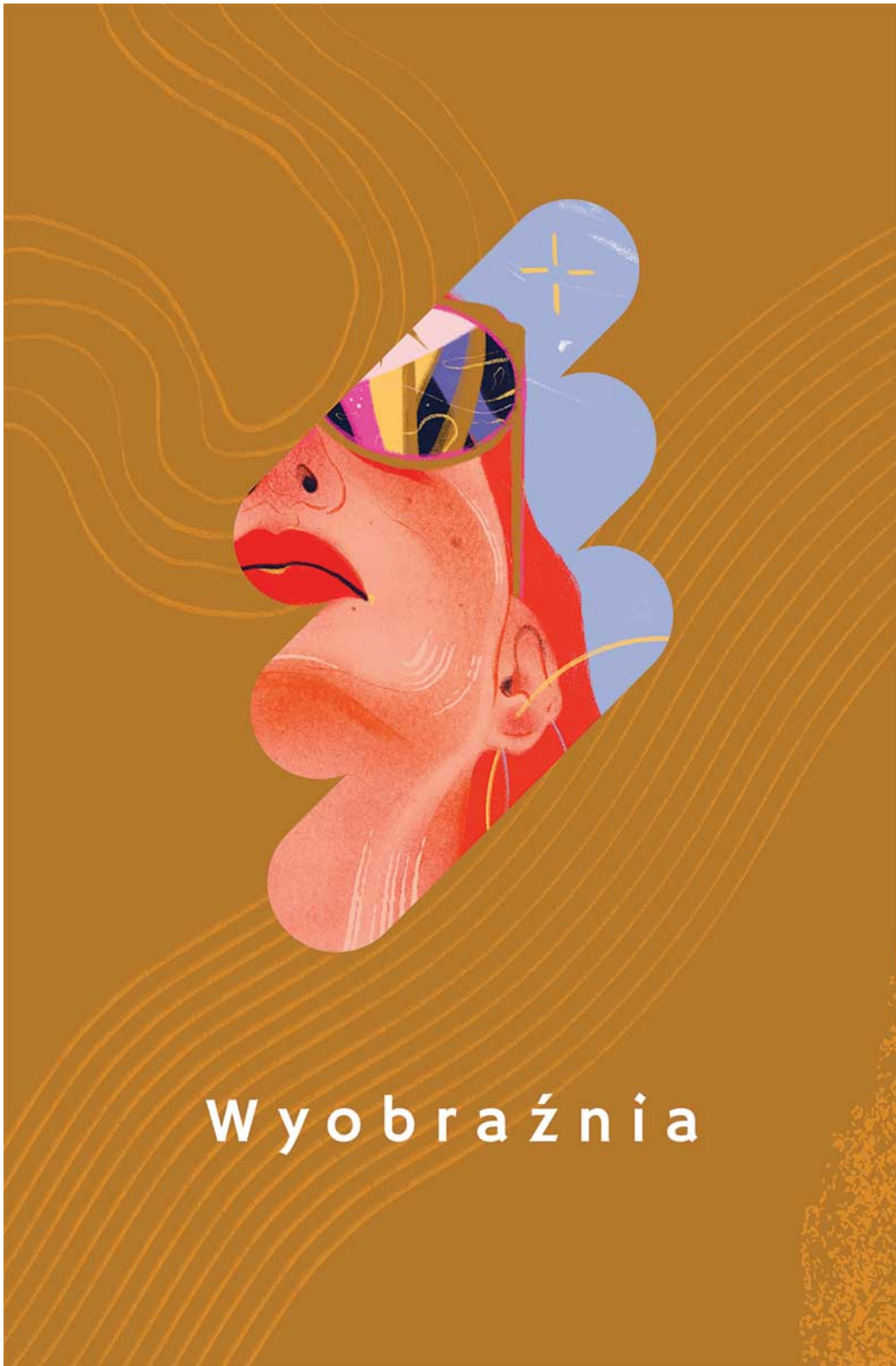
Mamy listę oczekiwań wobec najbliższych i cierpimy, gdy one nie są realizowane. Jakby tego było mało, mamy drugą, przeznaczoną dla obcych. Zupełnie obcych. Kochamy sportowców, najbardziej tych, którzy sławią imię Polski w świecie. Witamy ich na Okęciu, gdy wracają w blasku chwały. Kochamy, a oni

udowadniają, że zasłużyli. Do czasu. Nasza miłość jest warunkowa. Uważaj, sportowcu, dasz ciała – nie strzelisz karnego, nie obronisz bramki, skoczysz za nisko, upadniesz, nie pobijesz rekordu – zaczniemy się wychładzać. O, już cię nie kochamy. Teraz jesteśmy zmuszeni cię ukarać za nasze rozczarowanie, za przeinwestowanie.

Kochamy artystów. Ale uważaj, artysto! Musisz się bardzo starać, bo kupiłem na ciebie bilet, bo kochałem cię pod sceną, bo ci płacę. Tańcz! Śpiewaj dla mnie! Kaśka, kocham cię, jesteś taka fajna, jesteś nasza! Uważaj, Kaśko! Nie podoba mi się ten kawałek, rozczarowała mnie ta płyta, nie podoba mi się to, co mówisz, nie bawią mnie twoje żarty, zestarzałaś się, przytyłaś, chujowo się ubierasz, zrobiłaś reklamę. Jesteśmy zmuszeni cię ukarać. Jesteś winna naszego rozczarowania, przeinwestowania. Teraz spuścimy ci zasłużony srogi wpierdol. Zwalimy z cokołu, unurzamy w błocie, będziemy kopać twoje ciało, a potem jeszcze przez chwilę truchło. Bo już cię nie kochamy.

Oczekujemy od obcych, że będą nas tolerować, że pozwolą nam żyć, że okażą szacunek, nadadzą wartość. I cierpimy. Cierpimy, gdy te potrzeby nie zostają zaspokojone. Wirus. To jest wirus. Brutalnie i szczerze mówiąc, nie mamy prawa oczekiwać od drugiego człowieka absolutnie niczego. Chyba że chcemy kontynuować schemat: oczekiwanie – rozczarowanie – cierpienie. Serca moje, sprawdziłam, sprawdzam codziennie: wszystko, co przychodzi z zewnątrz, to posiłek na niby, łykanie powietrza, picie niewidzialnej herbatki z filiżanki dla lalek. Mamy wewnątrz – każdy z nas – *perpetuum mobile*. Maszynę, która tam jest od początku, zakurzona, nieużywana, ukryta pod stertą szmat, cała w pajęczynach. Jak to się odpali, działa już zawsze, bez przerwy, do końca. Stąd pochodzi wartość, miłość wyzuta z oczekiwań, godność nie do odebrania, szacunek, na który nie trzeba zasłużyć. Gdy maszyna pracuje, „kochamy cię, Kaśka” to trzy słowa, które nie są w stanie odkapsłować sodówki w głowie, nie karmią, a „jesteś, Kaśka, nikim” to ryk wzburzonych fal na powierzchni oceanu, podczas gdy Kaśka kontempluje jego głębię i ciszę, bo jest z niego, jest nim. Jak te fale, które myślą, że są sztormem, każda w poczuciu indywidualności, a przecież są i zawsze były potęgą oceanu. Straszliwie to metaforyczne, ale nie potrafię tego jeszcze opisać inaczej. Pewnie, jak większość ludzi, lubicie dowody naukowe, twarde najlepiej. Nie mam niczego takiego, bo dowody przynależą do

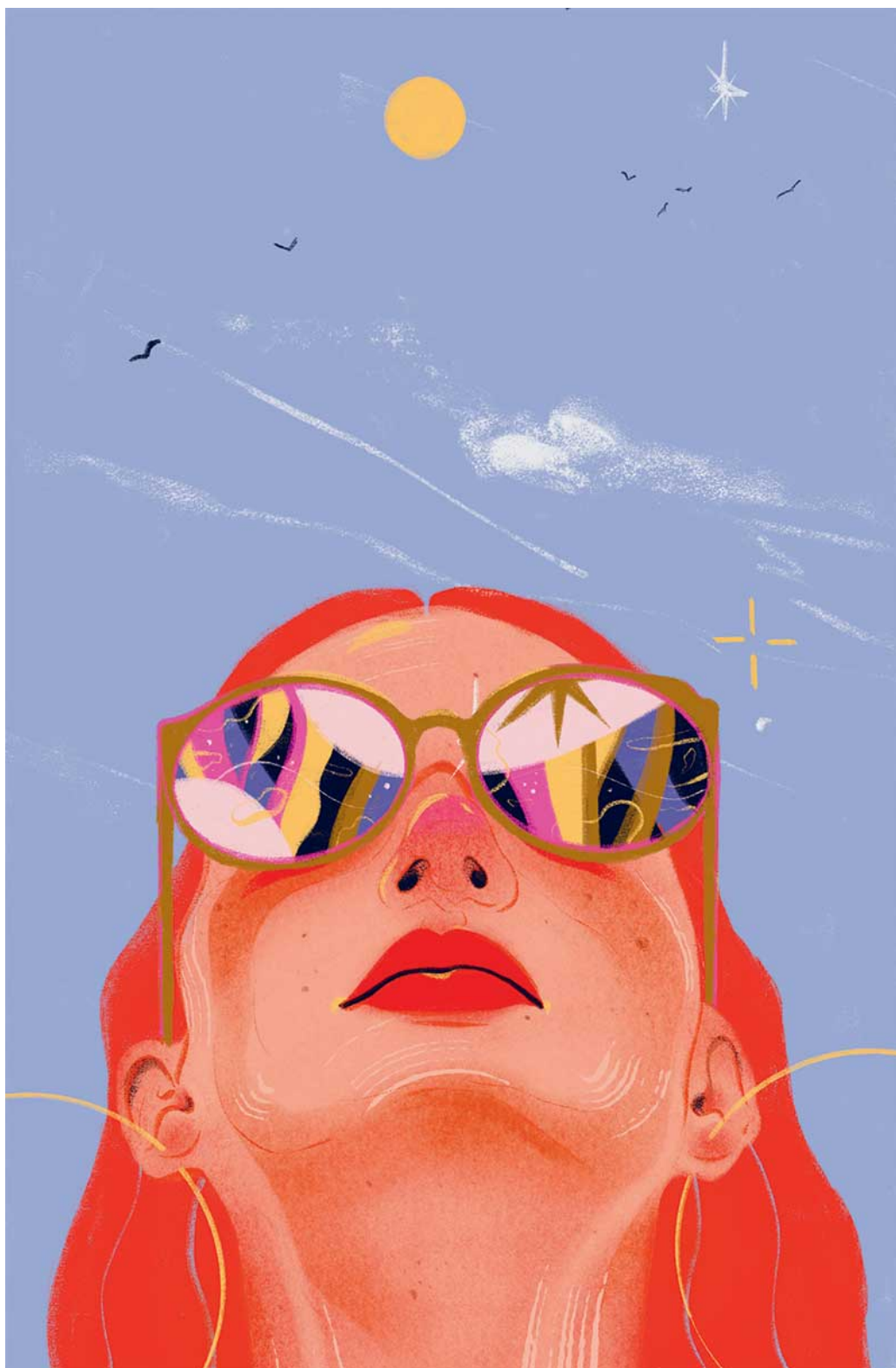
świata, w którym oczekiwania budują codzienność, a miłość jest transakcją.
Mam tylko czucie. Jest nas więcej, to pewne.



Wyobraźnia

Dostałam kiedyś wiadomość od chłopaka, który kilka lat wcześniej był na moim koncercie. Miał dosyć marne dla słuchacza miejsce, bo pod sufitem, na balkonie. Twierdził, że ten dyskomfort zrekompensowałam mu z nawiązką, bo cały koncert odśpiewałam, patrząc mu w oczy... Rzeczywiście mam tendencję do błędzenia wzrokiem na wysokościach, bo jestem wstydliva. W klubach chwytam się sufitu, w plenerze pojedynczej gwiazdy, księżycy, a jeśli niewidoczne, to nieba ogólnie. Jestem krótkowidzem poważnej kategorii. Cokolwiek dzieje się w odległości większej niż dwa, trzy metry (jeśli mam szkła kontaktowe lub okulary), nie jest widziane. Patrzę, ale nie widzę. Chłopaka też nie widziałam, ale jego wyobraźnia, wychwyciwszy kierunek mojego spojrzenia, dopowiedziała fajną historię.

Wyobraźnia nas, ludzi, wyróżnia spośród reszty stworzenia. Zastanawiam się, gdzie mieszka. Czy w całym mózgu? Czy odejmując poszczególne jego fragmenty, odejmujemy wraz z nimi część wyobraźni, czy może te części, niczym uchodźcy, uciekają przed zagładą i znajdują miejsce w tych rejonach mózgu, które przy człowieku pozostaną, żeby zawsze wyobraźni było sto procent? Ja kocham moją wyobraźnię. Oparła się jako jedyna haniebnym wpływom z zewnątrz. Moje ciało się pokurczyło, mój mental struchlał na lata, przestraszony wizją odrzucenia, a ona – dumna i pewna siebie – leżała na szezlongu, skubiąc winogrona w przerwach szalonego tańca wolnego od zasad, czystego, pełnego dziecięcej gracji. Nie przeżyłam w realu zbyt wiele, ale imaginowałam sobie, ile wlezie, zaznałam i zaznaję wszystkiego, czego zaznać chcę, a że mam wyobraźnię skomunikowaną z resztą ciała, czułam wewnątrz sensacje, gdy pod powieką projektowałam historie. W takiej sytuacji niezbędna jest bramka, granica, żadne Schengen nie wchodzi w rachubę, bo jeśli strażnicy opuszczą swoje budki, szlabany pójdą w górę, a wyobraźnia wejdzie do unii z resztą – jesteśmy w dupie. Czarnej, choć wyobraźnia będzie podpowiadać uparcie, że jaka dupa, że kwietna łąka, a my w galopie na jednorożcu.



Halucynujesz na trzeźwo, wizje przyprawiają o rozkoszny dreszcz albo wprost przeciwnie, doświadczasz najgorszego tripa w życiu. Bo spektrum działania wyobraźnia ma niezwykle szerokie. Trzeba siebie dobrze poznać, trzeba wiedzieć, z jakim towarem mamy do czynienia, dobrać precyzyjnie dawkę. Po-

ważna sprawa. Każdy z nas ma w sobie skarbczyk, w którym leżakują poloty. Rozejrzyjcie się wokół, ilu ludzi jest bliskich przedawkowania, posłuchajcie, co mówią, popatrzcie, jak żyją. Rzeczy, osoby, zdarzenia są, jakie są. W swej naturze raczej neutralne. Posłuchajcie interpretacji pod wpływem polotu. Polot (inna nazwa to „iluzja”) to najniebezpieczniejszy narkotyk na świecie. Tym bardziej że każde z nas jest producentem, dealerem i konsumentem w jednym. Mamy ućpany iluzją kraj, mamy ućpany iluzją świat. Politycy halucynują, że jesteśmy ciemną masą, którą da się formować w pożądane kształty. My, jeśli podłapiemy ich trip, czujemy się jak ciemna masa. Albo mamy wizję, że oni chcą dla nas dobrze, albo fantazjujemy na temat naszego rzekomego wpływu na świat. Czujemy dreszcz zajarani wolnością, która jest, bo polot dostarcza widoczne dla oka obrazy, dowody. A gdyby tak odstawić wyobraźnię i spojrzeć na trzeźwo? Przez chwilę, bez znieczulenia, uczciwie, odważnie się rozejrzeć. Jest?

Z innej beczki, bliżej jednostki. Przeczytałam w internecie, że wyraźną oznaką zainteresowania ze strony faceta jest otworzenie kobiecie drzwi albo odpisanie niemal natychmiast na esemesa, albo puszczenie oka, albo trzymanie za spojrzenie dłużej niż sekundę. Na trzeźwo – drzwi to drzwi, oko to oko, odpowiedź na esemesa to odpowiedź. Jeśli jesteśmy na haju, nieprzytomne, odpali nam się interpretacja zasugerowana przez gościa, który pisał artykuł, również będąc pod wpływem. Kolega parę dni temu puścił oko – do mnie. Gdybym nie używała wyobraźni świadomie, gdyby nie była na moich usługach, gdybym to ja była jej służką, pomyślałabym pewnie, że to coś znaczy. Może otworzyłabym mu konto w moim dwukomorowym banku, śledziła kolejne wpłaty. Mogłabym mu dorobić takie wąsy, taki gąszcz pod nagim w rzeczywistości miejscem poniżej nosa, że na trzeźwo bylibyśmy bardzo zdziwieni – ja rozmiarem swojej nadinterpretacji, a on tym, że niedobór magnezu i związane z nim drżenie powieki może tak oszołomić kobietę.

Liczę życie od nowa. To nadal bardzo świeże, choć powoli odmienna postawa zaczyna się ugruntowywać. Poskładałam połamany kręgosłup, jestem mocna i stabilna w corze. Nie da się mnie złapać, tanio uwieść, wskazać palcem kierunku, mówiąc: Popa tam! I usłyszeć zwrotne: O jaaa, ale cuda. Ani krzyknąć: Bój się! I doprowadzić mnie do skulenia, drżenia.

Ale co naszyłam dawniej w głowie – to moje. Jechałam na wyobraźni latami. Facet dawał łyżeczkę cukru, a ja się czułam tak, jakbym dwa lata konsumowała

kolejne piętra wypasionego tortu. Ludzie, których spotykałam, byli, dzięki polotowi, najpiękniejszymi wersjami siebie; ba, czasem zupełnie siebie nie przypominali. Żyli we mnie zasilani z mojego kabla, podpięci pod mój agregat. Przyjdź, nawet nie musisz być sympatyczny, sympatyczna, możesz defekować do moich uszu, możesz skrobać igłą moje gałki oczne, możesz chłeptać moją energię, szamać moją uwagę, wrażliwość, możesz sobie wycierać mną gębę, sprasować moje poczucie własnej wartości, a ja to w głowie pomnę, odpierdolę z wyobraźni twój zachwycający portret i umieszczę w salonie, sypialni, w centrum swojego życia.

Malujecie? Kolorujecie codzienność? Ustanówmy dzisiejszy dzień Światowym Dniem Przytomnego Oglądu Rzeczywistości. Jak jest?



Wstrzemięźliwość

Jesteśmy z P. w związku dwadzieścia dwa lata. Na początku kochaliśmy się tak często, że dzień z jednokrotnym zbliżeniem sugerował, że może coś się między nami wypala. Trzeba było natychmiast zagęścić ruchy, żeby przegnać niepokój. Dosyć skomplikowana sytuacja życiowa generowała wiele napięć, ładunki z emocjami, do których obsługiwania nie mieliśmy jeszcze narzędzi, detonowały spontanicznie każdego niemal dnia. Mogliśmy karać się za mniej lub bardziej wydumane przewiny srogim milczeniem, ale na seks to nie miało wpływu, w najgorszym razie kochaliśmy się w milczeniu albo natężeniem ruchów okazywaliśmy wzburzenie nagromadzone w ciągu dnia. Byliśmy emocjonalnymi dzieciakami. Każde targało na plecach ciężki, choć niewidzialny dla oka wór pełen lęku, niskiej samooceny, rozpacz, odrzucenia, poniżenia, braku zaufania. Przywieraliśmy do siebie nadzy łapczywie, jakbyśmy chcieli się nawzajem wchłonąć, a tym samym przez moment nie czuć przejmującej do głębi i stałej samotności. Na próżno. Każde z nas czuło ustawiczny ból, ale ograniczona świadomość nie pozwalała go przez lata objąć uważnym spojrzeniem. Ucieczka to jedyne, na co było stać dorosłe dzieci. Praca, towarzystwo, podróże, alkohol. Przenosiliśmy się do większych mieszkań, w których obijaliśmy się o siebie niczym kulki w grzechotce. W każdym kolejnym robiło się coraz ciemniej, coraz chłodniej. W przedostatnim P. był kandyzowaną wisienką taplającą się w drinku, a ja płakałam. Nie przywieraliśmy już do siebie, bo pustka naszych spojrzeń przerażała, była jak przepaść. Potem świat się skończył, o czym już wielokrotnie wspominałam. Mamy jakieś chody na górze, bo po rozerwaniu więzów nasza historia miała być kontynuowana. Spotkaliśmy się inni. Każde z osobna zeszło do głębin, do jądra własnej ciemności, samotnie, odważnie. Po prostu nie było innego wyjścia; no może jedno – zapaść się w śmierć. Ten pierwszy raz po przemianie był zupełnie inny. Byliśmy nieśmiali, onieśmieleni liczbą nareszcie widocznych, ale opatrzonych już ran. Zapach P. jak powrót do domu, oczy pozbawione bielma. Kochaliśmy się powoli i przytomnie. Płakałam po wspięciu się na szczyt. Ze wzruszenia, oszołomienia widokami. Nie bałam się wysokości, bo trzymał mnie wtedy za rękę.

To było prawie siedem lat temu. Procesy, jakim podlegaliśmy, były kontynuowane. Czas przeznaczony na opiekowanie się sobą dla mnie i dla niego był już koniecznością, prywatną potrzebą. Nie jesteśmy już dorosłymi dziećmi. Jesteśmy pełnoletni. Szukamy nieustająco odpowiedzi na najważniejsze pytanie: Kim jestem? W moim odczuciu odpowiedź na nie przybliżyła się, gdy zamiast poszerzać wiedzę, pozbywamy się tego wszystkiego, co wydawało nam się, że wiemy. Pocienkowujemy kijek, zamiast go pogrubasić. Ta metoda doprowadziła mnie do momentu, w którym uznałam, że seks jest przegadany. Ślubowałam sobie przecież uczciwość wobec siebie, a ta wyraźnie sugerowała, że mi się nie chce. Wielce prawdopodobne, że miało to związek ze zwijaniem hormonalnych żagli. Kontemplowałam temat niemal codziennie. Zadałam sobie pytanie, ile razy na przestrzeni całego dotychczasowego życia autentycznie pragnęłam zbliżenia. Ale tak na serio, prawdziwie, szczerze, ile razy chciałam podjąć gościa w tym cichym, miękkim miejscu. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że tak naprawdę to, no nie wiem, trzydzieści pięć procent razy? Zatem sześćdziesiąt pięć procent aktów to co to było? Co to, kurde, było? Po co? W jakiej sprawie?

Otóż, drogie dzieci, odkryłam, skuwając kilofem kolejne warstwy przekonań, że pozwalałam, by partner galwanizował we mnie miecz.

Bo:

- chciałam wyczytać z jego spojrzenia, że jestem coś warta,
- myślałam, że jeśli on ma satysfakcję, to znaczy, że jestem ekstra,
- bałam się, że jak odmówię, to znajdzie sobie taką, co nie odmawia,
- wyjdę na superkochankę, a superkochanek się nie zostawia,
- przytrzymując go w sobie, zatrzymam przy sobie,
- koleżanki będą zazdrościć, jak mamy fajnie (można kłamać, ale łatwiej nie),
- będę miała święty spokój,
- wyniesie wreszcie choinkę,
- zobaczy, jak się staram, i nie przestanie kochać,
- zagłuszę trudne emocje,
- na moment przestanę myśleć,

- zawisnę na perłowej nitce spermy tuż nad dnem przepaści, w którą spadam od dziecka.

Przytłoczyło mnie to. Postanowiłam dokontemplować temat do końca i podzielić się wnioskami z P. Ta rozmowa była żywym dowodem na bliskość innej kategorii, która stała się naszym udziałem po powrocie do siebie. Dawniej bym się nie odważyła, a i on nie odebrałby tego, co mówię, inaczej niż jako atak, odrzucenie. Okazało się, że mężczyzna, ten konkretny, a może jest takich więcej, też robi to czasem z powodów innych niż naturalne, szczerze pragnienie.

Robi to, bo:

- boi się, że zostanie zdradzony,
- ona odejdzie do innego,
- prawdziwy facet dużo wsadza,
- chce wygrać z kolegami w zawodach na ogiera towarzystwa (można kłamać, ale łatwiej nie),
- boli go istnienie,
- chce przez chwilę nie myśleć,
- w niej czuje się mniej samotny.



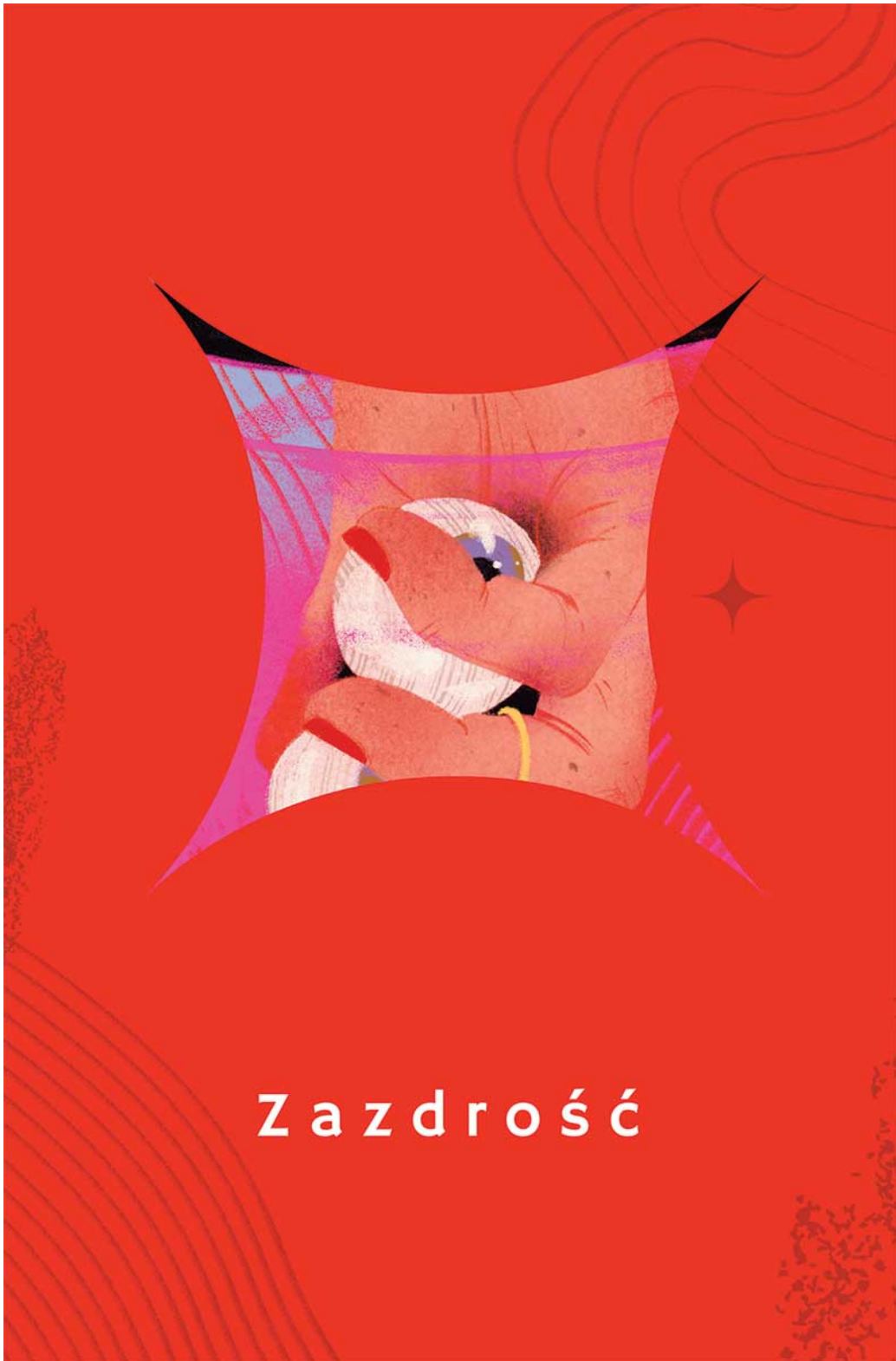
Doszliśmy też do konkluzji, że seks jest wszechobecny, wszystko jest o pierdoleniu, serial bez dymania nie istnieje, a my przecież dążymy do uwznioślenia, pragniemy gonić absolut, badać naturę rzeczywistości. I tak oto łagodnie przeszliśmy do fazy wstrzemięźliwości w naszym związku. Czułość, przytula-

nie, pocałunki, młodzieżowe klepnięcia w zadek w przelocie – jak najbardziej. Autoerotyzm dla higieny – również. Czasem nawet wzajemna pomoc w tym temacie. Ale zero gimnastyki. I tak prawie dwa lata.

Aż nagle, nieoczekiwanie, przy spuszczonej hormonalnych żaglach coś się zmieniło. Zaczęłam pisać tę książkę, utonęłam w tematach, które siłą rzeczy zabrały mnie do miejsc, gdzie fale gorąca z pewnością nie są uderzeniami gorąca. Podczas pisania słucham techno w przeróżnych odsłonach, a ta muzyka jakoś dziwnie wpływa na ciało, wywołuje poruszenie w szeregach komórek. Coś mi się stało. Pisanie, techno, badanie natury rzeczywistości, kontemplacja w ciszy, pytanie: Kim jestem? – zadawane wielokrotnie w ciągu dnia, przetykane samodzielnie wędrówkami na szczyt (jeśli wiesz, co chcę powiedzieć). Poczulałam głęboko, że nie chcę już tak, poczułam, że chcę... Musielibyście zobaczyć minę P., którego przyatakowałam, skupionego na komponowaniu, zapłakana, wyrzucająca z siebie chaotycznie treści typu: Ja nie chcę przeminać, zgasnąć, dać się opleść pajęczyną, nie chcę celibatu, seks jest przegadany, ale nasz nie będzie. Ja chcę!!! I znów popatrzył na mnie przyjaciel, mój człowiek, mój towarzysz, moje wszystko. Popatrzył uważnie, usłyszał, zrozumiał. Nasz pierwszy raz po dwóch latach był zupełnie inny. Inny, bo chciany, pozbawiony lęku, trzeźwy, uważny. Był jak spotkanie kompletnej dwójki, która nie szuka dopełnienia w drugim. Nieegoistyczny. Był jak taniec do zróżnicowanej setlisty. Idealnie skomponowanej. Patrzyłam w oczy P., przechodziłam przez otwory jego źrenic, i mogę przysiąc, że przez ułamek sekundy w tej przestrzeni za nimi wiedziałam, kim jestem, a natura rzeczywistości objawiła mi się w pełni... Widziałam w nim siebie.

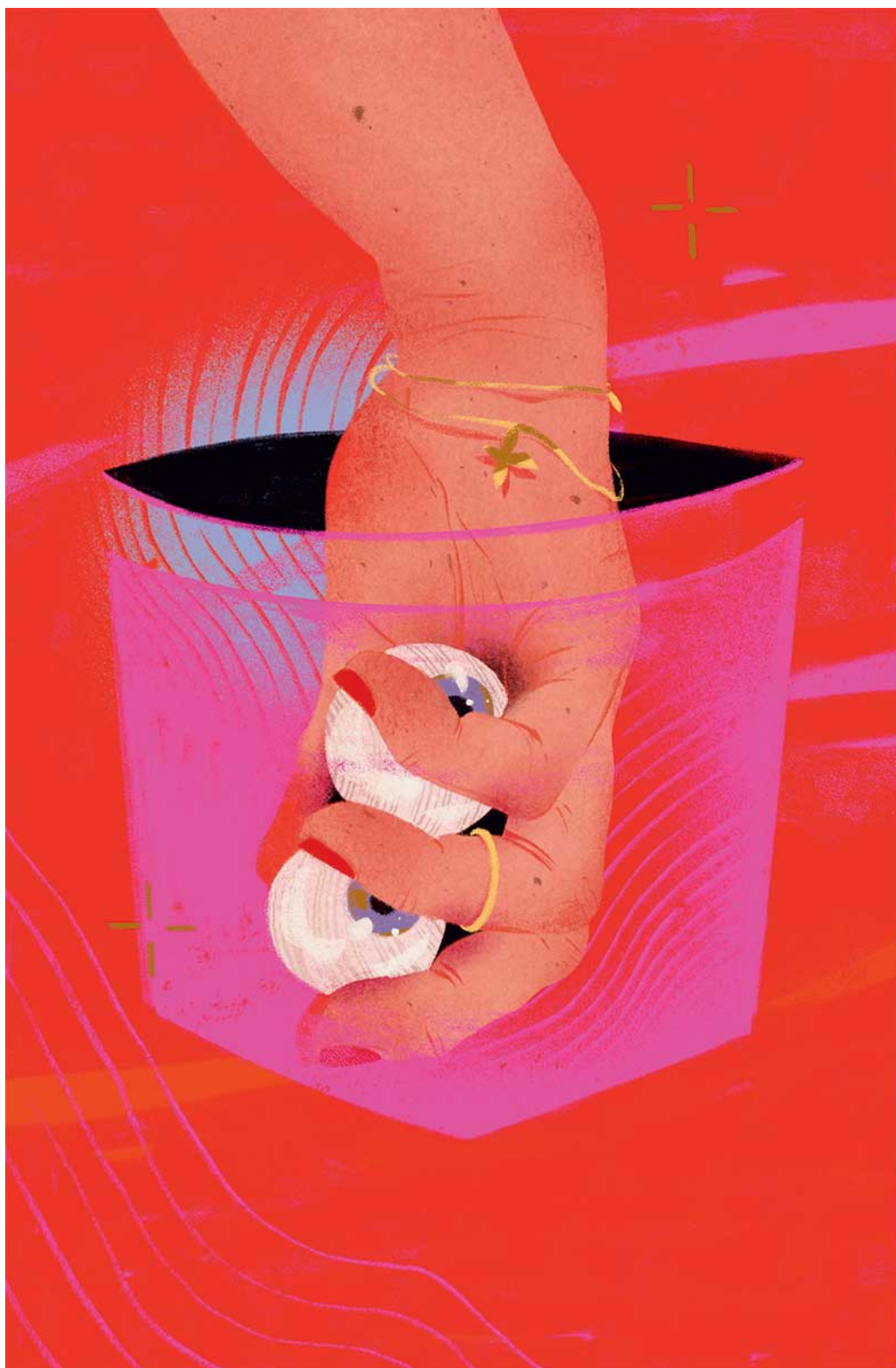
Wiem, że dla niektórych może to brzmieć dziwnie, a dla niektórych nawet obrzydliwie, ale trudno, co robić. My, starsi, będziemy sobie spokojnie kontynuować, bo ten fragment skały przekonań, że niby nie wypada, skuliśmy już dawno.

Bezseksie było nam potrzebne jak śluza, przez którą można przejść do zupełnie innego wymiaru współżycia. Tu jest miejsce dla wszystkich.



Zazdrość

Znacie mnie trochę. Z chorobliwej wręcz zazdrości wypucowałam Wam się wielokrotnie. Dawno temu w piosence Heya, potem w książkach i wywiadach. Wszyscy moi nieliczni partnerzy mogliby przybić sobie piątkę, przerzucać się opowieściami na ten temat, bez dumy prezentować blizny. Czasem przeglądam katalog wspomnień, by przypomnieć sobie siebie taką. Nie czuję wstydu, choć te sceny umieszczone w produkcji filmowej z pewnością zacisnęłyby widzowi krtań, wbiły go w fotel, odebrały mu apetyt na popcorn. Czuję współczucie. Jednakowo współczuję sobie i tym, z którymi przyszło mi spacerować przez życie. Kiedy już się naoglądam, przenoszę wzrok na paterę z soczystymi owocami swojej przemiany. Tych owoców nie można dostać w prezencie, trzeba je zdobyć samodzielnie. Wędrówka do drzewa, które nimi owocuje, przypomina wyprawę po złote runo, a ty jesteś niczym Jazon, który dobiera sobie Argonautów. Teraz myślę tak – jeśli ja jestem Jazonem, a Argonauci to wszyscy mądrzy ludzie, w tym terapeuci, to kim jest Medea, bez której czarodziejskiej pomocy wyprawa nie zakończyłaby się powodzeniem? Hmm. Medea to świadomość, jest we mnie, obserwuje bieg myśli i wie, że nimi nie jest. To cisza pomiędzy myślami, w której JESTEM, ale nie Kasią Nosowską; jestem, choć w tym byciu nie ma nic, co sprawia, że istnieję, gdy strumień myśli płynie wartko. Kurde, to jest ten niemożliwy do wyjaśnienia element i choć wszyscy mamy dostęp do tego rodzaju perspektywy, trzeba czegoś w rodzaju łaski, by wejść z nią w kontakt. Na zasadzie – jeśli zazdrość jest częścią przyziemia, to ostateczne uwolnienie się od niej nie nastąpi bez lotnego elementu; trzeba się niejako wznieść powyżej głowy, w której wszystko wydaje się tak cholernie istotne i prawdziwe do bólu. I jest realne, bolesne, żywe, gdy więzi nas czaszka.



Mnie z czaszki uwolnił cios tak mocny, że odłupał jej fragment, wystarczający, by zrozumieć, że było mi ciasno, że jestem znacznie większa, że jak piszę w piosence *Predatoprzywry*: „Wiem przecież, że jestem gigantem, gdy bezcielesna, w istocie nie do tknięcia. Mnie mieści tylko wszechświat”. Jestem niepo-

radna w słowach, nie umiem jeszcze znaleźć odpowiednich, ale tak bardzo pragnę, żebyście mi zaufali, z pozoru obcej, że Wy też... Ty i Ty też.

Wracając do przyziemia. ONI, ci jacyś oni, mówili, że istnieje bezpieczna dawka zazdrości, że jak jest miłość, to zazdrość musi być, ale odrobina, dla pikanterii, na dowód, że nam zależy. Oczywiście, że to czytałam, słyszałam. Tylko ile, kurwa, tej zazdrości, to odrobina? Kiedy jest za dużo? Odrobina jest wtedy, gdy czuję kulkę zaciśniętą w brzuchu? Ale do jakiej średnicy kulki mogę czuć się ze sobą okej? Czy odrobina jest wtedy, gdy on patrzy na inną babę, a ja mogę to jeszcze przełknąć i przemilczeć? Czy kiedy powiem głośno, że kulka się powiększa, to już źle? Czy jeśli babka prosi go do tańca i miednicą napiera na jego miednicę, a ja czuję niepokój, to luz? I to trwa przez całą piosenkę, i w ogóle macają się ciałami, a mnie skręca, ale on tłumaczy, jak głupiej, że to przecież tylko taniec, to skręcanie już świadczy o patologii, czy to jeszcze pikanteria?

Gdy o północy przychodzi esemes, to można spytać od kogo? Czy akceptowalnym dowodem na uczucie jest zadanie sobie tego pytania w głowie? No bo wiadomo, że rycie w jego telefonie, gdy bierze prysznic, to już pato.

Zazdrość to potwór. „Gdybym mogła, schowałabym twoje oczy w mojej kieszeni” to niby metafora? No, moi państwo, nic bardziej mylnego. Total wprost. Zwariowany umysł podpowiada zwariowane metody. Myślisz: gdyby przełożyć jego oczy do kieszeni, toby się nie gapił, ale chwilę później już wiesz, że nie, że to nie ochroni cię przed opuszczeniem, że będzie rozmyślał, marzył, a do jego głowy nie ma dostępu.

Zazdrośnik urządza sceny, płacze, prosi, błaga: Nie rób mi tego. Zakazuje, buduje zasieki, sprawdza, węszy, obserwuje. Pozostaje w stanie najwyższej czujności za dnia, a w nocy śni o zdradzie, o tym, jak go, jej szuka po korytarzach, pokojach, i boli go senne ciało, bo zazdrośnik wie, że znajdzie w końcu ten pokój, ten krzak, to miejsce, gdzie on z inną albo ona z innym, albo on z innym, albo ona z inną ochlapują się wydzielinami. I znajduje. Potem się budzi, ale wrażenie ze snu przechodzi na jawę, jest wyraźnie odczuwalne przez przytomne już ciało. No i robi gnój.

Nawet jeśli uda się uprosić ukochanego, żeby znając naszą przypadłość, bardzo się pilnował, to nie będzie nam to smakowało, bo z tyłu głowy mamy, że to wyproszone, a tak naprawdę...

Jest mi trochę niedobrze, gdy to piszę. Skala cierpienia obu stron jest przytłaczająca. To nie jest życie. Tyle w tym lęku po obu stronach, że nawet względnie dobre chwile mają przydymione kolory.

Najważniejsze, by przyszedł moment, który uświadomi nam, jak potężnie jesteśmy zmęczeni, ba, wyczerpani. Moment, gdy dotrze do nas, że to nie ma nic wspólnego z partnerem, jego zachowaniem, podobnie jak nieistotne są zachowania i podpierdolki innych. Bo partnerzy się zmieniali, bo ludzie są, jacy są, a tym, co mamy zawsze przy sobie, są nasze głowy, nasze starsze niż relacje przekonania. Nasz ból, do którego źródła pragniemy się wreszcie dokopać. Nie podpowiem metody, bo jesteśmy podobni, a jednak różni. Znajdź własną grupę Argonautów. Bo jesteś przecież Jazonem. Bo to Twoja wyprawa po owoce. Chcę tylko powiedzieć, że to możliwe. Chcę powiedzieć, że skoro ja mogłam, to może każdy. Przyjdzie moment, gdy pojawi się siła i gotowość.

Wnioski z podróży? Tak, czułam się nic niewarta. Tak, moja samoocena pełzała, szorując brzuchem o podłogę. Tak, panicznie bałam się odrzucenia. Tak, żyłam w błędnym przeświadczeniu, że partner nada mi wartość, że mnie podniesie. Tak, czułam się jak Sebastian Fabijański w klatce, a każda kobieta nokautowała mnie w trzydzieści pięć sekund (w mojej wyobraźni), tylko że on chociaż konkretnie zarobił, a ja zyskiwałam dwa miliony powodów, by czuć się ze sobą jeszcze gorzej. Oto skład żyznej gleby, w którą wpuszcza rozłożyste korzenie i pręży się dumnie masywny baobab zazdrości. Szkoda baobabu, bo rośły i stary – taka myśl się pojawiła raz, pewnie z przywiązania do tego co bolesne, ale przynajmniej znane. Jebać baobab. Jebać bonsai baobabu, który rzekomo ma dodać pikanterii. Miłość, ta prawdziwa – do której droga wiedzie przez dziurę w czaszce – nie potrzebuje doprawiania.

Nie czuję już zazdrości. Mój ukochany biega bez smyczy. Jest wolny. Może zostać, może się oddalić. Czuję spokój w ciele i umyśle. Sięgam po słodki owoc z patery. Myślę z ciekawością o tym, co dalej. Jestem.

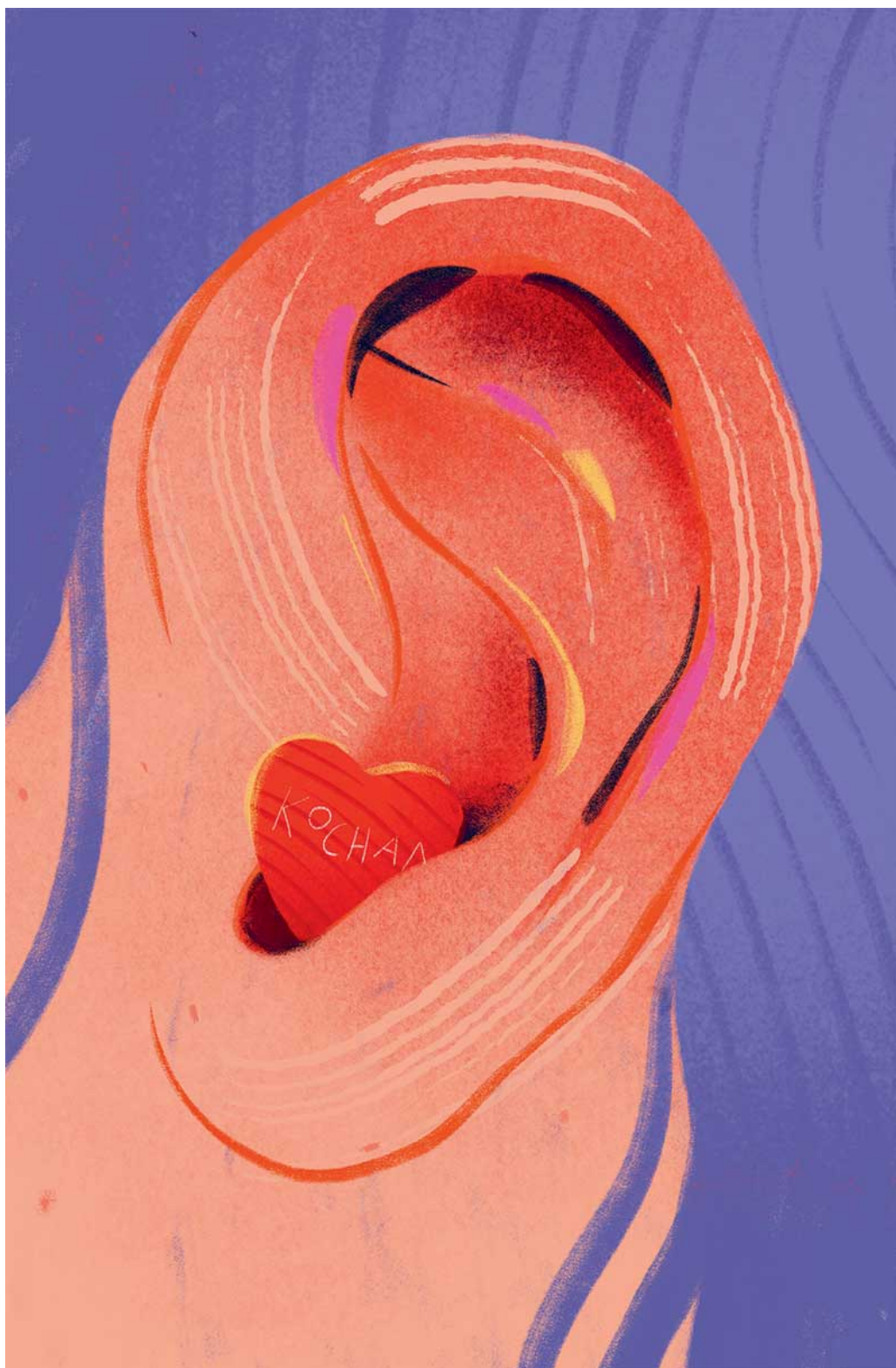


Kocham wszystko

Kocham tę knajpę. Kocham taką pogodę. Kocham ten podkład; tak świetnie kryje i się nie zbryła. Kocham pęd powietrza, gdy jadę na motorze. Kocham piątek po pracy. Kocham siedzieć z tobą przy winku. Kocham rozmowy z moimi psiapsi. Kocham łowić ryby. Kocham piłkę nożną, w ogóle kocham sport. Kocham Hiszpanię. Kocham zachody słońca. Kocham Dawida, kocham Sanah, kocham Dode. Kocham te buty. Kocham nasz kraj. Kocham pomagać.

Tak łatwo przychodzi nam wypowiadać te słowa. Słowo. Do każdego przypisane jest jakieś znaczenie. Czujesz, myślisz, jak to wyrazić, szperasz w zasobach, kleisz w zestawy, które wypuszczasz, by opowiedzieć swój stan. Opowiedzieć siebie. Baza ze słowami powinna być non stop poszerzana, bo jesteśmy – nawet jeśli prości – niezwykle wielowarstwowi. Nie da się opowiedzieć siebie w miarę precyzyjnie po masie doświadczeń, używając zestawu słów, które wynosimy z dzieciństwa.

Byłam dziewczynką odczuwającą głęboki deficyt miłości. Dziś wiem, że w dorosłość weszłam, nie rozumiejąc, czym jest. Słyszałam zbitkę „kocham cię”, ale przypisywałam do niej określone wrażenia. Kocham cię zawierało „ale”. Mieściło w sobie groźbę, mnóstwo oczekiwań, było warunkowe, dawane i odbierane. Dorosłość przyniosła potwierdzenie, tego się spodziewałam, to otrzymywałam, to dawałam. O tym, że nie wiem, czym jest miłość, co znaczy „kocham cię”, dowiedziałam się jako dojrzała kobieta. Albo raczej zrozumiałam, że „kocham cię” używam niewłaściwie, bo tak mnie nauczono. Szastałam frazą jak szasta nią cały świat. Bo świat zdaje się mówić, że kochać znaczy czuć miłą sensację w ciele, umyśle, oczywiście warunkowo, do czasu gdy obiekt „miłości” nie odwali czegoś, co zmieni sensację na niemiłą. Na własny użytek, po głębokim przeanalizowaniu tematu, wybrałam przywrócenie frazie „kocham cię” wzniosłości.



Nie mówię tego ot tak. Ba, czuję dyskomfort, gdy ktoś rzuca lekko w moim kierunku: „Kocham cię, Kaśka”, bo wiem, że w głównym nurcie oznacza to, ni mniej, ni więcej, że jestem miłorobem teraz, do czasu. O tym, czym teraz jest dla mnie miłość i kiedy z przekonaniem wypowiadam słowo „kocham”, spróbu-

ję opowiedzieć później. Rezerwuję to słowo, z pasją ryję w *Słowniku języka polskiego* w poszukiwaniu słów, które pomogą wyrazić stosunek do podkładów, zarcia, artystów, mebli, piątek i butów. Wbrew pozorom jest tego mnóstwo, mamy w czym wybierać.

Właśnie przyszło mi do głowy, że faceci często twierdzą, że zamiast mówić „kocham cię”, okazują miłość czynami: no przecież, że cię kocham, bo wyrzuciłem śmieci. Kochasz tę knajpę? Zostaw frazę, idź na zaplecze opróżnić kubek, a kobiecie powiedz „kocham cię”, gdy już rozpoznasz, czym jest miłość.

Oczywiście wolna wola w temacie. Jeśli masz luz, że chłopak kocha ciebie i kocha piłkę nożną, a także gołąbki mamy, i orientujesz się w tym wszystkim, to wspaniale. Jeśli on czuje się wyróżniony, bo kochasz jego i podkład, i winko z psiapsi, i Dawida, to nie ma problemu. W sumie to się nawet zgadza, bo Dawida przestaniesz kochać, gdy nagra słabą, twoim zdaniem, płytę; podkład, gdy zniecka uczeni; a chłopaka, gdy zawiedzie twoje oczekiwania.

Język można traktować lekko, ale wszyscy doświadczyliśmy momentów, gdy coś ważnego sypało się przez słowa. Za język można dostać w dzisiejszych czasach poważne bęcki, zostać zniszczonym, wykopanym na banicję, poza nawias społeczeństwa. Jedno słowo, zła jego forma, nieuważnie skomponowana zbitka słów – i leżymy. A tu gra idzie o miłość, o temat gigant, o najważniejsze, co może nas spotkać za życia, najbardziej poszukiwane. Pewnie zdarzy mi się jeszcze wykopyrtnąć na poziomie doboru słów nie raz, ale już wiem, co dla mnie znaczy „kocham cię”, i nie użyję go bez zastanowienia.



R o z m o w a

Niby proste. Wystarczy otworzyć usta i pozwolić myślom wypłynąć na zewnątrz. Nasze słowa opadną drobinami na bębnową trampolinę, posprężynują chwilę i trafią do głowy tego drugiego, który przez moment będzie trawił treść, a potem pośle frazę w odpowiedzi.

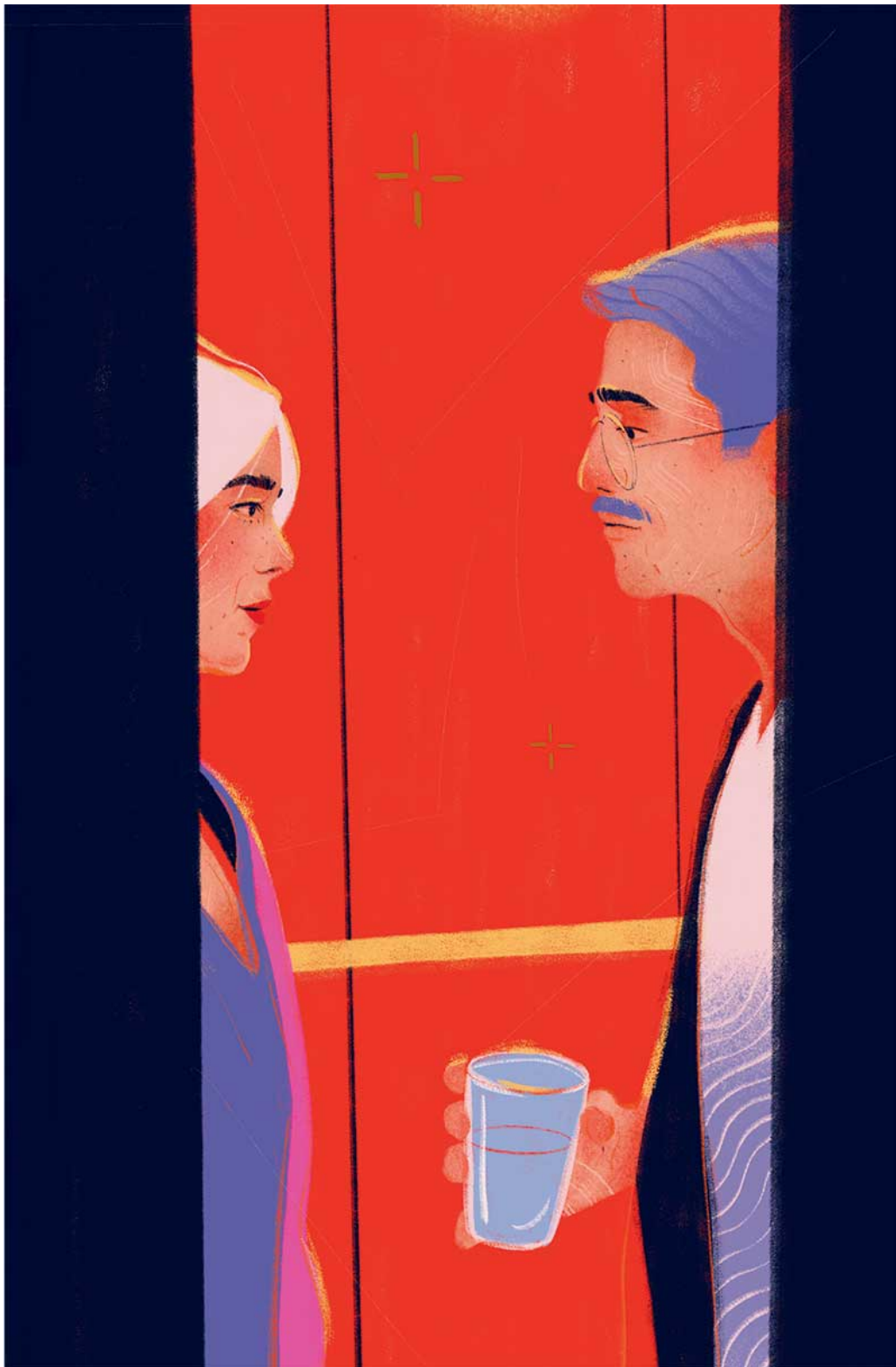
Nigdy nie lubiłam small talku. Męczy mnie. Nic nieznaczące zdania sprawiają, że się wyłączam i zaczynam myśleć o śmierci, o tym, że nieustająco zmierzam w jej kierunku i zamiast teraz właśnie najadać się życiem – stoję i patrzę, jak ktoś wypuszcza w moją stronę parę z ust. Nie słyszę, śledzę ruchy warg, błyskające spomiędzy nich zęby, i tęsknię za kimś, kto powiedziałby do mnie coś wartego usłyszenia, albo za ciszą. Zawsze byłam nieśmiała, ale to nigdy nie wpływało na otwartość w rozmowie. Mogłam mieć kłopot ze znalezieniem rozmówcy, lecz gdy już udało się opanować lęk w stopniu umożliwiającym nawiązanie kontaktu, gotowa byłam na wspólne wejście do windy i zjazd na głębsze poziomy. Przez większość życia pragnęłam rozmowy z drugim człowiekiem, bo miałam bardzo ograniczone zaufanie do siebie. Część mojego umysłu zwana podpierdalaczem zdawała się najbardziej wpływowa, przemawiała odważnie i najgłośniej, pozostawiając pozostałe części w skuleniu i wątpliwościach. Liczyłam na to, że wymienię z kimś spostrzeżenia, a tym samym wyprowadzę zahukane elementy siebie ku poczuciu, że nie jestem szalona, osamotniona, że czerep planety udeptują istoty czujące, myślące podobnie. Liczyłam, że bliźni pomoże mi choć na chwilę zakneblować podpierdalacza, który dwoił się i troił, by podtrzymać w mojej głowie wrażenie głębokiej alienacji. Widać jak na dłoni, że nie byłam w rozmowie bezinteresowna. Cześć, oto moje bliźny, niepokoję, pokaż mi swoje, nie bój się. Bardzo chcę je zobaczyć, żeby porównać z moimi i przez chwilę poczuć ulgę. Najgorzej było spotkać kogoś, kto po zjeździe windą ciut pod powierzchnię przyziemia, zachęcony poczuciem pozornej jeszcze bliskości, zaczynał przemawiać głosem tego, kogo mieliśmy wspólnymi siłami zakneblować – mojego wewnętrznego kata. Na zasadzie: Oto moje bliźny i niepokoję... Odpowiedź: No najwidoczniej zasłużyłaś. Z katowskim duo niełatwo sobie poradzić, więc po takiej wymianie fraz lądowałam na powrót w dramatycz-

nych okolicznościach własnego umysłu, gdzie podpierdalacz niczym Josef Fritzl przetrzymuje w klitce pod podłogą moje bezbronne elementy, maltretując je z jeszcze większą pasją.

W ramach kajanka, samobiczowanka moje przewinienia w rozmowach:

- przesiewanie przez sito wypowiedzi rozmówcy w poszukiwaniu fragmentów, którymi będę mogła nakarmić wewnętrznego głodomora emocjonalnego,
- traktowanie rozmowy jako bitwy na racje,
- konstruowanie w głowie odpowiedzi na bieżąco, zanim wypowiedź dobiegnie końca,
- nerwowe wyczekiwanie, aż nareszcie będzie można przekierować dialog na jedyny słuszny – mój – temat,
- niesłuchanie i udawanie, że słucham,
- przybieranie tonu eksperta zasiadającego na kanapie w telewizyjnej śniadaniówce,
- nadmierna koncentracja na formie zamiast na treści,
- postawa przewodnika wycieczki: Patrzymy w lewo, patrzymy w prawo, ruszamy, nie zatrzymujemy się.

Nie wszystkie przewinienia naraz. Czasem kombinacje złożone z kilku zaniedbań, czasem przewinienie pojedyncze. Ale nawet jedno wystarczy, by przepaścić szanse na szlachetną formę rozmowy. Nie wiedziałam tego dawniej.



Często jestem proszona o nagranie filmiku z życzeniami dla przyszłych małżonków. Zawsze, ale to zawsze wspominam wtedy o najwyższej randze rozmowy. Ślub to oczywiście trochę za późno, by uczyć się rozmawiać. Moim zdaniem nie ma co się pchać przed ołtarz, jeśli nadal tkwimy w charakterystycz-

nym dla fazy zakochania snuciu fantasmagorii na swój temat. Jeśli jeszcze nie do końca poznałam siebie, jeśli nie odważyłam się dotąd rozpoznać i zaopiekować elementóW, jakie się na mnie składają, nie przedarłam się przez ciemność w sobie, to nie pójdę na spacer przez życie z człowiekiem, który dysponuje zafalszowanymi danymi na mój temat. Nawet jeśli w sypialni skacze na mnie z żyrandola i nigdy nie chybi. Nawet jeśli nasz small talk występuje w zestawie powiększonym o frytki i dużą colę. Bo to się nie uda. Bo to nie ja będę ślubować, tylko jakaś sklecona z wyobrażeń i pobożnych życzeń na swój temat persona. A jeśli naprzeciwko stanie ktoś, kto również dokument tożsamości przechowuje w sejfie, do którego zapomniał kodu i od lat posługuje się fałszywką, to nawet nie będzie wiadomo, do kogo mieć pretensje, kto kogo właściwie oszukał, zawiódł.

Wspaniale byłoby umieć komunikować się niewerbalnie, niejako zaczytywać siebie prawdziwych po przyzwalającym skinieniu głowy albo przystawieniu czoła do czoła. Nieidealnych, w drodze do poznania, nieufnych, zabiedzonych emocjonalnie. Wierzę, że prawda w połączeniu z głębokim szacunkiem do drugiego człowieka może być spoiwem, które przytrzyma nas przy sobie, gdy znacznie bujać, gdy pojawią się turbulencje, gdy słabsze wychyli nos z piwnicy, gdy wyrwie się z nas skowyt wywołany nawrotem dawnego bólu. Na razie nie umiemy niewerbalnie, ale możemy się zdobyć na odwagę, by opowiedzieć sobie w rozmowie. Jeśli pojawi się odwaga, to jeszcze trzeba zadać sobie pytanie, czy jesteśmy gotowi przyjąć prawdę drugiego, dać mu bezpieczną przestrzeń do wylądowania. Wtedy można prosić druhny, by zaczęły sypać płatki róż na dywan wiodący do ołtarza. Powiecie, że znacie pary, które są ze sobą dwieście lat, a nie rozmawiają, no chyba że o zakupach, dzieciach, wnukach i chorobach... Tak, są takie, ale zawsze się zastanawiam, czy nie jest im samotnie we dwoje. Raźniej – tak, ale czy nie jest samotnie.

W rozmowie (moim zdaniem) jest cierpliwe oczekiwanie na gotowość, łagodność, zaufanie, głęboka ciekawość tego, kto do nas mówi, zachwyt nad jego unikatowością, niepowtarzalnością kolorytu, jaki wnosi do świata, prawda, która nawet jeśli trudna, nie rzuci hasła do galopu koniom oceny. Nareszcie pragnę poznać ciebie. Chcę cię zapamiętać, słyszę, a jeśli odejdziesz do świata czy poza jego obręb, to będę w stanie opowiedzieć wszystkim pozostałym, kim byłaś, byłeś, opowiedzieć prawdę. Ty też mnie zapamiętaj. I nie będzie to ni-

czym wielokrotnie zniekształcona przez nieuwagę wypowiedź w zabawie w głuchy telefon. Jeśli to, co jest, to MIŁOŚĆ, rozmowa będzie korytem, które wypełni czysta, żywa, zdrowa woda. I zmiesza się z wodą, z której składamy się ty i ja.



Używki

Czasem (wcale nierzadko) człowiek sprawia wrażenie, jakby poszczególne komórki jego ciała trzymały się kupy, zamiast rozpierzchnąć się w różnych kierunkach, tylko dzięki abstrakcyjnej sile życiowej, która nie podlega woli. Głowa przypomina pustostan, opuszczone sanatorium z salą zabaw, w której pod sufitem dynda podarta serpentyna, po kątach walają się kawałki potłuczonego szkła, w rogu stoi wypatroszony telewizor. W powietrzu unosi się zapach kocich odchodów, a ściany, od których odbijają się echem zniekształcone fragmenty dawnych rozmów i śmiechu, mają łuszczycę. Jedyne życie stanowi uwijający się w transie pająk, który rozbudowuje i tak rozległą już pajęczynę. Brakuje gospodarza. To się czuje.

Spotykam tak wiele osób, patrzę im w oczy, obserwuję je w ruchu, a jednak nie mam wrażenia, że to spotkanie z żywym. Nie sposób przedrzeć się przez gęstą zaporę mgły, która matowi spojrzenie.

Gospodarz ucieka, bo przytłacza go ból, którego źródła nie umie dociec, obezwładnia bezsilność, czyniąca uporządkowanie lokalu – by był czysty, ciepły i przyjazny na tyle, żeby się urządzić – zadaniem ponad siły.

Stragan ze sposobami na ucieczkę od siebie, od przytłaczających emocji, jest pełen towarów. Każdy coś sobie znajdzie. Wiem, bo zaopatrywałam się tam regularnie przez większość życia. Pisząc „używki”, myślę o wszystkim, co jest w stanie znieczulić ciało i umysł. Wszystko, co tępi zmysły, ogłusza komórki nerwowe, wprowadza w komę świadomość. To, co jest kondomem, w który wciskamy się w pośpiechu w całości, by nie wejść w kontakt z rzeczywistością bez zabezpieczenia. Bo to boli.

Można się zgłuszyć alkoholem, narkotykami, zakupami, seksem, gramami, serialami, można ćpać ludzi, wysysać z nich soki, energię, podróżować, jeszcze więcej pracować, a nawet zająć się pomaganiem czy walką o lepszy świat, szprycować się feminizmem, grzać do utraty przytomności wszelkie odmiany aktywizmu, wciągać Polskę, wcierać w dziąsła głodującą Afrykę, jechać na pigułe Chrystusa... Wszystkie chwytaki dozwolone, byle być co najwyżej gościem w sobie, a najlepiej nie bywać w sobie wcale.

I teraz rzućmy hasło „związek”. Wystarczy nieobecność jednego, żeby pełnia możliwości, jaką niesie relacja, nie mogła się zrealizować, a w moim odczuciu żyjemy w czasach, w których za ręce chwytają się jednakowo nieobecni, jednakowo zabezpieczeni przed czuciem. Pijanymi umysłami próbują organizować codzienność, bełkoczą do siebie, nazywając to rozmową, chwiejnym krokiem prowadzą dzieci ku dojrzeniu. Idą, zataczając się, przez życie, by ostatecznie dotrzeć do brzegu Styksu, przeprowić się na drugą stronę i może nareszcie – bezcieleśni, bezosobowi – otrzeźwieć.



Kiedy już jesteśmy w trybie ucieczki od siebie, w narkozie, straszliwie trudno o refleksję, że jest nienaturalnie, nieprawdziwie. Jak w klasycznym uzależnieniu wjeżdżają mechanizmy wyparcia, racjonalizacji i zaprzeczenia.

- Zajeżdżam się w pracy, bo trzeba na to wszystko zarobić.
- Piję, żeby się zrelaksować.
- Ćpam, żeby raz na jakiś czas odpiąć wrotki, zapomnieć o presji.
- Przepierdalam pensję na szmaty, bo coś mi się chyba od życia należy.
- Walę seriale do rana, bo to świetne produkcje.
- Plecak mam w pogotowiu, bo podróże kształcą.
- Jestem aktywistką, bo zależy mi na lepszym świecie.
- Pieprzę się, bo naprawdę uwielbiam seks, bo go potrzebuję.

Ucieczka w duchowość jest stopień wyżej i szczególnie trudno się połapać, że może być zwykłym znieczulaczem. Ba, jeszcze podstępniej działa, bo można wręcz mieć wrażenie, że człowiek nareszcie się przebudził i wprowadził do siebie z meblami, a klęczy wpatrzony w figurę, tańczy do dźwięku mis tybetańskich, łamie sobie język na klepaniu obcojęzycznej mantry, pali świece aniołom równie oddalony od sedna jak dawniej.

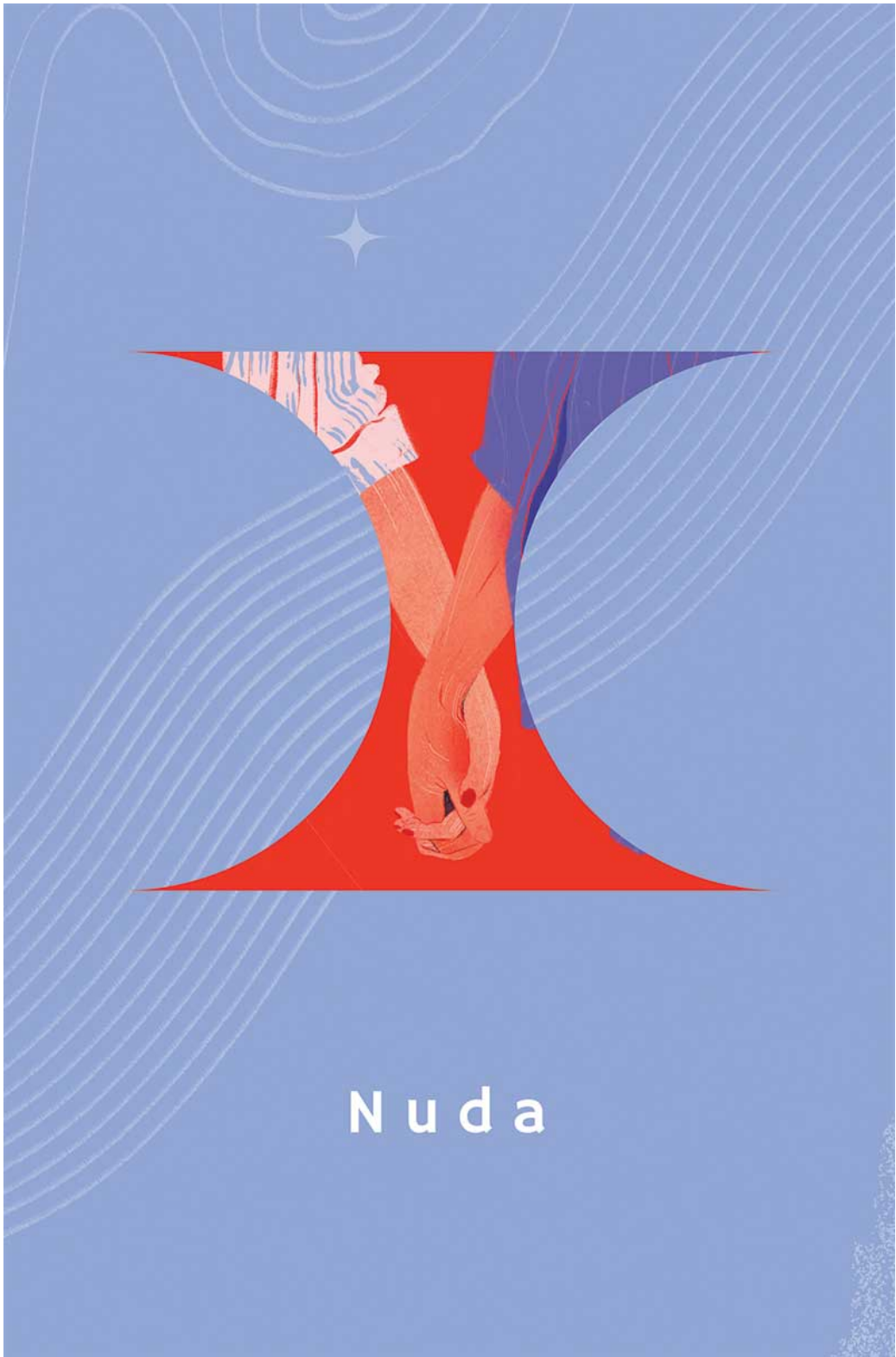
Jak w takim stanie poczuć drugiego człowieka? Jak go dotknąć zdrętwiałymi palcami, odebrać przez skórę impuls, jaki nam wyśle? Jak go zobaczyć przez wszystkie warstwy, gdy swoich mamy tak gruby kożuch, że tylko one mogą się o siebie nawzajem pocierać?

Seks. Czy zdarzało się Wam dziabnąć, żeby łatwiej wejść w tego rodzaju bliskość? Mnie dawniej zdarzało się, owszem. Żeby mniej się wstydzić, żeby rzekomo bardziej się otworzyć, żeby uruchomić fantazję, żeby nie bać się oceny albo tego, że coś pójdzie nie tak. Są ludzie, którzy ani razu nie kochali się na trzeźwo. Nigdy. W tak wielu sypialniach nakładają się na siebie puste skorupy, które wydają czasem dźwięki, by udać, że przecież są, że przecież uczestniczą. Pomijając wzniosłość, która może się pojawić, gdy dwa nagie ciała dotykają się intensywnie całymimi powierzchniami, znieczulacze serio znieczulają członki i na przykład mineta po alkoholu może trwać tak długo, że obudzimy się w następnym wcieleniu nadal bez orgazmu, więc żeby uratować język darczyńcy przed wypadnięciem z zawiasów, trzeba w końcu sfingować ekstazę. Albo można się zajechać, polerując ustami berło z pieczołowitością godną polerantki królewskich sztuców, i nie sprawić, by krew podpłynęła dostatecznie wysoko.

Trzeba wtedy udać senność, bo berło nie zagra, że wysyła na koniec oślepiającą wiązkę promieni z czubka.

W zalotach dopuszczamy się przekłamań, troszkę zataimy, troszkę nie dopywamy na swój temat, wszystko po to, by zwiększyć szanse na przyciągnięcie kogoś, człowieka. Jeśli jednak tę propagandę uprawiamy, nie mając dostępu do siebie samych, pogrążeni w śpiączce, to chciałoby się zapłakać. Szczerze zapłakać nad fejkowym życiem, nad tą okrutnie poruszającą samotnością. Nad pustką, jaką skrywa barwna fasada. Nad otchłanią bólu, na której ciemnym dnie na pewno, zwinięta w kłębek, poleguje istota przynależna z natury do prawdy, miłości i światła.

Wyszarpowanie z siebie rurek, przez które wsącza się w nas znieczulenie, nie jest przyjemne. Pierwszy realny kontakt z rzeczywistością sprawia, że ból zyskuje na sile, ale potem pomalutku zaczynamy nawoływać samych siebie do powstania, cierpliwie i łagodnie, aż przychodzi ten dzień, gdy nareszcie zamieszkujemy w sobie. Przywracamy funkcje zmysłom, ciału czucie. Warto pożyć, wiedząc, co się dzieje, choćby to miały być ostatnie nasze lata. Obejrzeć uczciwie, co jest, czego brak, czy to o taki los chodziło, i dokonać koniecznych zmian. Warto poczuć w sobie, na sobie, obok siebie, pod sobą to drugie. Warto czuć tak mocno, że sam oddech na skórze zmiękczy nas niemal natychmiast, a kilka pociągnięć językiem po płatkach, czy pewne objęcie ustami korzenia, zabierze powyżej sufitu. W ramach pierwszego aktu oczywiście, bo czas nie istnieje w ultraprzytomności.



N u d a

Cpotrafisz? Zarobić, a może nawet pomnażać zarobek? Nie przechodzić na drugą stronę ulicy, gdy z naprzeciwka nadchodzi osiłek? Deklasujesz ziomków, jeśli chodzi o liczbę skutecznie uwiedzionych partnerek? Uprawiasz sporty ekstremalne? Posiadasz parę złotych rączek? Tytuły naukowe nie mieszczą ci się na wizytówce? Jesteś szefową wszystkich szefowych? Politykiem, który robi w chuja niczego nieświadome sondażowe masy? Ekstra! Gratulacje.

A jak sobie radzisz z nudą? Czy nieskończenie brzemienne w pustkę minuty przerażają w stopniu, który czyni podjęcie jakiegokolwiek aktywności koniecznością? Czy mierzysz nudę w minutach, a może przytrafiła ci się nudna godzina, wiele nudnych godzin, dni i... wytrwałaś, wytrwałeś bez znaczącego uszczerbku na psychice? Ja to szanuję totalnie. To mi imponuje szalenie. Oto sprawność warta zdobycia.

Wszechwiedźma Wikipedia twierdzi, że nuda jest stanem jednoznacznie pejoratywnym. Nie jestem i nigdy nie byłam typem zdolnym do przebywania długo poza domem. Nie mam pewności, czy gdybym wyplukała krwiobieg z paralizującej nieśmiałości, bywałabym w świecie więcej. Bo przecież to na zewnątrz krążą antidota na nudę. Całe ich bogactwo. Dom również można wyposażyć w multum pułapek na splin, by każdy jego najdrobniejszy przejaw wyeliminować, zanim rozleje się lepką obecnością i wciągnie pod powierzchnię, przeniknie do wnętrza wszelkimi dostępnymi otworami, unicestwi.



Nuda jest niebezpieczna, tak myślałam. No i świadczy o zaawansowanej głupocie. Wszyscy słyszeliśmy, że ludzie inteligentni się nie nudzą, a ktoś chciałby dobrowolnie dać się zaklasyfikować jako ten wyzuty z inteligencji? Ileż ja się natrudziłam, by podtrzymywać wizerunek impregnowanej przeciw nudzie.

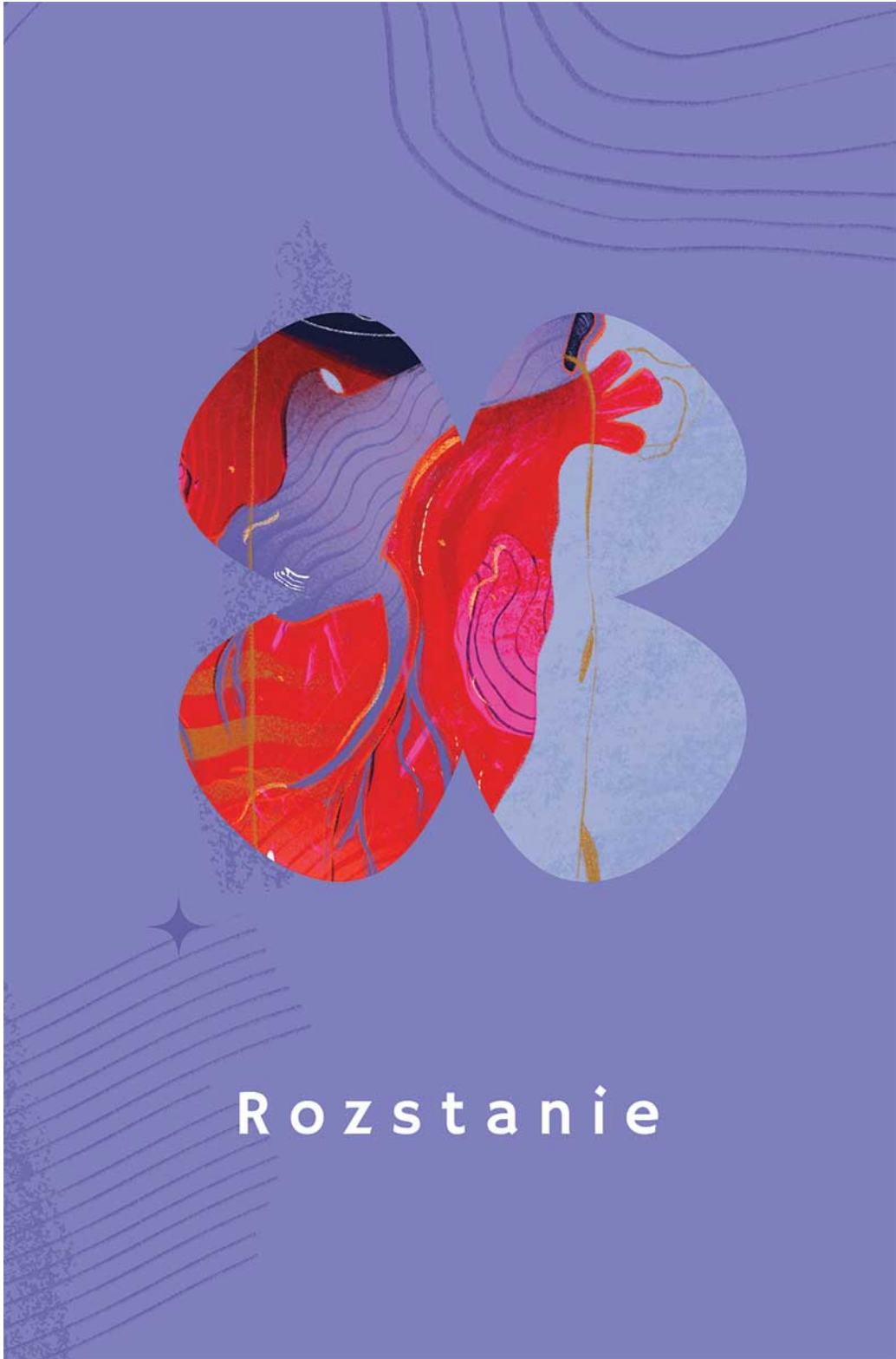
Jakże imponujące pozy cielesno-mentalne przybierałam, by zabezpieczyć przed nudą swoje związki. Grałam szaloną, zalotną, wstrząsałam dowcipem, onieśmiałam cytatami, rzucałam chochlą w dal, do zlewu, tańczyłam, sprzątając, chodziłam na mecze, łowiłam ryby, zrobiłam kurs masażu, kupiłam kurs arabskiego, brałam na klatę spontaniczne naloty gości, przyrządzałam wielodaniowe posiłki, układałam kolorami ubrania i książki, przestawiałam meble, służyłam radą i pomocą bliskim i całkiem obcym... Po to, by ostatecznie z ulgą paść na kanapę, gotowa na spotkanie z beczynnością, jak się okazało pozorną, bo stanowiącą najczystsza formę bycia, okazję do nawiązania głębokiego kontaktu z własnym istnieniem, kiedy to JESTEM – z konstruktów intelektualnego, wrażenia – staje się doświadczeniem.

Może letarg celowo przedstawia się w negatywie? W tym bezruchu na początek pojawia się stosunkowo niewielki dyskomfort, który (szczególnie w ciszy) powoli przybiera na sile. Towarzyszy mu wyraźna skłonność umysłu do uwalniania coraz większych porcji poczucia winy z jednoczesną utratą kontroli nad charakterem pojawiających się kolejno myśli. Wyczuwalnie rośnie poziom stresu, a wraz z nim członki zalewa fala lęku. Kontrolki zaczynają migać i rozdzielający dźwięk syreny każe uciekać w popłochu, zrobić cokolwiek, byle się uwolnić. Ale to tylko bąble piany, która jest na wierzchu. Znacznie poniżej jej poziomu znaleźć można wszystko to, co bolesne, bardzo niewygodne, a jeszcze niżej bije źródło prawdy na nasz temat. Czyste, niewinne. Tak to widzę, takie mam doświadczenie. Tam się kończą pytania, a może zostaje tylko jedno: Kim jestem? I natychmiast znajduje odpowiedź, która jednak nie przychodzi w formie słów, bo tam się kończą również one. Ze zdziwieniem przyjmujemy to, że była tam zawsze, tylko zanurkowanie w głąb na wstrzymanym oddechu wydawało się ponad siły. Jakie to zachwycające przekonać się, że słabość to mit. Jakie to szokujące, że wektor należy zwrócić do wewnątrz, zamiast kontynuować wyczerpującą wędrówkę po bazarze różności, jakie oferuje świat zewnętrzny. Z zewnątrz może przyjść inspiracja, na pewnych etapach – pomoc innych, ale kluczowa część rozgrywa się w głębi, gdzie jedynym towarzyszem jest ta lub ten, który pamięta ból, zgubił siebie w obcych przekonaniach, oczekiwaniach, kłamstwach. Tylko ten, ta może wrócić do siebie, do domu. Im bliżej tego miejsca, tym więcej błogosławieństwa dostrzegamy w nudzie, tym stanie poza wszelkimi aktywnościami. Przestaje być wstydliva, a staje się odpoczynkiem,

okazją, by wykąpać się w ciszy, zaczerpnąć ze źródła, złapać równowagę. Przejrzeć dane dotyczące codzienności, cofnąć film z poprzedniego dnia i obejrzyć swój taniec, sprawdzić, na ile był autentyczny i pełen gracji. To przestrzeń, gdzie naturalnie zaczynamy rozumieć drugiego człowieka, akceptujemy odmienność jego tańca albo to, że nadal podpiera ściany.

Może jednak celowo popycha się nas do amokowego działania? Przecież to oczywiste, że człowiek, który odkryje swoją moc, staje się niezależny w stopniu, jaki uniemożliwia sprawowanie nad nim kontroli. Jeśli celem jest utrzymywanie nas w poczuciu wiecznego zmęczenia, a my znajdziemy w sobie źródło tego, co regeneruje i za co nie trzeba bulić ciężkiego hajsu, mogą wkurwić się wszyscy, którzy na nas zarabiają. Jeśli chory wyzdrowieje, runie system funkcjonujący dzięki chorobie. Czy jestem głupiutka i pierdolę kocopoły? W pewnych kręgach uznają, że na sto procent. Nie zmienia to dla mnie niczego, gdy nurkuję bez strachu w pustce, gdy oddycham miarowo.

Związek, w jaki wchodzić dwie osoby, które nudzą się z przyjemnością, świetne rokuje.

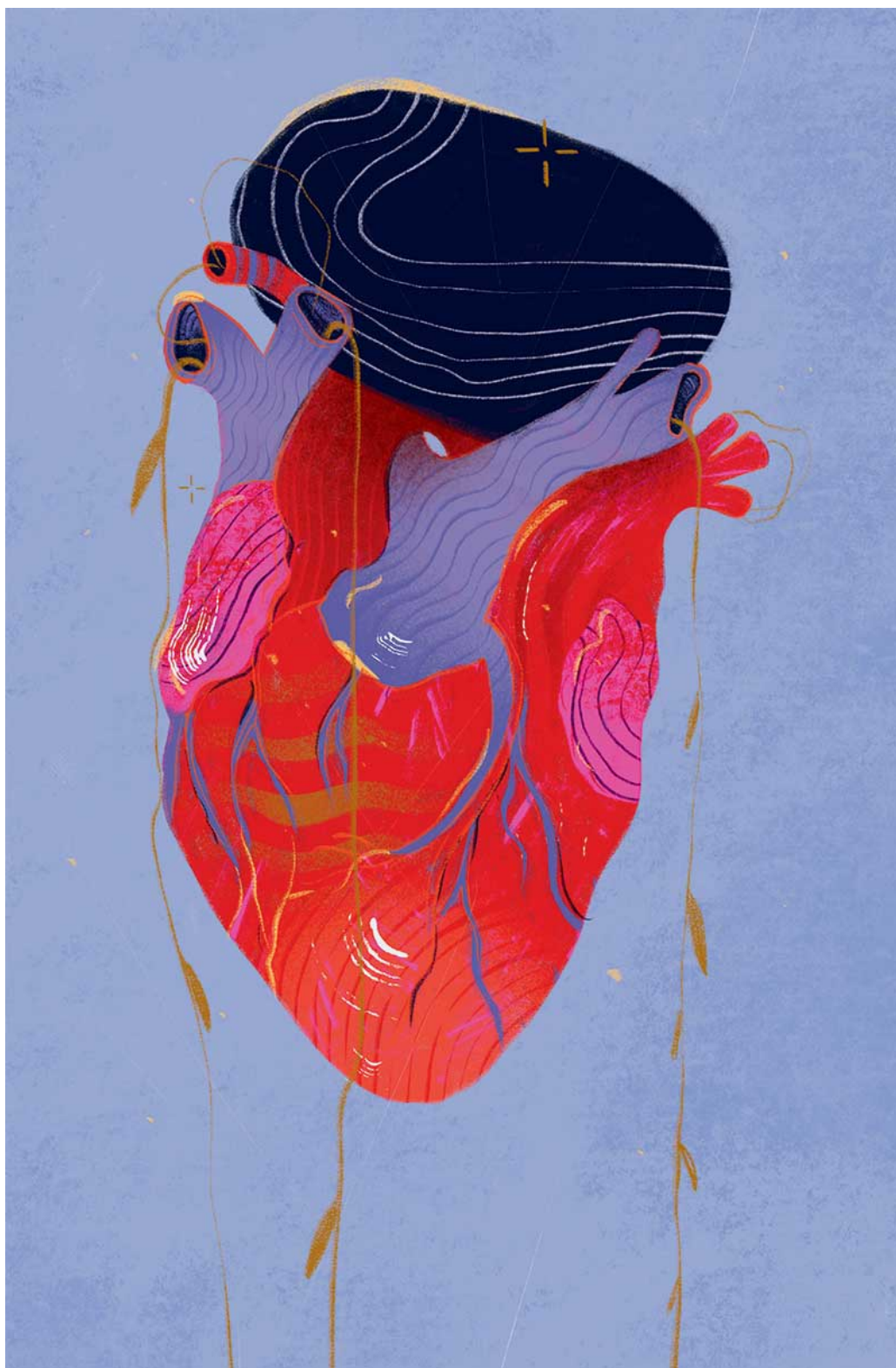


Rozstanie

Rozstawałam się łagodnie. Najpierw dało się zauważyć, że miłość ma niezdrowe, bledsze oblicze, potem dochodziły kolejne objawy świadczące o postępie poważnej choroby. W końcu diagnoza, że to nieuleczalne, że śmiertelne. Dom nagle staje się hospicjum, czujesz zapach śmierci, wiesz, że czeka na ostatnie tchnienie spokojna i pewna. Zanim miłość je wyda, starasz się tylko uśmierzać ból. Jeśli związek trwał długo i zdążyły się pojawić dzieci, starasz się do ostatniej chwili, sztucznie podtrzymujesz miłość przy życiu, oddycha tylko dzięki zasilaniu zewnętrznemu, maszynie, która pompuje powietrze w niezdolne do samodzielnego oddychania płuca. Patrzysz na agonię, zbierasz się do podjęcia decyzji o odłączeniu aparatury. Dźwięki, jakie wydaje, są słyszalne przez całą dobę, a ta melodia, mroczny, rytmiczny ambient, stanowi podkład, pod który przewijasz w myślach waszą historię. Żegnasz się.

Nieczęsto się zdarza, że razem siedzicie nad dogorywającym uczuciem. Zazwyczaj jedna osoba jest świadoma całego procesu, druga zaś nie zauważa pierwszych oznak choroby, wypiera również zapach śmierci i wszechobecny dźwięk respiratora. Kabel ze ściany wyszarpane któregoś dnia, samotnie, ta świadoma rozpadu.

Rozstawałam się łagodnie, bo wiedziałam zawczasu, że koniec nadchodzi. Moja wylękniona, nienauczona miłości konstrukcja nakazywała mi wchodzić w związek z wypraną i odprasowaną żalobną garsonką, która od początku, ukryta w pokrowcu, czekała w szafie na moment, gdy ponownie będzie okazja w nią się wcisnąć. Przyznaję się dziś uczciwie do sabotażu. Analizowałam wielokrotnie i dogłębnie swoje postawy i wiem, że nieświadomie realizowałam ten sam schemat – nie zasługuję na miłość, jest pewne, że się skończy, ale ja będę czujna niczym ważka, rozpoznam symptomy, wyciągnę z szafy żalobne szaty, a ty nie zobaczysz, jak ronię łzy – będę twarda, najtwardsza.



Na pięć związków jeden trwa, cztery odpięłam od aparatury podtrzymującej życie. Jednego z tych czterech w pewnym sensie żałuję, ale już wiem, że gdy możemy oglądać zdarzenia z perspektywy czasu, żal nie ma najmniejszego sensu. Z tatą mojego syna rozstałam się, zdawać by się mogło, kompletnie bez

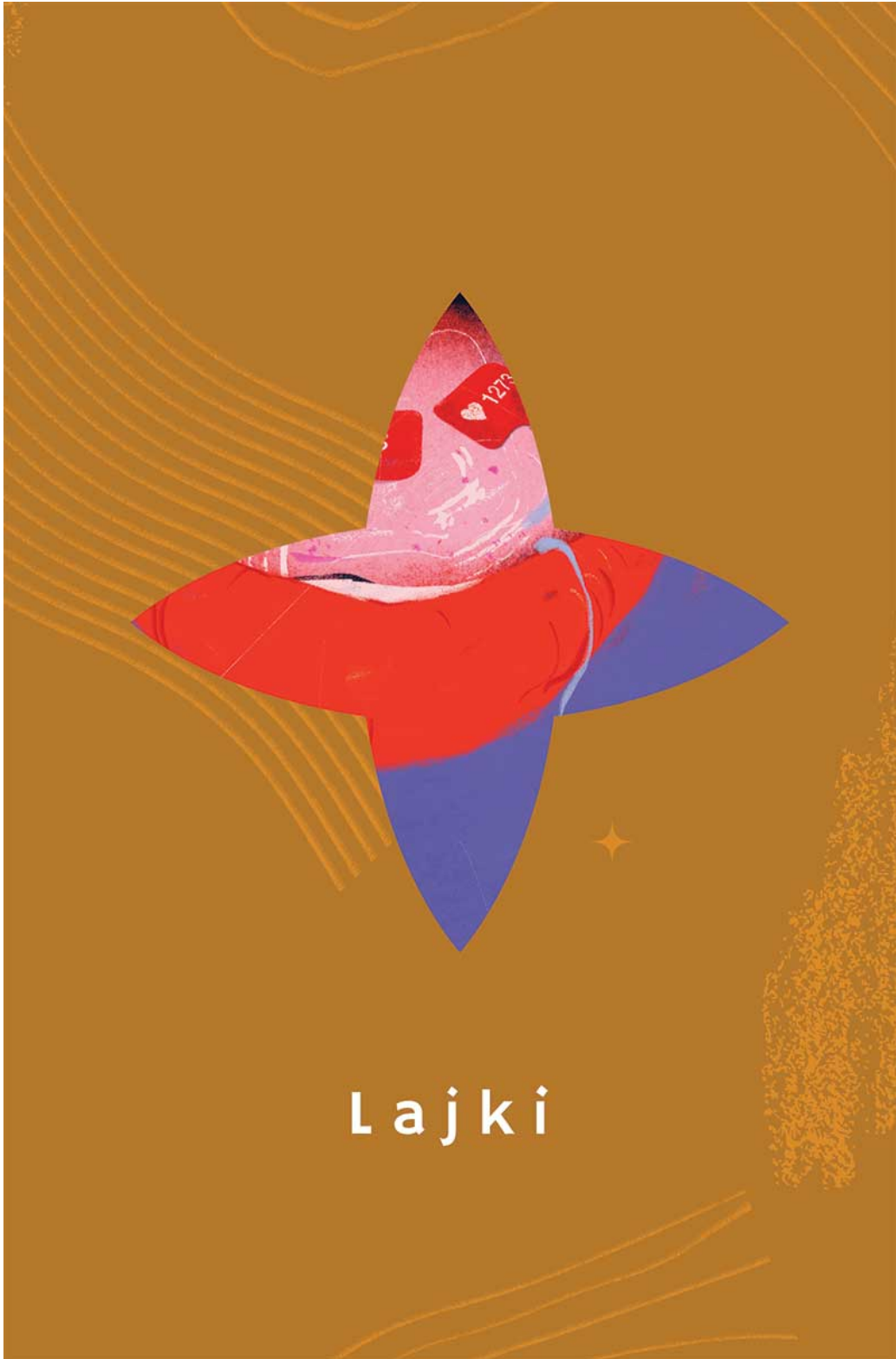
sensu. Byliśmy szaleńczo zakochani, byliśmy też najlepszymi przyjaciółmi. Nie klóciliśmy się, życie płynęło łagodnie i nawet obiektywne trudności, na przykład brak pieniędzy, nie były w stanie nadwątlić tego uczucia. Kiedy urodziło się dziecko, byłam młoda (jak na obecne standardy), on był jeszcze młodszy. Badaliśmy ten dziewiczy teren razem, przestraszeni, niepewni, ale w bliskości i zrozumieniu. Jedyne, co się zmieniło, to to, że – nie wiedzieć z jakiej przyczyny – byliśmy jak kochający się brat i siostra albo tylko superprzyjaciele. Gdzieś uleciała ta silna wcześniej damsko-męska chemia. Nie ustałam tego. Nie przeczekałam. Może któregoś dnia naturalnie by powróciła. Nie dowiemy się tego. W zamian dałam się porwać z tego ciepła, z tej bliskości, z tego porozumienia niemal bez słów facetowi na drewnianym, malowanym koniu, który cały był chemią i... tylko chemią. Zjazd po jej zażyciu okazał się tragicznie wyczerpujący, ale wartością pozostałą po przepuszczeniu tego spotkania przez sito była bezcenna konstatacja, że nie zamienia się laski z pięknie rzeźbioną główką na kij bejsbolowy, gdy laska czyni życie łatwiejszym, a kij codziennie roztrzaskuje ci czaszkę.

Rozstanie czuje się w ciele. Najbardziej, gdy to nas ktoś opuszcza. Moje ciało zna ten stan. Przeszywający chłód. Marzniesz pomimo upału. Szczęki uderzają o siebie albo trwają w zacisku, jakby jedna drugą chciała zmiażdżyć. Jelita się wiją. Serce zamiera, bije tylko tak, żeby przetrwać, z trudem unosi głaz, który zdaje się je dociążać. Odrealniasz się. Nie jesteś już litym ciałem, porwano cię na drobne kawałki, które zabiera wiatr. Unosisz się nad miastem, cząstki ciebie krążą nad dzielnicami i byłoby ci wszystko jedno, gdyby żadna z nich nie zachowała pamięci i uczucia. Dławisz się własnym językiem. Płacz rozrywa kanaliki łzowe, jakby cała woda, z której się składasz, chciała wypłynąć na zewnątrz, wsiąknąć w ziemię, w ziemi zniknąć. Tysiące drobnych nitek, którymi byliście do siebie przytroczeni, pourywane, ciągniesz po podłodze. Miejsca na ciele, którymi zdążyliście do siebie przyrosnąć, to otwarte rany o szarpanej powierzchni. Samotność genitaliów – tak, tam też to czujesz. Głowa to pralka w trybie wirowania, wiesz, że miliony myśli obracają się w niej w szaleńczym tempie, tak szaleńczym, że nie rozpoznajesz sensu poszczególnych, zlewają się ze sobą, mają najbardziej przygnębiający odcień szarości. Wierzyłaś, wierzyłaś, że to ta druga połówka, że doświadczyłaś, doświadczyłeś świadomości bycia całością. Znów jest ciebie pół, nie ruszysz, bo masz tylko jedną nogę. Właściwie

nawet nie chcesz się przemieszczać, bo wszędzie są ślady waszych stóp, a miasto jest pełne łuszczących się plakatów z wydarzeń z waszego wspólnego życia, pomników tego uczucia, pamiątkowych tablic, przy których nikt nie zapali już świeczki. Nie śpisz, bo panicznie boisz się spotkania we śnie, dobrego czy złego – bez znaczenia; każdy senny scenariusz będzie jednakowo bolał. Nieobecność przedmiotów, luz w szafie, szczoteczka singielka, pełna władza nad pozycją deskowej sedesowej, wyczyszczona z towarzystwa połowa łóżka, cisza, ta straszliwa cisza... To jest jak mała śmierć. Myślisz nawet, że ostateczność prawdziwej śmierci byłaby łatwiejsza do udźwignięcia, bo świadomość tego, że on, ona odycha gdzieś, ale nie przy tobie – miażdży. Jesteś skatowana, skatowany, ale zaczynasz dodatkowo tłuc sine miejsca własnoręcznie. Połówka, którą jesteś, dzieli się znów na pół. Od teraz odrzucona, odrzucony i stacjonarny kat w jednym to ty. W nieskończoność zadajesz sobie pytanie: Co zrobiłam, zrobiłem źle? I znajdujesz odpowiedź, mnóstwo odpowiedzi, i nienawidzisz siebie, i musisz ukarać. Znasz siebie, więc wiesz, jak to zrobić, żeby popamiętać do końca życia.

Czas ponoć pomaga. Niekiedy tak. Znam jednak pełzające przez życie połówki ludzi, którzy nigdy się nie podźwignęli, którzy po prostu starają się dopełnić do cmentarza i tam wreszcie odpocząć, i może nareszcie utracić pamięć.

Dziś wiem, że kluczowym zadaniem jest podważenie koncepcji dwóch połówek. Potrzeba stania się całością w sobie jest pilna. Bycie razem osiąga zupełnie inny *level*, na innym gruncie wzrasta relacja i inaczej się kończy, jeśli koniec jest jej pisany. Jesteś kompletna, kompletny już teraz, w tej chwili. Zobacz to tylko, Kochanie.



Lajki

Lajki są jak naboje w syfonie. Wstawiasz fotkę, paplasz do mikrofonu, a dopalane lajkami (nabojami) treści, te przezroczyste i nijakie w smaku (jak woda), czynią cię gazowanym. W głowie zaczyna buzować sodówka. Myślę, że tu też chodzi o miłość, a konkretnie o jej deficyt. Często już w sieni życia, w dzieciństwie, orientujemy się, że na miłość trzeba zasłużyć, że trzeba się postarać, wbić się jakimś aktem do zajętego myśleniem umysłu rodzica, zrobić sobie krzywdę, by złapać na chwilę przytomne spojrzenie dorosłego, wyszarpać tym samym sekundę uwagi, troski, współczucia, czułości. Internetowe popisy w moim odczuciu mają ten sam cel. Chcemy wyszarpać mgnienie uwagi od świata, od obcych, by poczuć się lepiej niż tête-à-tête ze sobą, które przynosi przeważnie frustrację, wątpliwości, smutek, a także lęk o to, że nie mamy w sobie niczego, co byłoby warte pokochania. Ktoś powie: Bzdura, ja się czuję bardzo kochana, kochany! A ja odpowiem: To czemu ci to nie wystarcza, czemu tak się gimnastykujesz na wirtualnej arenie i nerwowo spoglądasz na trybuny, na pozycję kciuków widowni?

Polubili miskę z owsianką, chyba wręcz pokochali to, jak ćwiczę, spory zachwyty wzbudziło moje baraszkowanie z kotkiem, lubią mnie moczącą stopy w jeziorze, lubią to, że mam bilet na Męskie Granie, lajkują mnie smarującą ciało samoopalaczem (ale, o dziwo, nie wszyscy), oszaleli na punkcie mnie oszalelej na punkcie kwiatów od męża. Czuję się fajna, czuję się uniesiona, jestem coś warta, jestem inspirująca, chcą mnie znać. Zaraz, zaraz – nie polubili mojej sukienki, zjebali mnie w komentarzach za reklamę suszarki, odlajkowali za post z tęczą, parę smutnych lajków za makijaż, zjeby za smarowanie pleców męża na plaży, zero reakcji (poza bliskimi) na fotkę z książką... Co ze mną nie tak? Jestem niefajna, poniżyli mnie, jestem nic niewarta, nie inspiruję, nie chcą mnie znać. I to ciągle zerkanie w telefon, sprawdzanie, czy piszą, jak piszą, czy lubią, czy nie lubią. Zablokować? Odpowiedzieć? Wytłumaczyć? Zagęścić ruchy. Zrobić lepszy plan. Lepsze foty. Więcej owsianki, mniej książek – to na pewno. Byłam zbyt harda, za bardzo się wypinałam w stringach. Może się popłaczę? Wiem! Powiem, że miałam depresję, ciężką depresję, ale nie dawałam po sobie

poznać. Uff, polubili, napisali, że współczują, że kochają, że jestem dzielna i inspiruję. Muszę poczytać o depresji i może zrobić warsztat, jak z tego szybko i seksownie wyjść.

Jaki to jest poziom stresu. Człowiek nawet nie wie, kiedy podpadnie, dlatego dobrze w wolnej chwili dziergać szalik, czapkę i rękawiczki dla wizerunku, by go w razie konieczności ocieplić.



Lubię internet. Schodzę w głąb niego jak w głąb oceanu. Mam dobry ekwipunek, profesjonalną, dobrze nabitą butlę z tlenem, piankę, nieparującą maskę i na wszelki wypadek harpun, którego jeszcze nigdy nie użyłam, bo szanuję mieszkańców oceanu i jako – bądźmy szczerzy – gość podglądający jego życie

nie mam zamiaru zabijać. Schodzę tylko na pewną bezpieczną dla mnie głębokość. Oglądam sobie widoczki, harce oceanicznych stworów, często widzę, jak słabszego pożera silniejszy albo jak niektóre osobniki przybierają kolor otoczenia, łypią spod kamienia, by się nie narazić, nie zwrócić na siebie uwagi zbędnym ruchem i nie stracić płetwy czy innej części ciała. Popatrzę i wracam do siebie, do życia. Nigdy nie gubię pamięci – jestem stworzeniem lądowym, lubię dotykać stopami ziemi. Tu też są silniejsi i słabsi, skryci i robiący szum wokół siebie, tu też czasem kusi, by posparingować albo bez zbędnych dyskusji przypierdolić z liścia, ale – tak jak pod wodą – powstrzymuję się, bo mam ciężką rękę i nie lubię konfliktów. Dawniej mnie też zależało, też szukałam głasków w internecie, starałam się, bałam – wszystko po to, by na żebraczą łapkę obcy ludzie sypnęli mi trochę ziaren do poskubania, podkarmili troszkę, żebym nie wykrzywiła z niesmakiem ust, przeglądając się w lustrze, żebym przez sekundę popatrzyła na siebie życzliwiej. Przez sekundę, bo tyle trwa życzliwość dla siebie, która jest stymulowana zewnątrz. Dlaczego? Bo jest warunkowa. Bo dziś jest, a jutro jej nie ma. Dziś lubią, a jeszcze tej samej doby sympatię odbierają, a ty masz mindfucka, jesteś chodzącym mindfuckiem. Starasz się domyślić oczekiwań tłumu, rozpoznać smaki, jakie preferuje. I leżysz, ponieważ tłum to strasznie wielu ludzi, którzy lubią odmienne smaki – nie sposób, powtarzam: nie sposób zadowolić jednocześnie kogoś, kto unika soli, i kogoś, kto dosala, zanim nawet spróbuje. Czemu więc się starasz, a potem dziwisz, że nie jesteś skuteczny? A przede wszystkim – czemu czujesz się ze sobą tak źle, gdy nie posypią na rękę, lub czemu tak mocno wierzysz, że tych parę ziaren autentycznie nasyci?

A już ten patent z kupowaniem obserwatorów wyrywa mi gałki z oczodołów... Że jak to jest? Płacisz realnymi pieniędzmi za to, że przy zdjęciu profilowym stoi potężna liczba nieistniejących żywicieli, którzy nie sypną nieistniejących ziaren, jakimi ty... co? To jest tak, jakby będąc realnie głodnym, żuć w wyobraźni niewidzialny kęs, ruszać szczękami, które miałą powietrze. Jest to *level* abstrakcji, do jakiego nie sięgam, nawet w wyobraźni nie sięgam.

No mam ten Instagram. Nie prowadzę go, stosując się do zasad, jakie ponoć istnieją. Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie go obserwują zadziwiająco licznie jak na moją znikomą aktywność. Coś tam wrzucę czasem mniej lub bardziej interesującego, ale głównie służy mi do nurkowania. Nie liczę lajków, nie odnoto-

wuję sztywności prącia, gdy ktoś napisze coś miłego, podobnie jak nie jestem w stanie wpaść w rozpacz, gdy odstawia taniec z nożami. Patrząc w lustro i uśmiecham się z dumą, że sama doprowadziłam się do miejsca, w którym ja i moje lustrzane odbicie wystarczamy sobie jako źródło informacji na temat tego, czy kierunek, w jakim zmierzamy, jest w porządku, czy nie. Mogę sobie ufać, bo jestem wobec siebie szczerą i uczciwą, życzę sobie dobrze i kocham siebie, nawet gdy popełnię błąd. Najważniejsze, że ta relacja nie ulega zmiennym wiatrom, jest od jakiegoś czasu nareszcie sycąca. Nie ma deficytu, można zwolnić ludzi z obowiązku karmienia, można dać ludziom żyć. A jak któregoś dnia pierdolnie prąd, a wraz z nim internet, nic się nie zmieni w moim samopoczuciu, w moim zdaniu na własny temat. Czy to nie jest wolność?



Platonicznie

Myślmy, że platonicznie jest bezpieczniej, bo nienamacalnie. Rzeczy się nie wydarzają. Nie sposób wykonać fotografii, która zatrzyma moment, będzie dowodem na dzianie się. Platoniczne może być nigdy niewyrażone. Ciche. Bez świadków. Samotne. Zatrzymane na etapie wrażenia, do którego nigdy nie zostaną dopasowane słowa. Problem polega na tym, że choć nie przejawia się zewnętrznie, chwyta w imadło całe nasze jestestwo. Przelewa się w ciele. Rzuca zniekształcający filtr na rzeczywistość. Piecze, swędzi, boli. Jednocześnie wzrusza, unosi, pobudza. Nie jest wcale bezpieczniej. Wręcz przeciwnie, takie uczucie może rozsmarować się na lata, ba, dotrwać z nami do końca. Jest jak źródło, które bije pod ziemią. Takiego uczucia nie nadwątlą codzienność, która nadwątlą po mistrzowsku. Nie zbruka go rozczarowanie, nie splami pretensja, nie wysuszy zaniechanie czy nuda. Jest bezdotykowo w życiu, ale w wyobraźni człowiek rozpisuje sceny, żongluje scenografiami, konstruuje dialogi, jakby żadne bariery nie istniały, a po wszystkim zapala papierosa jak we francuskim filmie. Ja, kochając platonicznie, nie lubię z obiektem gadać. Po co? O czym? Tu niczego nie trzeba omawiać, nie mamy spraw, które wymagają przedyskutowania. My nawet razem nie jemy, a tym bardziej nie mamy rachunków do opłacenia. On nie zna mojej rodziny, nie chce mi się z nim w głowie analizować przeszłości, nie martwię się o przyszłość, bo poziom, na jakim się realizujemy, a właściwie ja realizuję nas, nie przewiduje tematów typu emerytura, podatki, wyniki badań. Jeśli jedziemy samochodem, to gładko, można depnąć, bo nie wyobrażam sobie znaków ograniczenia prędkości, nie zasrywam podróży innymi uczestnikami ruchu drogowego. Nie nudzimy się, bo docieramy na miejsce, zanim pierwszy symptom znudzenia się pojawi, zresztą nie zasrywam podróży wyobrażaniem sobie symptomów. Właściwie podróż autem pojawia się tylko po to, bym mogła oprzeć zgrabne stopy na kokpicie, by on mógł położyć rękę na moim udzie z jakimś takim spojrzeniem, no wiesz... Albo żeby wsadził mi palce w majtki, albo żeby ja jemu mogła coś zrobić. I oczywiście nie ma tematu patrzenia na drogę ani nawet trzymania kierownicy, gdy to się dzieje, bo przecież tak naprawdę nic się nie dzieje i nigdy dział nie będzie. Słowa są zbędne rów-

niez dlatego, że miłość platoniczna w każdym aspekcie ma niedaleko do ideału, a może nawet go dotyka. Porozumienia i bliskości się nie wypracowuje. One są. Nie musisz wyrażać potrzeb. Są po prostu odczytywane i zaspokajane. Miejsce przy obojczyku, gdzie kładziesz głowę, jest wygodne, nie trzeba poprawiać pozycji ani dać ramieniu odpocząć. Twoje ciało jest takie, jak chcesz, nie wcierasz w nie balsamów, nie gasisz światła, nie czujesz wstydu, nie starzejesz się, jemu nie obwisa tyłek, on nie drażni cię kaszlem, nawet jeśli w realu (wiesz, bo najpewniej go znasz) pokasływaniem przedziela wypowiedane zdania.



Wybierasz platon, bo w realu ona, on często jest zajęta, zajęty, a ty masz w sobie przyzwoitość, z zasady lekką ręką nie siejesz zniszczenia. Albo pewne dane wskazują na to, że w realu nie jest i nie będzie tobą zainteresowana, zainteresowany. Albo trochę już przeżyłaś, przeżyłeś i wiesz, że taka pełnia może

zaistnieć i być podtrzymywana tylko w wyobraźni. Widziałaś, widziałeś na własne oczy, jak brzydko potrafią finiszować ludzie w związkach, które pięknie rokowały. Albo w realu kochasz już kogoś i nie chcesz tego zniszczyć, a obiekt pojawia się znienacka i czujesz, że go na dziwnej zasadzie rozpoznajesz, jakby był odpowiedzią na pytanie, które kiedyś pomyślałaś, pomyślałeś, choć nawet nie pamiętasz, jakie było.

Ciekawe, że substancje, które się uwalniają w realnym ciele, są prawdziwe, co potwierdza, że mózg serio nie odróżnia faktów od wyobrażeń jak w tym ćwiczeniu z rozmyślaniem o plastrze cytryny na języku, kiedy to zaczynamy się dławić rzeczywistą śliną. Myślę, że czułość, jaką mamy dla obiektu, uwrażliwienie na niego, gdy widzimy się naprawdę, też są rzeczywiste. Platoniczne miłowanie może sprawić, że w realu rzucimy się obiektowi na pomoc, jak bliskiej osobie, bo mózg przecież nie kuma, że to, co nas łączy, nie posiada masy obiektywnej. Sny też się wydarzają naprawdę. Tu już stery przejmuje podświadomość i nie mamy wpływu na scenariusze, które nie muszą być tak bezkompromisowo pozbawione komplikacji jak wtedy, gdy piszemy je wyobraźnią. W snach mogą padać słowa, pojawiać się dodatkowi bohaterowie, kłótnie, odrzucenie i napływ rozpaczy.

Często obiekt nie zdaje sobie sprawy z naszego iluzorycznego zaangażowania, ale bywa, że dwie osoby podziemnie się angażują. Nie mówi się o tym, ale wszystko jest jasne, bo odczute. Wiesz, że kiedy się widzicie, pauza od tęsknoty rozjaśnia oba oblicza. Niezwykle stresująca jest konieczność utrzymywania tajemnicy, gdy na przykład macie partnerów i często spotykacie się w okolicznościach towarzyskich we czwórce. Zaznaczam, że nie chodzi o prostą chuć, głupie „podooba mi się facet koleżanki czy babka kumpla, czy żona brata”. To wrażenie, że przyciąganie jest stare jak ta planeta albo że w ogóle nie ma umocowania w tym świecie. Dlatego nie jest to wcale bezpieczne i łatwe. Jest, a jednak nie ma. Można by po trupach doprowadzić do konsumpcji, ale nie zrobisz tego, nie zrobicie, bo to jest najpiękniejsze w swej czystości. Nie zasługuje na brutalną konfrontację z rzeczywistością, powolne wędnięcie pod wpływem spotkania z waszymi ułomnościami, traumami, całą psychologią relacji, oczekiwaniami, biologicznym przemijaniem. Żeby platoniczna miłość nie bolała, trzeba chyba mieć naprawdę ogromną świadomość i dużo pokory. Nie mieć mentalności żarłoka. Powstrzymać się. Pamiętać, że to ulotne w nas się nawo-

łuje, to dusze się rozpoznają, a w codzienności funkcjonujemy jako ciała obarczone historiami, jako PESEL-e, więc można by doznać rozczarowania, zagadując, próbując bliżej poznać PESEL lub z nim się kochać. W zamian dostaje się zawsze dostępne ramiona, porozumienie bez słów, zachwycające okoliczności, autostrady bez korków, mistyczny seks – co z tego, że w nierealu. W realu zyskujesz promienne oblicze, *speed* do życia, większą wyrozumiałość dla bliskich, kroplę magii. A przynajmniej tak mi się wydaje, tak by było najfajniej. Platoniczna miłość jest bliżej MIŁOŚCI, ale nadal nie należy jej z NIĄ mylić.



Autentyczność

Gabor Maté, kanadyjski lekarz, którego bardzo podziwiam, a który prezentuje światu dosyć niekonwencjonalne podejście do kwestii traumy i uzależnień, twierdzi, że okoliczności, w jakich przychodzi dorastać dziecku, nawet dramatyczne, nie mają tak wielkiego znaczenia dla powstawania traumy jak to, że niedojrzała jeszcze istota pozostaje z emocjami i wrażeniami sama. Nie znajdując w otoczeniu nikogo, kto służyłby pomocą podczas sztormu emocjonalnego, dzieciak, by przetrwać, bez udziału świadomości dokonuje zamachu na swoją autentyczność, wchodzi w rolę, która pozwala zachować więź z najbliższymi – przejmuje odpowiedzialność za ich czyny za cenę stopniowej utraty kontaktu z samym sobą, wyłączenia uczucia, zaprzeczenia własnej poczytalności. Wychodzi na to, że zduszenie, utrata autentyczności są pierwotną przyczyną wszystkich problemów, z jakimi przychodzi nam się borykać w dorosłym życiu. Przemawia to do mnie bardzo. Jeśli zgubiłam drogę do siebie, zapomniałam, kim tak naprawdę jestem, to kto żyje moje życie? Może to przejmujące poczucie, że coś jest nie tak, choć okresowo jakby w porządku, ciężar smutku, zawieszenia, wgapiania się w jeden punkt, to momenty ledwie słyszalnego, choć natrętnego nawoływania z głębin: Jestem tu, uwolnij mnie, to ja, twoje ja, chcę do życia, chcę wrócić? Przez większość życia poszukiwałam odpowiedzi na pytanie, o co z tym życiem chodzi, jaki jest sens tego wszystkiego. Dziś myślę, że żyjemy, by wrócić.



Chodzi o to, by chwycić za szpadel i metodycznie, cierpliwie ryc tunel w głąb, za przewodnika mając ten stłumiony, bardzo subtelny własny głos, który, z każdą łopata coraz głośniejszy, doprowadzi nas w końcu do uwięzionego na poziomie jądra ziemi, wychudzonego, z atrofią mięśni, niewidomego, auten-

tycznego JA. Może się okazać – i przeważnie się okazuje – że nasze pragnienia w tej prawdziwej odsłonie stoją w opozycji do tego, co nam się wydawało dotąd na każdy możliwy temat. Możemy doznać szoku, a już na pewno zafundujemy zjadliwą konsternację wszystkim, którym przyszło przez lata obcować z nami w wersji nieautentycznej. Rozpierzdol w nas i otoczeniu może być kategorii atomowej, ale nie wolno się poddać, bo czy nie ciekawie byłoby pożyć choćby chwilę tak naprawdę? Wypuścić z siebie nagromadzony gaz, tego potężnego bąka, którego w poczuciu wstydu i lęku przed oceną uwalnialiśmy na raty, zaciskając zwieracze, przyciskając palce do odbytu, doprowadzając jelita do szaleństwa, kolekcjonując krople potu na czole. Czy nie byłoby cudownie po prostu się wypierdzieć, dając sobie przyzwolenie nawet na finał w postaci kleksa? Przepraszam za brutalność metafory albo nie przepraszam; moje obecnie bliższe autentyczności ja pomyślało o bąku i o bąku napisało.

Pytanie, jak bardzo wyparliśmy się siebie, na jakiej głębokości spoczywa prawda. Czy przysypana jest toną, tonami ziemi, które nie będą stawiały przesadnego oporu szpadlowi? Czy może w grę wchodzi twardsze warstwy? No i najważniejsza kwestia – po czym poznać, że oto objawiliśmy się sobie ci sprzed uwięzienia? Wiele razy miałam niemal pewność, że to już, że czuję siebie prawdziwą, lecz chwilę później okazywało się, że natężenie wołania, choć ogromne, nadal nie jest tym ostatecznym, że nadal da się wyłapać zakłócenia, a mój głos tworzy akord z obcymi głosami. I szczerze mówiąc, nadal kopię i będę skuwać warstwy, choćbym miała dotrzeć do płyt tektonicznych i pod nimi dopiero usłyszeć własną pojedynczą nutę i pozwolić jej wybrzmieć. Dopóki wydajemy dźwięk, który występuje w gamie, czyli mieści się w regułach danej skali, możemy mieć pewność, że koniec poszukiwań nadal przed nami. Mam przecucie, że autentyczny ton nie mieści się w skali i nie podlega regułom, bo reguły tego świata powstrzymywały mnie skutecznie przed dotarciem do siebie. Jak się bowiem zdobyć na odwagę we własnej sprawie, gdy od zawsze słyszy się ze wszystkich stron, że to egoizm, że mile widziane jest moszczenie się na stosie, by spłonąć, złożyć ofiarę z siebie dla wyższego celu, dla słuszniejszej idei? Kiedy mówię, że zajmuję się sobą, bardzo szybko pojawiają się strażnicy, którzy własną pierśią bronią wartości poświęcania się dla dobra innych, ogółu. Myślę, że dzieje się tak, bo korzyści, jakie czerpią z takiej postawy – to krótkotrwałe ciepłko, ta szczętkowa duma, gdy pokazują bliźnim orderzy zdobyte

w walce o innych – trudno odpuścić. Rozumiem, bo tak żyłam, też w to wierzyłam. Tylko te ordery są jak atrament sympatyczny. Znikają samoistnie z klapy i żeby czuć się znów dobrym człowiekiem, trzeba ponownie pójść na front. Wyznając, że nie chcę tych orderów, unieważniam niejako ich rangę, a to wkurwia. A ja pragnę już tylko jednego przed śmiercią, która, jak wiemy (wiemy?), przyjdzie z całą pewnością, lecz nie wiadomo kiedy – chcę się dowiedzieć, kim byłam ja sprzed ucieczki, kim byłam, zanim świat wcisnął mi w usta cyca pełnego przekonań, a ja je przelykałam, odżywiając tę, którą, jak myślałam, jestem. I żeby było jasne: to nie oznacza, że odmawiam bliźniemu w potrzebie, to nie oznacza, że nie szanuję innych. Wręcz przeciwnie, ten szacunek jest narzeczcie uczciwy i bezinteresowny. Niczego nie oczekuję w zamian. Nawet szacunku. Mówię „dzień dobry”, bo życzę ci dobrego dnia, z serca, i nawet jeśli nie odpowiesz, jutro znów powiem „dzień dobry”. Nie obrażę się, jak dawniej, gdy przestawałam pozdrawiać na schodach sąsiadów, którzy trzy razy mi nie odpowiedzieli.

Wracam do pytania, jak rozpoznać, że to już. Nie wiem, bo nadal kopię. Potrafię jedynie szybko skumać, że jeszcze nie, a to duży sukces i informacja, że jestem bliżej autentyczności niż dawniej. Widzę to szczególnie w sytuacjach, gdy ktoś próbuje mnie przyatakować wzrokiem, słowem lub uczynkiem. Przez moment czuję się przytłoczona i przestraszona, za tym podąża wrażenie, że ma rację, że jestem tym, kim mówi mi, że jestem, że nie zasługuję, że należy mi się wpierdol. Jakbym na moment zanurzyła głowę w ciemność, którą tak dobrze znam. Ale to trwa krótko, bo już wiem, czym jest światło. Wtedy mówię do siebie, czasem głośno: Znam to, znam na pamięć, ale to już nie ja, już nie o mnie, to głosy, już nie dołączę do chóru, jestem solistką, śpiewam swoją partię. I przytomnieję. I znów czuję życie pod skórą, własny oddech, a głosy cichną, właściwie grzmiały na zewnątrz, tylko ja ich już nie słyszę. Rozglądam się wokół i wiem, że jestem u siebie, na kanapie. Nic więcej nie ma. Tylko ja i mój szpadel.

Każda, nawet mała zmiana nawyków, obalenie choćby jednego ściągającego w dół przekonania, każda próba stanięcia we własnej obronie to wielki sukces, który trzeba celebrować, to powód do dumy; z tych małych elementów budujemy pomost do autentyczności. Pomalutku tam dojdziemy. To ma bardzo wiele wspólnego z MIŁOŚCIĄ.



Wstyd

Gdyby fotografiami opowiadał mnie mąż, to natychmiast pokapowałabym się, że jestem upasiona. Pokapowałam się szybko, że ten człowiek z ogromem zalet nie umie w zdjęcia. Znamy się wiele lat i znacznie młodszą i chudsza bez najmniejszego trudu potrafił ująć aparatem, uzyskując fotografię mogącą spokojnie posłużyć jako środek na uwolnienie zalegającej w żołądku treści. Dlatego od lat strzelam sobie fotki, które elegancko zaciemniają faktyczny obraz. Wiem, jak się ustawić, jak oświetlić, wiem, że zebranie ust jak do „u” wyszczupła, wiem, że przyklejenie języka do górnego podniebienia przy jednoczesnym przełknięciu śliny likwiduje bonusowe podbródki, wiem, że należy się fotografować z góry, najlepiej lewy półprofil, mikrouśmieszek i już jest szczuplej, i już jest młodziej. Od jakiegoś czasu pomaga też pozycja leżąca, bo zwisy ciężą ku poduszce, no i jest od góry. Całej sylwetki nie fotografuję, bo mam za krótkie ręce i nie odsunę aparatu wystarczająco, a w lustrze jakoś słabo to wygląda, bo widać, że sama strzeliłam. Nie lubiłam luster nigdy, ale wiem, jak się ustawić, żeby trwające dwie sekundy omiecenie wzrokiem całości nie bolało. Ogólnie rzecz biorąc, stworzyłam sobie tak urzekającą fikcję, że nie zauważyłam faktów, zupełnie jak naród, który robi dzióbek, patrzy z góry, widzi wolność i demokrację, a gdyby zobaczył fotkę robioną przez męża, ujrzałby kajdany, kredyty, lęk, cenzurę, nienawiść, biedę i w ogóle degrengoladę.

W realu, gdzie nie miałam kontroli nad obserwatorem, gdzie pojawiał się ruch, gdzie nie sposób utrzymać pozy, gdzie istnieje trójwymiar – zawsze chętnie posługiwałam się kocem, kołdrą, poduszkami lub psami w celu zasłonięcia kadłuba, wyprowadzenia na zewnątrz jedynie głowy, którą jako tako można było manewrować, przygryźć policzki, by stworzyć zagłębienie po zewnętrznej stronie, plus lewy profil, mikrodziób, wyszczuplający uśmieszek. Kurde, szczerze wierzyłam, że udaje mi się ludzi zbajerować, że prezentuję poziom Copperfielda. Do momentu, gdy mąż powiedział: „Ty serio myślisz, że ja nie wiem, jak wyglądasz?”. A ja na to z naiwnością dziecka: „A wiesz??? Jak to?”.

Chciałam się zapaść pod ziemię. Dotarło do mnie, że pewnie inni też wiedzą. Gdy ktoś pisał mi w komentarzu, że jestem gruba, myślałam, że jest złośliwy,

chce dowalić, bo pewnie zazdrości mi Fryderyków, a okazało się, że po prostu stwierdza fakt, bo widzi, jak wyglądam, a to ja żyję w alternatywnej rzeczywistości, którą sobie zmanifestowałam siłą własnego umysłu. No, powiem wam – szok :)

Jednak skoro się wstydziałam ciała na przykład w sytuacjach intymnych, to może przeczuwałam, że jest się czego wstydzić? Prawdopodobnie wręcz wiedziałam, tylko błyskawicznie dokonywałam wyparcia i pierdzieliłam, że światło koniecznie gasimy, bo chodzi o nastrój, że nie latam nago po domu, bo mi nerki przewieje, że nie siadam goła na kanapie, bo mi zarazki wejdą do otworów, że na jeżdźca to lepiej nie, bo preferuję uległość, a jestem okutana w szmaty przy stustopniowym upale, bo mam ekstremalne uczulenie na słońce.

Są ze wstydu pewne korzyści, a właściwie jest korzyść, mianowicie nikt nie ma moich nagich fotek, bo kurde... wiadomo dlaczego. Nie wspominając nawet o domowym porno. Matka nigdy nie zapoczątkuje mojej światowej kariery, uwalniając do internetu taki film.

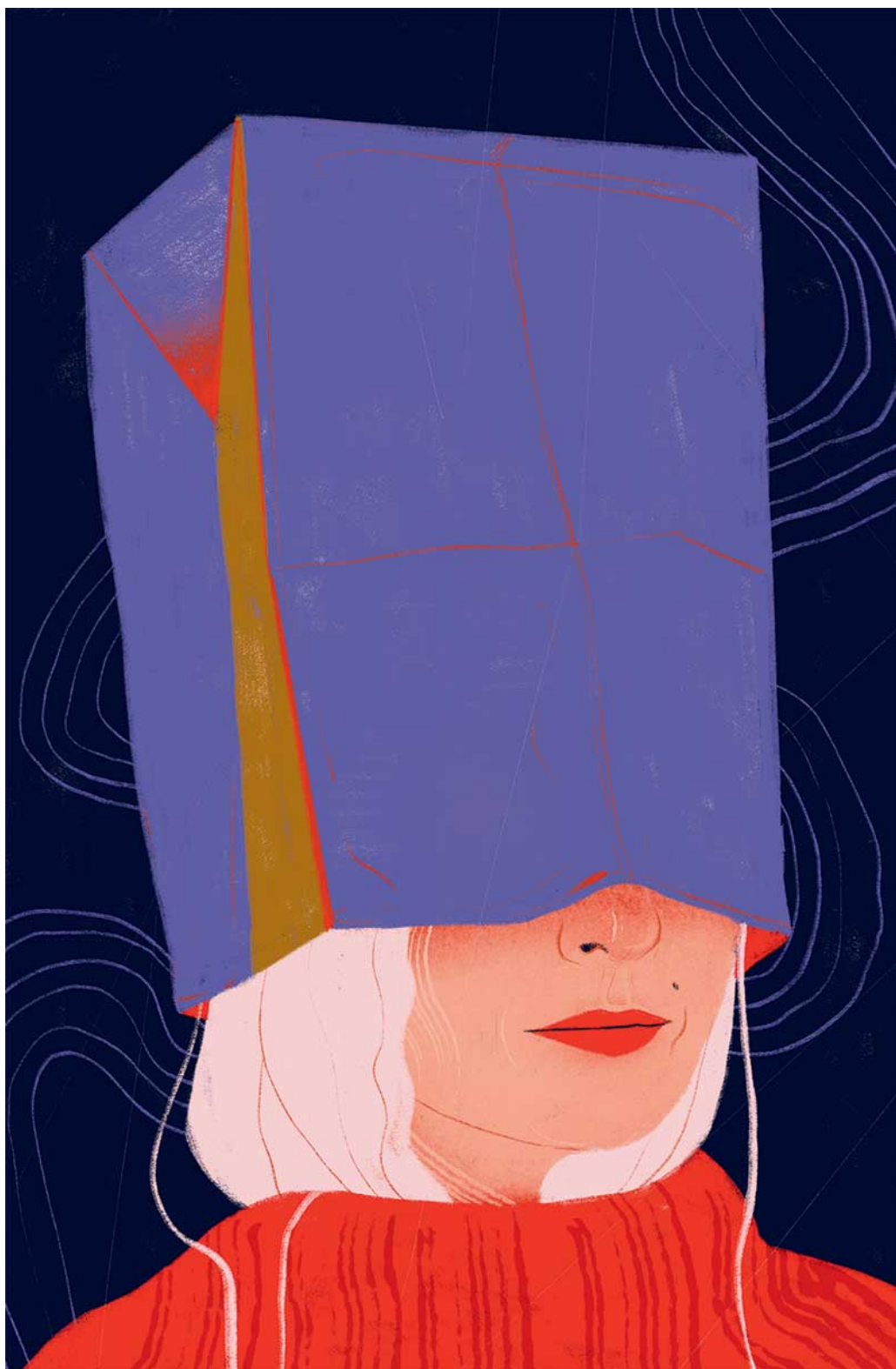
Wstyd blokuje. Wstyd sprawia, że jesteśmy jak chomiki, które biegną w kołowrotku do utraty tchu, nie przemieszczając się ani na jotę. Ze wstydu kłamiemy, fundując sobie potworne zmęczenie i frustrację, często lądując w miejscu, gdzie rozumie się boleśnie, czym jest samotność pośród tłumu i mocarne rozczarowanie życiem.

Zawsze było mi wstyd, że wiecznie jestem w niedoborze finansowym. Nie lubiłam się spotykać z zamożnymi znajomymi. Co prawda nie przychodziło im natychmiast do głowy, że możliwy do wychwycenia zapach drobnych wydobywa się z mojego portfela, bo przecież jestem piosenkarką i można mnie zobaczyć w telewizji, ale podczas rozmowy o jachtach, koniach, autach, biznesach, wakacjach w kurortach szybko wyłaziło, że gównu o tym wiem, bo kiwałam tylko głową, nie dorzucałam zdań do rozmowy, wpychałam do ust tartinkę za każdym razem, gdy padało pytanie o moje wakacje, by zyskać na czasie, by ktoś, czekając, aż przełknę, powiedział coś o wczorajszym lub jutrzejszym evencie, a pozostali podchwycili. Wstydziałam się i nadal wstydę mówić, co dobrego mi się przytrafiło, żeby nie sprawić przykrości tym, którzy wciąż czekają na uśmiech losu. Wstydziałam się niewiedzy, tego, że przytka mnie, gdy padnie znane nazwisko, które w mojej świadomości nie zaistniało. Wstydziałam się własnego zdania, szczególnie gdy odbiegało od normy. Bałaganu. Rozebrać

u lekarza. Mówić po angielsku. Prosić o pomoc, o zwrot pożyczki. Wstydziłam się, że mam mało pieniędzy, ale też wtedy, gdy zaczęłam dobrze zarabiać. Towarzyszyło mi milion innych wstydów z tym dotyczącym ciała na czele.

O ile wyzbycie się wstydu w kontekście relacji ze światem zewnętrznym można odłożyć do czasu zgromadzenia odpowiedniej ilości odwagi, o tyle ze wstydem w związku należy, moim zdaniem, rozprawić się pilnie, bo wyczerpuje najbardziej. Nie sposób budować zaufania i bliskości, kryjąc się non stop za niewidzialnym parawanem. Mieszkając na co dzień z człowiekiem, przed którym odgrywamy spektakl, nie mamy gdzie odpocząć, wyjść z roli, by nie zwańrriować. Tak się po prostu nie da bez uszczerbku na zdrowiu, bez stopniowej utraty szacunku do siebie. Po całym dniu wciągania brzucha w autobusie, pracy, na imieninach, wracasz do domu i nadal go nie puszczasz – wciągasz w przedpokoju, na kanapie, w łóżku, w łazience, bo masz paranoję, że partner wejdzie bez pukania albo rzuci okiem przez dziurkę od klucza. Kolejna sprawa – nie ma mowy o orgazmie, gdy człowiek pilnuje w miarę korzystnej pozy, utrzymuje lewy profil i przygryza policzki. Nie ma mowy o orgazmie, gdy kobieta podczas minety wstydzi się wyglądu czy zapachu swojej Różanny i myśli tylko o tym, że na bank wygląda i pachnie źle, więc szybko udaje orgazm, żeby tylko on wrócił na górę, by chwycił się oczu, bo oczy to oczy, wstydu nie ma. No chyba że kurze łapy, to wtedy od tyłu, no chyba że tył taki, że wstyd przed Ryśkiem, to wtedy przerwane. Ewentualnie, na początku związku, gdy on pyta, czy jest opcja *meet&greet* z Różanną, ona z ogromną przykrością informuje, że wszystko się wyprzedziło dawno temu i nie ma takiej opcji, i że zaprasza szybko na salę, bo jest dosłownie kilka dostępnych miejsc, a światło już zgasło.

Ciekawe, że nigdy nie byłam człowiekiem, przed którym inni muszą się wstydzić. Brałam partnerów takich, jacy są, w każdym aspekcie. Dlaczego ponad moje siły było założyć, że może oni też nie oceniają, że kochają wystarczająco, by nawet nie zastanawiać się nad fałdą czy zmarszczką? Zawsze przypisywałam im sposób myślenia i widzenia charakterystyczny dla internetowych hejterów, których brzydzi cały świat, którzy pastwią się programowo – zobaczą, wytkną, odobserwują.



Zaraz, zaraz! Coś mi to przypomina! Przecież tak było za dzieciaka, w domu. Dorośli oceniali, wyszydali, odrzucali, a dzieci kochały mimo wszystko, tylko starały się jeszcze bardziej i bardziej, aż do odrzucenia prawdy o sobie, prze-

chodząc w całodobowy tryb udawania w domu, w którym nie było skrawka przestrzeni by odpocząć.

Czasem chyba lepiej mieć kąć tylko dla siebie, by gdy będziemy gotowi rozpuścić w sobie wstyd, nauczyć się na początek nie odrzucać siebie, widząc w lustrze całość z przodu, z boku, z tyłu, bez wciągania brzucha, robienia dzioba. By zbudować w sobie ufność, że za drzwiami jest ktoś, kto będzie ciekawy prawdy, nas.

Jeszcze nie chodzę nago po domu, bo... boję się o nerki :) Jakiś czas temu zobaczyłam siebie w lustrze. Zapłakałam. Przeprosiłam. Potem czekałam, by któregoś dnia nie zrobić tego grymasu niesmaku. Potem poczułam szczerą szacunek i miłość do siebie w formie dalekiej od doskonałości. Od niedawna chudnę. Pomalutku, cierpliwie i z łagodnością pozbywam się nadmiarów. Większość wstyduw pożegnałam, zanim ciało zaczęło się kurczyć. Rozpadam się z rozkoszy pod mężem, nad mężem, bo chcę czuć, a nie pozować, bo okazało się, że on nie ma mentalności hejtera. Chyba nigdy nie miał, bo przecież widział, gdy ja jeszcze starałam się ukrywać. Bo mamy kurze łapy, które nas wzruszają, przypominają, ile przeszliśmy – razem i każde z osobna. Nie mam już czasu na wstyd. Nie mam już czasu na zagrywanie się w spektaklach. Chcę żyć! Tak bardzo chcę nareszcie żyć naprawdę.

Kochani, najmilsi, najdoskonalsi w aktualnej formie – JEBAĆ WSTYD. On za-wstydza MIŁOŚĆ, która nie lubi gościć w przestrzeniach przez niego opanowanych.

PS Czy nie wstyd mi przeklinać? Już nie.



Fantazje

Miałam kiedyś chłopaka, który tak mi opisał swoją ulubioną fantazję erotyczną: „Wchodzę do warzywniaka, takiego jak w dzieciństwie. W skrzynkach ustawionych na półkach pod kątem leżą jabłka o niedoskonałych kształtach, niektóre poobijane, parę z nich ma nawet podsuszony listek przy ogonku. Jedna na drugiej główki białej i czerwonej kapusty. Umorusane ziemią marchewki. Selery, korzenie pietruszki. W rogu dwie duże beczki – jedna skrywa kiszoną kapustę, druga kiszone ogórki. Na najniższej półce, jak żołnierze w szyku, stoją oranżady. W ścianie, tuż przy drzwiach prowadzących na zaplecze, na wysokości podłogi znajduje się okienko, z którego wyglądają zapiaszczone ziemniaki. Obok brudna waga z plastikowym wiadrem, oparty o nią metalowy nabierak i duże odważniki. Wciągam łąpczywie miks tych wszystkich zapachów: ziemi, kurzu, warzyw, owoców, pochylam głowę, wsadzam nos w koper. Wtedy sprzedawczyni w dojrzałym wieku pyta lekko zachrypniętym głosem: Dla pana? Ma tapirowane włosy i częściowo zjedzoną z warg różową szminkę, paznokcie w kształcie migdałów pociągnięte perłowym lakierem oskubanym na końcach. Nosi granatowy fartuch. Jeden z guzików jest rozpięty, przez ułamek sekundy widzę fragment dużej, białej piersi. To wielka kobieta o obfitych biodrach. Ma delikatne kostki i cieliste rajstopy. Dwa kilo ziemniaków – mówię. Może pan pójść ze mną na zaplecze ruszyć ziemniaczaną stertę, bo z tej strony nie zbiorę dwóch kilogramów? Mam wrażenie, że gdy to mówi, różowe usta poruszają się w zwolnionym tempie. W spodniach robi mi się ciasno. Idziemy na zaplecze. Sprzedawczyni opiera się o zbity z desek kojec na ziemniaki tyłem do mnie. Odwraca głowę i patrzy znacząco w milczeniu. Podchodzę bliżej, rozpinam spodnie, zsuwam je do kolan. Zadzieram jej granatowy fartuch, a potem rozrywam bez trudu cieliste rajstopy. Kobieta nie ma majtek. Widzę duże, białe jak śnieg pośladki, które rozświetlają mrok zaplecza. Wchodzę w nią bez przeszkód, jakbym znał drogę na pamięć. Poruszam się stanowczo i coraz szybciej, pośladki falują, sprzedawczyni stęka. Już. Otwieram oczy”.

Byłam młoda. Moja fantazja była zgoła inna – senna. Parkiet. Mam na sobie suknię, która składa się z czarnych pasków do spodni spinających mnie od

pach aż do kostek. Tańczymy blisko siebie do jakiejś ekstrawolnej muzyczki. On odpina pierwszy pasek, ten na wysokości pach; wtedy kicham. W realu kicham siarczyście. Czy ktoś z Was tak miał, ma? Za każdym razem, gdy czułam podniecenie, kichałam. Tak więc kicham, on odpina drugi pasek i... budzę się rano. Serio. Nigdy nie udało mi się dotrzeć do finału. Często myślałam, że może powinnam zaczynać fantazję od pasków, które znajdują się na wysokości pasa, ale głupio tak zaburzać ciąg zdarzeń.

Tak więc chłopak opowiada mi swój ulubiony scenariusz z warzywniaka i co ja mam z tym zrobić? Zbudować w sypialni kojec na ziemniaki, sprawić sobie granatowy fartuch? Byłam wtedy młoda i – nie ukrywajmy – szczupła. Obawiam się, że gabaryty pośladków miały spore znaczenie, duży wpływ na temperaturę fantazji. Powinniśmy włamać się do warzywniaka, żeby w ramach ubarwienia pożycia odegrać jego marzenie? No nie zrobiliśmy tego nigdy, ale zawsze miałam wrażenie, że gdy zamykał oczy chwilę przed eksplozją, myślał o stercie ziemniaków i białych falujących pośladkach pani Marioli (pasuje mi Mariola).

Zdecydowanie prościej jest odtwarzać te bardziej klasyczne wyobrażenia, gdzie para spotyka się w knajpie i udaje nieznanym. Ona ma na sobie prochowiec, który narzuciła na gołe ciało, i rozgrywają przy barze partyjkę słownego ping-ponga pełnego podtekstów, a potem albo pokój w hotelu, albo powrót do domu z macaniem się po krzakach, w taksówce, w windzie i finał we własnym łóżku. Koleżanki (takie w moim wieku lub starsze) wspominają, że nadal modne są przebieranki, odtwarzanie scenek ze starych niemieckich pornosów, kiedy ona krząta się po kuchni w podomce, a on przychodzi naprawić kran i pyta po skończonej robocie, czy są jakieś inne rury do przeczyszczenia. Albo on leży w łóżku, a ona jest pielęgniarką, która przychodzi z cynamonem niemal na wierzchu i w samonośnych pończochach zrobić zastrzyk. Albo on jest nieprzytomny, ale mu staje, a ona, niegrzeczna piguła, wykorzystuje go bezczelnie dla własnej przyjemności.

W internecie czytałam, że ogromny procent kobiet fantazjuje o seksie z byłym. Ciekawe. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Ja nawet zdjęć byłych nie przechowuję ani listów, w ogóle czyszczę się z wszelkich pamiątek po związkach. Gdyby się okazało, że kochając się z obecnym partnerem, na wewnętrznej stronie powiek wyświetlam sobie kogoś z przeszłości, to znaczyłoby, że równa-

my do przeszłości, a przecież w życiu chodzi o ruch do przodu, progres. Skoro dawne było lepsze, to jakoś głupio wobec obecnego.

Wysokie miejsce, szczególnie u facetów, zajmuje fantazja o trójkacie albo – grubo – o orgii. Kiedyś mój chłopak spytał, czy moglibyśmy zaprosić do sypialni jakąś panią... Wiedząc, że miałam ogromny problem z zazdrością, więc na samą myśl poczułam, jak serce mi zamiera, a zwinięty w kłębek wąż w brzuchu zaczyna się poruszać. Nie chciałam, żeby chłopak mnie rzucił jako zamkniętą na jego potrzeby, więc udając cwaniarę, powiedziałam: „Och, jasne że tak, ale zcznijmy od zaproszenia do trójkąta pana”. Było to, muszę przyznać, zgrabne posunięcie, bo temat nigdy nie powrócił.



Z zazdrością zmierzyłam się skutecznie i jestem od niej wolna, ale gdyby mąż wpadł na pomysł z gośćmi, bez wicia się, wymyślania forteli powiedziałabym „nie”. Powiedziałabym „nie”, bo seks teraz jest dla mnie czymś innym niż dawniej, ma znacznie wyższą rangę, został podniesiony na poziom, z którego

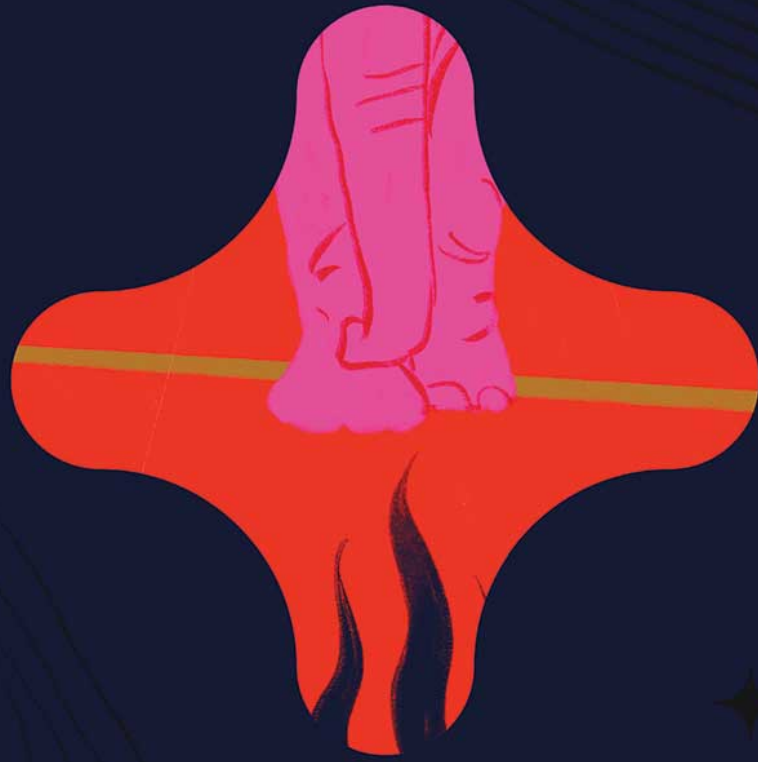
planetę widzi się jako drobinę, paproch dryfujący w kosmicznych przestworzach.

Nierzadko fantazje zawierają element przemocy. Bardzo mnie to ciekawi, ale nie mam z kim o tym porozmawiać. Znajomi niechętnie się do takich marzeń przyznają, a nawet jeśli, to nie chcą tematu rozwijać, nie chcą wspólnie dociekać genezy. Dlaczego czasem jedynym pomostem do rozkoszy jest mała droga krzyżowa, ból, upokorzenie? Czy ma to związek z jakimś starym wdrukowanym wspomnieniem, które wypaliło znamię w podświadomości? Czy koresponduje ze stosunkiem do samego siebie? Czy chodzi o odegranie sytuacji, która miała miejsce w przeszłości, dalekiej przeszłości, gdy o seksie się jeszcze nie myślało, ale mózg wytworzył połączenie nerwowe, które zlinkowało się w tajemniczy sposób ze sferą seksualną? Czy mówiąc wprost, może to mieć związek z mniejszym lub większym nadużyciem, przekroczeniem granic, których nie sposób było skutecznie bronić? Rozmawiałam kiedyś z kobietą, która w bardzo wczesnej młodości doświadczyła gwałtu. Kilku chłopców zbezczeszczyło jej intymność, co na długie lata zatrzymało tę kobietę w mrocznym miejscu. Nie zamknęła się na seks. Wręcz przeciwnie, stała się nadnaturalnie aktywna w tej materii, jakby przyjmowaniem licznych pchnięć chciała przywrócić czucie w miejscu, od którego w akcie rozpaczki musiała się odciąć, by przetrwać. Płakałam, słuchając tej historii, i płaczę teraz. Ta opowieść była skrajnie brutalna, choć przemoc czasem ubiera się w pastele, co nie znaczy, że odciska mniejsze piętno, że nie pozbawia czucia. Łądujemy wtedy w zacienionej scenerii, a koszyk z fantazjami wypełniają niecodzienne obrazy. Zwyczajne, proste zbliżenie nie przynosi oczekiwanego spełnienia, dotyk jest zbyt miękki, nudny, chcemy, by nas poraził prąd, choćby boleśnie, byle poczuć, poczuć cokolwiek. Albo w drugą stronę – jeśli do satysfakcji przybliża człowieka zadawanie bólu, dominowanie, to czy może to mieć związek z marzeniem o karze? Czy dałoby się przeszperać przeszłość i znaleźć tam postać, która – metaforycznie – docisnęła nas butem do podłoża, a my, zamiast pozostać w roli podległego, dokonaliśmy w głowie skrętu, niejako przemiany w oprawcę w wyniku zapatrzenia w naszego, i teraz zadajemy ból, widząc w oczach partnera dawnego potwora albo siebie w tej bezsilności, która musi zostać ukarana? Jeszcze raz i jeszcze raz.

Tu znów trzeba szpadla, którym zaczniemy kopać w głąb, by zbadać, czy fantazje erotyczne mówią o nas coś, z czego nie zdajemy sobie sprawy. Może za-

wierają zawoalowaną informację o naszych częściach, które siedzą w ukryciu i marzą, by się wypowiedzieć? Kurde, ja to ostatnio mam wrażenie, że nawet sposób jedzenia delicji albo kolejność pałaszowania elementów składających się na drugie danie skądś się wzięły i coś o mnie mówią. Coś ważnego.

Jeżeli czasem zastanawiacie się, co w danej chwili robię, to najpewniej bądam, a telefonu nie odbieram, bo tam głęboko, gdzie właśnie szperam, nie słychać dzwonka. Jeśli zaś chodzi o fantazje, od jakiegoś czasu nie fantazjuję. Nawet podczas walenia konia :)



S o l o s e k s

Powiedzenie ósmiolatkom, że to grzech, nazwanie tego samogwałtem uważam za koszmarnie nadużycie. Spontaniczne zainteresowanie tym miejscem pojawiło się u mnie znacznie wcześniej. Pamiętam to doskonale. Myślę, że większość z nas tak ma. Nikt mi nie sugerował, nie wskazywał, nikt mnie nie wtajemniczał. Któregoś dnia najzwyczajniej w świecie poczułam nieznaną sensację poniżej pępka. Na tyle spektakularną, że ją zapamiętałam. Miałam niewiele w klaserach z doświadczeniami, jak to dziecko, więc falowanie, jakie odczułam, nie miało prawa znaleźć żadnego powiązania z seksem, wstydem, winą czy grzechem. Było miłe jak ziemniaki z sosem, jedzenie śniegowych kul, tulenie ukochanej pluszowej mały PiPi, bieganie w deszczu czy powrót do domu z przedszkola. To na lekcji religii, nadal nieświadoma i niewinna, nadal będąc dzieckiem, usłyszałam, że dotykanie się TAM jest czymś potwornym, jest grzechem, z którego trzeba się spowiadać, że to brud i wstyd. Mała głowa chłonie, mała głowa wierzy dorosłym, mała głowa już zdążyła się dowiedzieć, że za nieposłuszeństwo należy się kara. Kara Boska – również nowość. O Bogu wiedziałam, że widzi wszystko, choć Jego nie sposób zobaczyć. Że umie czarować, bo wyczarował cały świat. Że ratuje życie, bo uratował babcię od śmierci z rąk Niemców. Że trzeba się Go bać, bo w domu mówili: Bój się Boga. Że za dobre wynagradza, a za złe karze – to już ksiądz powiedział. I powiedział wyraźnie, że samogwałt jest zły i tylko spowiedź i obietnica poprawy ewentualnie może Boga udobruchać. Jeszcze nie znałam określenia mindfuck, ale to właśnie czułam. Nie wiedziałam, że to złe, samodzielnie zaklasyfikowałam to do kategorii miłe, czyli dobre. Głaskałam miejsce nienerwowo, gdy czasem sobie o nim przypominałam. Nagle jednego dnia przy wejściu do tej strefy umieszczono znak zakazu wjazdu plus zapowiedziano srogiej wysokości mandat za złamanie przepisu. I jeszcze to słowo! SAMOGWAŁT. Czyście do reszty postradali rozum? Do dezintegracji moich wewnętrznych struktur przyczyniło się wiele zdarzeń, ale całkowicie nieodpowiedzialna, żeby nie powiedzieć cyniczna indoktrynacja na lekcjach religii, dotycząca tak wielu kluczowych tematów, nie ma sobie równych.



Wiemy doskonale, jak działają dzieciaki. Powiedz, że nie wolno, nie tłumacząc zrozumiale dlaczego, zabroń, a jedyne, co osiągniesz, to podsycecie pragnienia, na nieszczęście dzieci mieszające się odtąd z potwornym poczuciem winy i wstydu. O różowym słoniu, o którym miałam nie pomyśleć, myślałam

zdecydowanie częściej, ba, trzymałam za trąbę za każdym razem, gdy pomyślałam. Nakrywałam się kołdrą wraz z głową, ale wiedziałam, że Bóg i tak widzi, a na myśl o wyznaniu grzechu w konfesjonale czułam miks strachu i obrzydzenia. I tak aż do momentu, gdy rozpoznałam w sobie zdolność krytycznego myślenia, która na początek przyniosła konstatację, że nie można być jednocześnie miłującym bezgranicznie i mściwym. Nie można stworzyć pstryczka, który mnie znika, i zabronić jego naciskania. Boga wybroniłam przed sobą, ale twórców mindfucka skazałam na moją dożywotnią nieobecność przed ołtarzem.

Samość, bo tak to czasem nazywam, nie ma nic wspólnego z gwałtem. Akt jest dobrowolny, pełen szacunku i czułości, doskonałego wyczucia i uważności. Gdybym sama nie sprawdziła, co i na co reaguje, a – dajmy na to – spotkała na swej drodze partnera, który tylko chłepce bez sensu albo w ogóle nie dopuszcza stanięcia usta w „usta” z Mimozą, to umarłabym bez świadomości, że zawsze miałam przy sobie dematerializator. Samością nazywam to od kilku lat. Dawniej ta nazwa nie mogła się pojawić, bo nie było to działanie ani samotne, ani miłosne. Wspieranie się fantazjami, zatrudnianie w wyobraźni osób postronnych, bez których obecności proces by się dłużył lub był niemożliwy, to nie samość. Wgapienie się w harce z pornosów samością nie jest (to akurat nigdy nie była moja bajka). Nerwowa stymulacja służąca jedynie szybkiemu rozładowaniu też nie.

Samość jest wtedy, gdy szykujesz się na to spotkanie ze sobą. Nie ma w tym pośpiechu. Myślisz o tym, a ręka reaguje mikromrowieniem – takim króciutkim, jakby chciała dać znać, że odebrała sygnał. Czujesz ciepło na policzkach, też przez chwilę, bo potem ciepło schodzi niżej, czujesz je w zakończeniach piersi i niżej, w brzuchu. Później pojedynczym migotem, niczym sekundowy błysk latarki, reaguje Lwia Paszcza, jakby mówiła: Obecna. Znajdujesz wygodne miejsce. W tym nie ma wstydu, nieśmiałości. Uda rozwierasz szeroko, by Adelajda mogła się swobodnie rozejrzeć, odetchnąć świeżym powietrzem, nareszcie bez maseczki. Dotykasz jej, witasz się z nią. Jest delikatna, mięciutka i ciepła. Żywo reaguje na dotyk. Czujesz, że akcent w ciele przenosi się w to miejsce. Jeszcze przez moment przebywasz w głowie, ale zaczyna cię w niej ubywać, jakbyś zsuwała się świadomością w dół. Stapiacie się w jedno. Twoje palce pieczą płatkę. Jesteś palcem, jesteś płatką. Jest wilgotno, tropikalnie. Zstę-

pujesz do centrum, jesteś tym małym punktem. Wtedy tracisz mowę, zapominasz wszystko i wszystkich. Jeszcze chwila, jeszcze tylko chwila... Zaczyna się – jednocześnie spadasz i się unosisz, nie ma cię, znikasz i jesteś bardziej niż kiedykolwiek. Potężna siła wyrzuca cię z centrum, suniesz dreszczem wzdłuż kręgosłupa, docierasz do głowy i wystrzelasz jej czubkiem w przestworza. Jesteś wszystkim. Czyta się dłużej, znacznie dłużej, niż to trwa, mierzone zwykłym czasem. Nagle jakby wybudzasz się na powrót w głowie, w tej ciasnej przestrzeni. Doświadczasz oszołomienia, ciało wciąż pulsuje, Gracja jeszcze się kurczy i rozwiera, ale coraz wolniej, coraz słabiej. Obejmujesz ją całą dłonią, delikatnie, z wdzięcznością za tę podróż. Jest w tym tyle bezwarunkowej miłości, tego nieprawdopodobnie niemożliwego do opisanie wrażenia powrotu do domu, odpoczynku w niebycie przy jednoczesnym byciu – nareszcie w pełni, byciu bez myśli, lecz świadomym. To bardzo nietrwały stan, ale pozwala przez ułamek sekundy zrozumieć, że jesteśmy czymś więcej niż udręczonymi gonitwą umysłami, niż pospinanymi stresem ciałami.

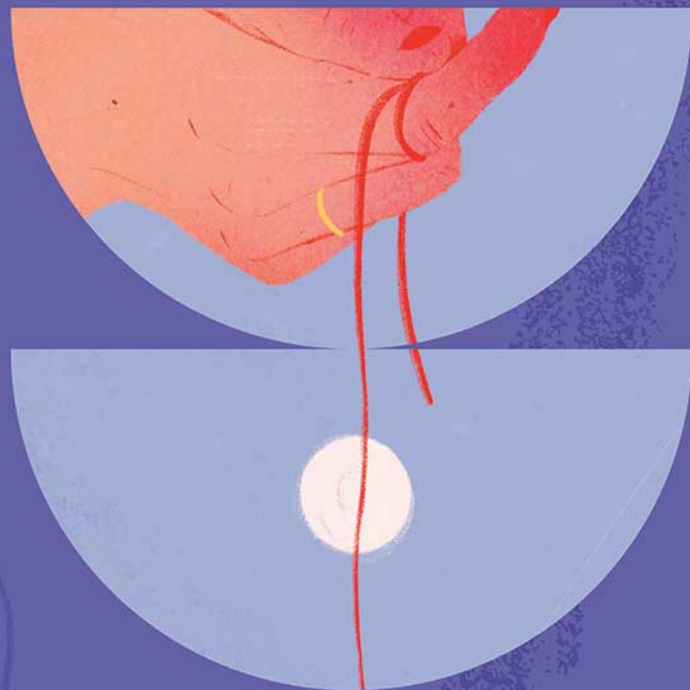
Jak wszystko, co dostępne w ofercie firmy Życie, autorozkosz może stać się istnym przekleństwem, jeśli wciąż tkwimy w trybie „chcę, żeby nie bolało, chcę uciec, chcę ulgi, nienawidzę siebie, nienawidzę świata, boję się, nade wszystko się boję”. W takiej sytuacji może nawet trochę pasuje określenie „samogwałt”. Bo w tym nie ma podróży, nie ma czułości, jest tylko szarpanie, egzekucja. Byle podtopić się w dopaminie i pozostałych substancjach. To przypomina opętanie, przejęcie, zupełnie jak w milionie innych uzależnień. I bardzo mnie porusza, i marzę, by żadne z nas w ucieczce i bólu któregoś dnia nie musiało już uciekać, a ciało i umysł od bólu odpoczęły.

Czy wypada obłaskawiać kata, gnębić dłużnika, będąc w związku? Czy dopuszczalne jest lustrowanie motyla, nadawanie alfabetem Morse’a, gdy tworzymy z kimś parę? Wedle uznania – myślę.

Można, nie trzeba, każda para wie. Myślę, że nie można zabraniać. Myślę, że nie można zawstydząć. U nas, jak nietrudno się już domyślić, dbamy o stajnię. Koń i klacz mają swobodny dostęp do pastwiska, nikt nikomu nie robi scen o samotną przejażdżkę. Tu nie ma albo-albo. Jest to i to. Razem i w podgruchach.

Samość jest dla mnie tak zachwycająco satysfakcjonująca, że gdybym była zmuszona żyć w pojedynkę, to nigdy nie rozpoczęłabym siłowego poszukiwa-

nia towarzysza do seksu. Nie usychałabym sfrustrowana, że nikogo nie mam. Spokojnie uprawiałabym soloseks, aż spotkałabym człowieka, który nie myli różności z MIŁOŚCIĄ.



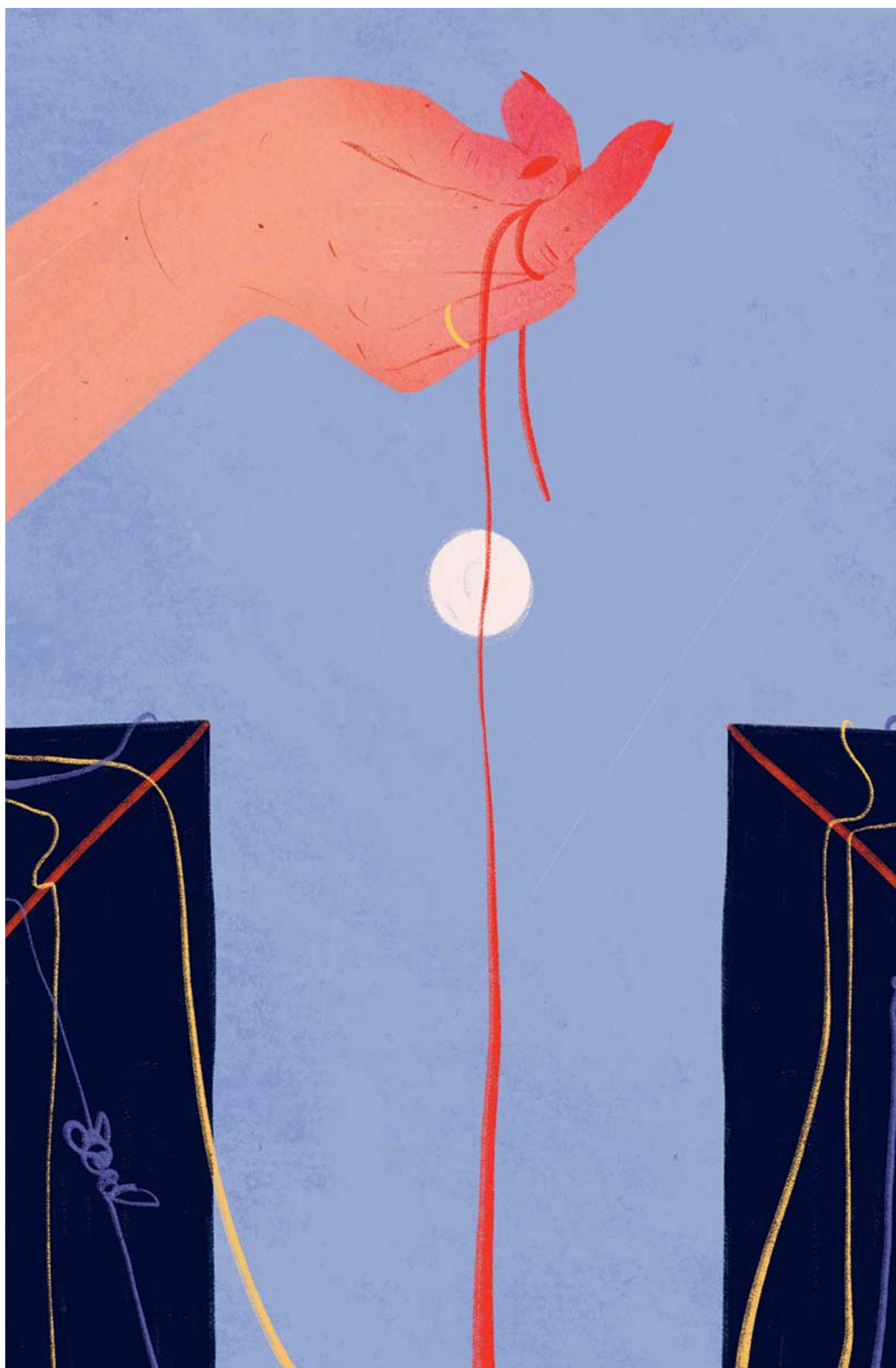
Samokontrola

Czy jeśli wykupimy wczasy *all inclusive*, to oznacza, że programowo musimy wyzłopać cały dostępny na terenie hotelu alkohol i opędzłowywać codziennie wszystko z półmisek i bemałów? Człowiek myśli sobie: Zapłaciłem, nie wypada nie skorzystać. Albo: Nie po to płaciłem, żeby inni żarli i pili. Jak w życiu. Inni idą, to i ja pójdę. Wszyscy komentują, to i ja się wypowiem, żal, żeby internet się marnował. Czy to, że na świecie jest wszystko, co jest na świecie, oznacza, że musimy ze wszystkiego korzystać? Z jednej strony, życie jest krótkie, a potem na dwoje babka wróżyła, więc żal powstrzymać dłonie przed sięganiem, szkoda sznurować usta i nie próbować, bez sensu ignorować swoje zmysły, gdy łakną. Z drugiej strony, czy pacyfista musi się zaciągnąć do armii, odnieść wojenną ranę, odebrać komuś życie, by zdobyć namacalne dowody, że wojna jest zjawiskiem dla pacyfisty nie do zaakceptowania? Ja na przykład wiem od znajomych, że istnieje Tinder, ale znam siebie wystarczająco dobrze, by nie zakładać tam konta. Nie wiadomo, kiedy umrę, więc nie chcę, żeby śmierć mnie zastała przy obcym człowieku albo w dniu, gdy ryję w ciałach, by przetestować swoją otwartość, o której wiem, że jest w tym temacie ograniczona. A nawet jeśli nie umawiałabym się na seks, bo przecież nie tylko o seks chodzi na Tinderze, to nie chciałabym przeistoczyć się w niewidzialne, odpowiadając, że muzyką, na pytanie, czym się interesuję.

Matka mi mówiła, że zanim się z kimś zwiąże, powinnam się nażyć, że jak facet miał tylko jedną dziewczynę, to nie wytrzyma i będzie chciał posmakować innych. Pisałam kiedyś o kobiecie, która trzymała cnotę dla męża, ale wiecie, jak to się skończyło. Latami żyła w przeświadczeniu, że zbliżenie boli, a ekstaza to stwór z Loch Ness, o którym wielu mówi, ale nikt go nie widział. Nie jestem zwolenniczką tkwienia w układach, które owijają się wokół kostek, czyniąc latanie niemożliwym. No ale jeśli mamy przy sobie kogoś, z kim można się wznieść ponad ziemię, towarzysza lub towarzyszkę, przy których da się bezpiecznie pogłębiać wiedzę na temat siebie i życia, to po kiego grzyba świecić zielonym światłem dla innych? No wiem, że razem z nami bujają się po świecie piękni i interesujący ludzie, że nowe buty wydają się fajniejsze niż te już ciut

znoszone, ale dla mnie jest coś mocarnego w konieczności, a może raczej możliwości dokonywania codziennych wyborów, podejmowania decyzji typu: co prawda stół się ugina od pyszności, ale ja decyduję się od niego odstąpić. Znam ten stan, gdy poznajesz kogoś, a ramię dociąża diabeł we własnej osobie i szepcze do ucha: „Przecież czujesz to, widzisz, co tu się odwala, nikt się nie dowie, otwórz wrota”, i może nawet przychodzi mi do głowy, że w innych okolicznościach, przy innym rozdaniu mogłabym lekko oszaleć, ale decyduję się strzepnąć toto z ramienia i świadomie wybrać siebie. Jest w tym coś może nawet bardziej kręcącego niż w podążaniu za fatamorganą.

To dotyczy wielu kwestii – tych wielkich i tych całkiem przyziemnych. Wstać czy jeszcze posiedzieć? Iść na starcie czy przejść na drugą stronę ulicy? Napić się czy widzieć ostro? Zarobić czy pobawić się z dziećmi? Skomentować posta czy sprawdzić, co emocje, jakie wywołał, mówią o mnie? Przekonywać czy uznać swoją prawdę za wystarczającą? Kupić to czy odłożyć pieniądze? Żądać opieki czy zaopiekować się sobą? Czekać, aż okoliczności się zmienią, czy wziąć odpowiedzialność za własne życie?



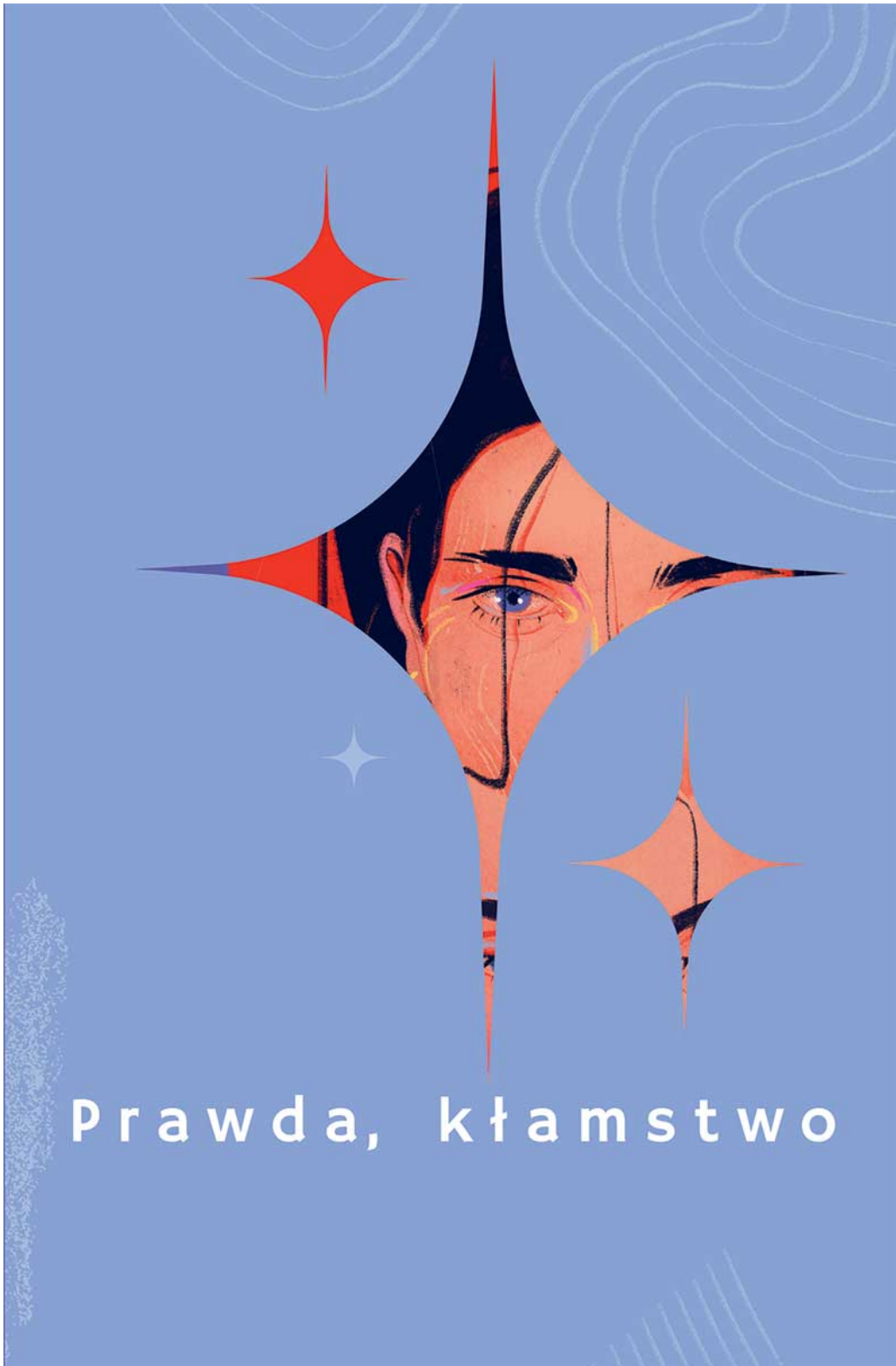
To jest silniejsze ode mnie – tak mówiłam do siebie przez większą część życia, a jeszcze częściej słyszałam wokół. Tak, to – czymkolwiek jest – może być silniejsze ode mnie, ale tylko wtedy, gdy wybieram podtrzymywanie przeświadczenia o własnej słabości, które wtarto mi w zwoje. Ja nigdy nawet nie

sprawdzałam, czy to prawda, że jestem słabeuszem. Owszem, czułam się słaba, zbyt słaba, by się przekonać, czy rzeczywiście jestem bezwolnym kawałem materii, zdolnym jedynie do poddawania się ludziom, okolicznościom i diabelskim podszeptom. Paradoksalnie to właśnie ludzie, okoliczności i poszturchujące kopyto doprowadziły mnie do skrajnego wyczerpania, a ostatecznie do podjęcia pierwszej desperackiej próby odnalezienia w sobie źródła mocy. W końcu zobaczyłam na sicie pierwszy złoty samorodek, potem kolejny, a obecnie tworzę wyroby ze złota.

Piszę o tym, bo złoto jest. Występuje w twojej okolicy w naturalnej postaci. Pchasz pług w znoju, a pod stopami masz skarb. Jesteś potentatką, potentatem. Nie mów „nie”. Sprawdź.

Samokontrola nie jest mnożeniem zakazów, które sami sobie narzucamy, tak jak czynili to dorośli w naszym dzieciństwie, nie pozostawiając nam wyboru. Albo tak, jak czynią to aparat państwa, kultura, społeczeństwo, wciskając w wąskie ramy różnorodność wszelkiego stworzenia. Zawsze o nas bez nas. Samokontrola to odpowiedzialne korzystanie z własnej sprawczości typu: Wiem, że mam taką parę w łapie, wirującą pięść, że wkładając trzydzieści procent wysiłku, mogę zabić, ale nie robię tego, bo wybieram pokój, miłość, szacunek. Samokontroli można też użyć, by na przykład przestać ślepo ufać mediom, jak to mieliśmy dotąd w zwyczaju. Możemy zdobyć się na odwagę i sprawdzać informacje. Możemy przejąć kontrolę nad rozbestwionymi umysłami, które, wytresowane, szepczą: Tak to już jest, nie ma wyjścia, to się nie uda, lepsze jest mniejsze zło, co my, mali, możemy na taki stan rzeczy poradzić.

Ja wyraźnie wyczuwam w samokontroli komponenty czułości, szacunku i dbałości o siebie. Nie zabraniam. Wybieram. Nadal zdarza mi się wybrać ścieżkę prowadzącą na manowce, ale idąc, zawsze ściskam w dłoni nić Ariadny, po której wrócę do siebie, do domu.



Prawda, kłamstwo

1
ak się przedstawiałam w przedśmionku relacji? Proszę bardzo:

- jestem towarzyska,
- uwielbiam gotować,
- kocham dzieci, marzę o dwójce w porywach do trójki,
- kocham podróżować,
- nie jestem, broń Boże, zaborcza,
- brzydzę się zazdrością,
- ubóstwiam seks,
- nie rozumiem kobiet, które nie przepadają za robieniem lodu,
- szybko dochodzę,
- to oczywiste, że możesz wychodzić z kolegami, kiedy chcesz,
- jestem wyrozumiała,
- nie lubię się kłócić,
- wprost uwielbiam twoją rodzinę,
- nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty i już nie spotkam,
- lubię robić wszystko to co TY,
- szanuję to, że potrzebujesz czasu dla siebie,
- to ohydne przeglądać cudzy telefon,
- każdy ma prawo do tajemnic.
- jestem samodzielna,
- pieniądze nie mają znaczenia, ważne, że się ludzie kochają,
- jara mnie piłka nożna, polegwanie na kanapie i przeskakiwanie z jednego kanału sportowego na drugi,
- dbam o porządek,
- uwielbiam gości,
- oczywiście, że będziemy chodzić na miasto,

- nie obrażam się,
- będę cię bezwzględnie wspierać,
- nie marudzę,
- jestem pozytywna i pogodna,
- ta fizyczna to nie zdrada,
- każdemu się może zdarzyć, wszystko się może zdarzyć, a ja mam z tym luz,
- doceniam, gdy ktoś kłamie, żeby mnie nie zranić,
- nie jestem podejrzliwa,
- zaufanie to podstawa, więc nie dopytuję, bo ufam,
- nie jestem zazdrosna o twoje byłe,
- możesz chodzić na piwo z koleżanką,
- jeśli masz dzieci, to wiedz, że już je kocham,
- dbam o siebie, a kobiety w mojej rodzinie właściwie się nie starzeją.

Pewnie nie wymieniłam wszystkich haseł stosowanych każdorazowo w okresie przedwyborczym. Jedno jest pewne: zawsze starałam się mieć wyborcę skutecznie, kroić kampanię na miarę jego oczekiwań i cel realizowałam. Wyborca głosował i doznawał identycznego zawodu jak obywatele, którzy głosują i doznają. Wprost nie mógł się nadziwić, jakim cudem dał się tak nabrać, jak to możliwe, że wylądował w Gileadzie.



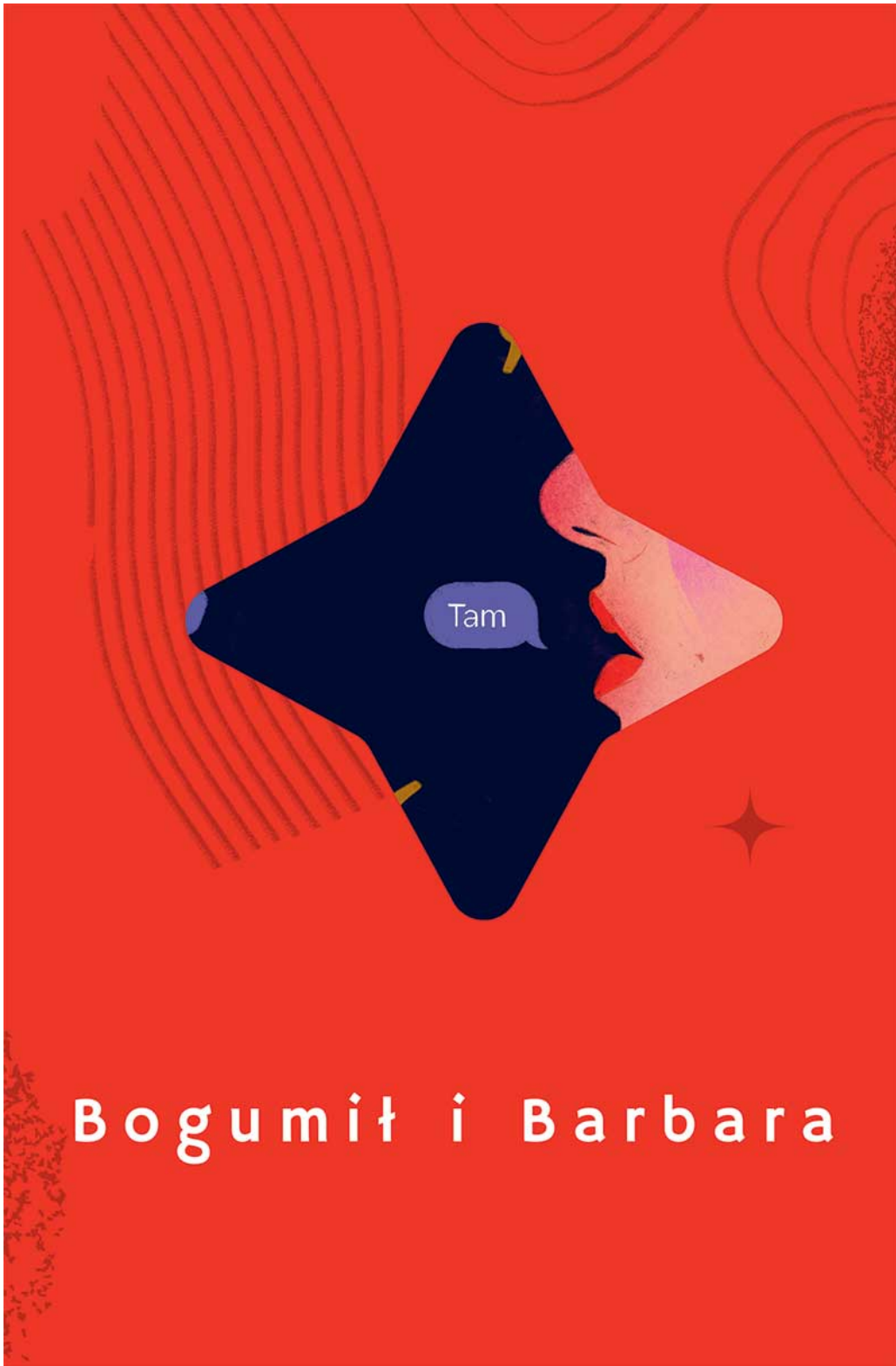
Paradoks polega na tym, że ja również głosowałam, facet wygrywał wybory, a wrażenie całkowitej wtopy, rozczarowania i wyglądanie szans na wcześniejsze zakończenie kadencji były moim doświadczeniem. Dlaczego? No dlatego, że kłamaliśmy obydwój. Albo inaczej: nie mówiliśmy prawdy. Na pewno są po-

śród Was tacy, którzy uwodząc, a potem stopniowo pogłębiając zażyłość, bazują na faktach. To bardzo mądre. Musiałam wiele przeżyć, wykopyrtnąć się wielokrotnie, by nareszcie doznać olśnienia – prawda jest prostsza. Nie otworzyłabym nigdy butelkowni łez, gdybym oprzytomniała wcześniej. Nie byłabym częścią archiwum złych wspomnień drugiego człowieka. Nie miałabym własnego bestiariusza, gdzie umieszczałam wizerunki ludzi, którzy kojarzyli mi się z dolnym poziomem życiowej sinusoidy.

Mojego męża znam trzydzieści lat. W związku jesteśmy dwadzieścia parę. Mieliśmy wielkie szczęście, możemy się sobie głęboko pokłonić, bo zatailiśmy prawdę na wstępie, ale przetrwaliśmy bolesną konfrontację z faktami. Głównie bolał rozmiar zakłamania, nie to, co ujrzeliśmy pod jego grubym kożuchem. Bo wybierałam świetlistego, wyluzowanego ogarniacza rzeczywistości, którym mąż wcale nie był. Czułam się oszukana, bo miał ogarniać z uśmiechem wszystko, mnie miał ogarnąć, czego nawet nie wiedział, bo przecież zgrywałam ogarniętą. Dziś żywo doświadczam spotkania w prawdzie z mężczyzną, który pod mankietami skrywał (metaforycznie) blizny po samookaleczaniu, który po cichu cierpiał, bał się, wątpił, przelykał dyskretnie łzy – tak jak ja. I nie zamieniłabym tego na nic innego. Gdy zasłony opadły, mogliśmy wybrać siebie tak naprawdę i wybór był prosty. Wyczerpująca gimnastyka, jaką uprawia kłamczuch, zawsze przegra z wolnością i swobodą, jaką gwarantuje prawda. Jedyne warunki: gotowe na prawdę muszą być obie strony. Cokolwiek mój mąż by o sobie powiedział – znam to. Cokolwiek bym wyznała – był tam. Jaka to ulga mieć choćby jedną osobę na tym świecie, przy której można wyjść z ukrycia, powiedzieć: Oto ja, niedoskonała, przestraszona, przytłoczona ilością gruzu do przetrzucenia, i w odpowiedzi otrzymać pełną zrozumienia ciszę. Dać drugiemu to samo. Tu się kończą oczekiwania, jakich pełno w relacjach opartych na niedomówieniach. Na tym etapie raczej już się rozumie, że związek to dwa drzewa, a nie jedno opanowane przez jemiolę.

Marzę, by ten równoległy spacer trwał do końca, ale jeśli z jakiegoś powodu tak się nie stanie, to nigdy już nie przedstawię fałszywych danych na swój temat. Prawda dziś jest mniej przerażająca, niż była dawniej. Sporo się zmieniło, choć do sufitu w dążeniu do doskonałości jeszcze nie sięgam. Jedno wiem: w razie czego wystarczę sobie za jedyne towarzystwo. Nigdy nie zrezygnuję

z komfortu, jaki daje prawda, nigdy nie wygnę się w chińskie es, by fałszywą obietnicą przyciągnąć wyborcę.



Bogumił i Barbara

Noce i dnia. Zgadza się. Bogumił i Barbara mogą być aktywni zarówno nocą, jak i za dnia. Nazwisko – Niechcicowie – no, tu się nie klei, bardziej pasuje Chcicowie. Bogumił i Barbara – czy to nie brzmi lepiej niż prącie i wagina, członek i pochwa, element rozrodczy żeński i męski narząd płciowy, czy po prostu pizda i chuj? Każdemu z nas pewne określenia przechodzą bezkolizyjnie przez gardło, inne wręcz kaleczą jamę ustną, zostawiają krwawy ślad na języku, tak są kanciaste. Istnieje też porażający kaliber indywidualnie definiowanej brzydoty słowa, który czyni jego użycie bezapelacyjnie niemożliwym.

Rodzice tworzą listę ulubionych imion dla dziecka, zanim spotkają się spojrzemieniami. Wcale nierzadko się zdarza, że oserek nazywany Gerwazym przez powłoki brzuszne po wyjściu na świat w oczywisty sposób ma oblicze nielicujące z imieniem. Matka wie, że to Dariusz, Darek po prostu.

Moim zdaniem trzeba się spotkać z narządem, podejść bliżej, przedstawić się i poczekać chwilę, aż sam wyjawia swoje imię. Moja Barbara przypomina trochę Barbarę z lektury. Bywa naburmuszona, uważa, że należy jej się lepsze życie, wykazuje okazjonalną skłonność do popadania w histerię. Bywało, że z zażenowaniem odwracała głowę, gdy Bogumił, nawalony, próbował zagajać. Ale jest również delikatna, zadbana, ma klasę, a odpowiednio traktowana staje się czuła, mięknie i uśmiecha się filuternie. Ma fantazję, której nie ujawnia natchmianem, dopuszcza nawet, przy dużej zażyłości, szaleństwo. Bogumił jest rośły, dumny, zdecydowany, sprawny fizycznie, odpowiedzialny, choć bywało, że zachowywał się jak Tomaszek – lekkomyślny utracjusz. Potrafi przemówić Barbarze do rozsądku, a nawet ją spacyfikować, gdy wymagają tego okoliczności. Zaskakuje wyobraźnią i poczuciem humoru. Dynamika relacji naszych Bogumiła i Barbary jest fajniejsza niż tych z *Nocy i dni*, bo nasi autentycznie za sobą przepadają, kochają się obopólnie. U tamtych dysproporcja w zaangażowaniu, zabieganiu o siebie nawzajem, okazywaniu uczuć skłaniała do serdecznego współczucia Bogumiłowi, który był niczym wiatr, podczas gdy Barbara nie raczyła nawet postawić żagli.

Nie podoba mi się nazewnictwo odgórnie przypisane miejscom intymnym. Miejsca te, moim zdaniem, mają osobowość, indywidualność. Wymyślacze nazw nie postarali się zbytnio. Jakies to takie bez polotu, techniczne, śmieszne, a czasem nieco uwłaczające, żeby nie powiedzieć agresywne. Bardzo trudno nie załapać się we wczesnym okresie życia na kontakt z wypowiedziami, które obciążają nasz stosunek do własnych intymności wstydem, czasem nawet obrzydzeniem. Już jako dzieci słyszymy: „Fuj, gdzie tam grzebiesz?“, „Zostaw to, wstydz się!“, „Zakryj to!“, „Wstyd masz zakryty“. Naga kobieta to bezwstydnica.

Z jednej strony dziewczynka i chłopiec wiedzą, że mają tam cipkę i siusiaka, a z drugiej słyszą, jak w rozmowie rodziców pada: „Ale z tej Bożeny głupia cipa“, „Marek to złamany chuj“ – a skądś już wiadomo, że siusiak, kutas i chuj to to samo. No i siłą rzeczy powstaje dziwne zamieszanie w młodej głowie. Do szkoły większość trafia z beretem mniej lub bardziej zrytym w kwestii odczuć, stosunku do zawartości własnych majtek. To w szkole ta zawartość staje się narządem rozrodczym, który ogląda się na rysunkach, w przekroju, i można dostać pałę, jak się nie wykuje na pamięć brzydkich nazw poszczególnych jego elementów. Niewiele później z życia wyprowadzana jest odnoga zwana życiem seksualnym (brzydka nazwa), a w nim albo nie mówimy wcale, albo mowę mamy koślawą, bo wstyd, bo nie wypada, bo głupio. No to mówi się TAM: Pocałuj mnie TAM, włóż mi TAM, nie dotykaj mnie TAM, brakuje mi ciebie TAM. Albo bez słów naprowadza się ręką rękę lub głowę, lub TO, żeby wślizgnęło się TAM.

Ja chciałam mówić, nie czułam wstydu przed mówieniem, bo zawsze byłam gadułą, gdy już miałam z kim zamienić słowo. Nie odpowiadała mi uboga zawartość słownika języka intymnego. Najbardziej pasują mi do prącia imiona męskie albo określenia kompletnie od czapy, które przychodzą mi do głowy spontanicznie. Z męskich do tego konkretnego, które mam na myśli, najbardziej pasuje mi Bogumił. A z tych od czapy ono dobrze reaguje na: Słoneczny Patrołu, Uzbekistanie, Podbipięto, Kolesiu, Serdeczny i... więcej sobie teraz nie przypomnę.

Napiszę jeszcze, że personifikuję onego. Mogę być wkurzona na męża, a jednocześnie nie mieć nic do Bogumiła. Myślę, że go rozumiem, a na pewno chcę zrozumieć. Jestem ciekawa jego odczuć. Zastanawiam się, czy przepada za jazdą na rowerze tak samo jak mąż, czy może postrzega to w kategoriach traumy

i za każdym razem, gdy ten napełnia przed treningiem bidon, woła zrozpaczo-
ny: Ratunku! – ale przez grubą warstwę gąbki w kolarskich gaciach nikt go nie
słyszy. A tak poważnie, to według mnie w bliskości, niespiesznym, pełnym
uważności spotkaniu z drugim człowiekiem możemy przywrócić godność tym
rejonom. Możemy pomóc sobie nawzajem wyzbyć się narzuconego dawniej
wstydu, zbudować szacunek do tej strefy własnych ciał.



Wiem, że wiele dziewczyn nigdy nie widziało swojej Barbary. Poznały ją jedynie przez dotyk. Niektóre dotykają jej tylko podczas mycia. Wiele z tych, które zobaczyły, jak wygląda, nazwało ją ohydną, bo wyglądała inaczej niż Arlety, jakie widziały na przykład w pornosach. Znam posiadaczki Ciepłotek wyszy-

dzonych przez partnerów. Niedawno moja dobra kumpelka postanowiła skorygować operacyjnie wygląd swojej Barbie, uznając, że to jedyny nieurodzony fragment całości.

Wszystko jest dla ludzi, uważam, że można sobie robić, co się tylko chce, i nic nikomu do tego. Ale jakoś mi smutno, gdy myślę o naszych Różannach, zawstydzanych od dziecka, przepędzających życie pod warstwami tekstyliów. Są różne, jak my jesteśmy różne; po prostu wyjątkowe. Dla mnie to oczywiste, że wiele z nas myśli o nich z niezadowoleniem, czasem z obrzydzeniem, bo świat nam wmawia, że istnieją jakieś normy estetyczne. Chcemy mieć cipkę modną jak zawartość szafy. Równie przyciętą, żeby broń Boże płatki nie ośmieliły się wysunąć na zewnątrz. Żadnych falbanek. Żadnych przebarwień. Ma być taka jak na filmie, taka jak na zdjęciu. Taka, jak lubi chłopak czy dziewczyna. Pachnąca brzoskwinia czy mlekiem z miodem. Albo bezzapachowa, jeśli goszczący w pobliżu nos nie znosi zapachów.

To samo dotyczy Bogumiłów. Lepiej, żeby był prosty, krzywy to niechętnie, żeby nie za gruby, żeby nie za długi, żeby obrzezany, stulejka ohydna. Mam wrażenie, że zdanie: „Chuj nie musi być duży, ważne, żeby był gruby i długi” – słyszeli wszyscy. Spytałam o to dwóch znajomych kutasologów – zgodnie twierdzą, że największa paranoja u chłopaków dotyczy rozmiaru i sztywności. Patrzą sobie nawzajem dyskretnie w gatki na basenach i plażach i widząc konkretnie, natychmiast uznają, że to musi być gość. Szacunek pojawia się automatycznie i w zasadzie posiadacz konkretnego nie musi już nic więcej sobą reprezentować. W sprawie „bacznosc” nie ma dyskusji – musi się prężyć na rozkaz; jeśli się nie pręży, to wstyd i tragedia. Babki też temu ulegają i myślą, że duży musi być świetny w łóżku. Może, ale nie musi. Przecież to wiemy. Ponoć siedemdziesiąt procent z nas nie doświadcza rozkoszy podczas penetracji. Gdy zbierze się grono kobiet naprawdę sobie bliskich, a jedna z nich odważnie się przyzna, że nie miewa orgazmów pochwowych, to zdarza się, że inne nieśmiało dołączają, ale przeważnie nie ma pierwszej odważnej, która ośmieli pozostałe. Gdy Louis jest mały, zawsze można na niego zwalić to, że nie dochodzi do orgazmu. Ale wiele z nas wie, że duży też nie wywołuje spazmów. Wolimy jednak udawać przed koleżankami i facetami, a sztuka w trzech aktach – gra wstępna, penetracja, jednoczesne szczytowanie – nie schodzi z afisza.

Dużo się mówi o seksie bez zobowiązań, w serialach ludzie się parzą na potęgę, w ogóle tego seksu wyzutego z głębi jest ogrom. Jak w takim przelocie spojrzeć na Barbarę i Bogumiła inaczej niż powierzchownie? No jak? Jak docenić wyjątkowość, pochylić się z czułością nad rzekomo nieestetycznym, gdy na Tinderze przesuwają się lekką ręką setki twarzy, wybierając te we własnym przekonaniu bez skazy? I znów powiem: Spoko, jak sobie stryjenki i stryjkowie winszują. Tak się tylko zastanawiam, czy sprawdzamy do głębi, czy to wszystko, co myślimy, jest na pewno nasze, czy może wlaźło z zewnątrz do środka przez ucho, przez oko i rozpanoszyło się w naszych głowach, przejęło stery naszych cielesnych łązików i szaleje, i używa jak pacynka.

Wolność i szacunek dla Barbary i Bogumiła Chciców takich, jacy są, to dla mnie przejaw miłości własnej, bez której łatwo wpaść w pułapkę mylenia z MIŁOŚCIĄ wszystkiego, co nią nie jest.



Miłość własna

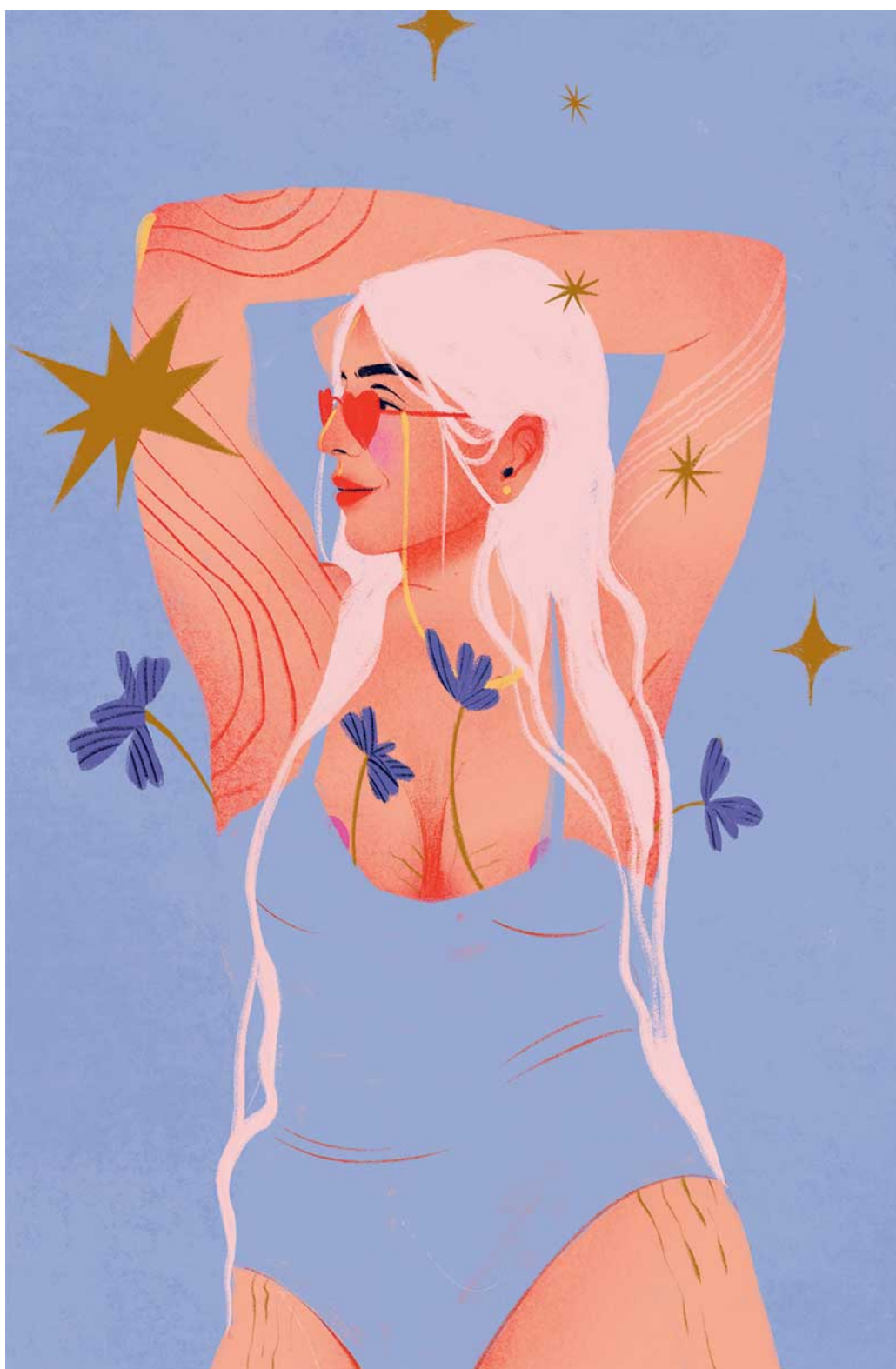
„Pokochoj siebie” – słyszałam. Kochałam siebie tak, jak kochano mnie – miłością obciążoną oczekiwaniami, warunkową, bardzo niestabilną, dopuszczającą zadawanie bólu, poniżenie, a dopływ miłości odcinano za karę. Teraz już wiem, że nie kochałam. Chodziłam od człowieka do człowieka z pustą kanką na miłość, licząc, że nareszcie zostanie napelniona, że nareszcie ugaszę pragnienie. Spotykałam sobie podobnych. Próbowaliśmy przelewać z pustego w próżne, by ostatecznie uwolnić z przesuszonych gardeł charkot pretensji na pożegnanie. W wyniku objawienia, swego rodzaju łaski zrozumiałam, że konieczna jest dekonstrukcja moich wyobrażeń na temat miłości. Okazało się, że szukałam jej na wysokości, w koronach drzew, a ona była częścią runa leśnego.

Ludzie przychodzą i odchodzą. Pamiętam ten moment, gdy dotarło do mnie, że jestem jedynym stałym elementem własnej historii, że byłam od początku i z całą pewnością będę świadkiem końca; końca, który może nastąpić w każdej chwili. Tak, Kochaniutcy, powiedzmy to sobie dobitnie: tak zwanych starych lat, na które zostawiamy wiele spraw, po prostu może nie być. W telewizji śniadaniowej powiedzą Wam, jak zrobić domową granolę, z poezji dowiedziecie się, że należy się spieszyć kochać ludzi, bo tak szybko odchodzą, ale nikt nie czuje potrzeby przypominania, że tak szybko możemy odejść także my. I już by się chciało zbiec z tego wyobrażenia, i już styki w głowach zaczynają skwierczeć. Może w tej sekundzie dzwoni telefon, a Ty z ulgą odkładasz tę książkę, byle nie pozwolić rozważaniom na temat własnego zniknięcia rozhuścić się boleśnie. Kumam to. Ach, jak ja to kumam. Doświadczyłam tej chwili, gdy dotarło. Czas się zatrzymał, myślenie wraz z nim, i zostało tylko i wyłącznie czucie tej obezwładniająco głębokiej prawdy.

Jeśli chodzi o zjawisko czasu, uświadomiłam sobie bezmiar straconego. Straconego na bezskutecznych poszukiwaniach, jałowych rozmowach, pretensjach, zaniechaniu, zaniechaniu. Poruszałam się w obrębie schematu, działałam automatycznie, osiągając niezmiennie rezultaty, a może, mówiąc uczciwiej, nie osiągałam żadnych. Uświadomiłam sobie, że ból niosę wewnątrz, że jest obecny nawet w chwilach, gdy na przykład w szaleństwie zakochania zaśmiewam

się do rozpuku, wiruję w tańcu czy padam na poduszki po faszerowaniu Arlety. Fajnie, fajnie, ale co dalej? Rozpoznaję, że – delikatnie rzecz ujmując – nie mam dla siebie serca, ale jak sprawić, żeby zaczęło bić? Znowu wyszło na to, że kijek trzeba pocienkować, czyli obrać się ze wszystkich przekonań, by sprawdzić, co skrywają ich warstwy.

Warstwy skrywały małą, smutną, przestraszoną, bardzo zaniedbaną dziewczynkę. W poprzedniej książce o niej opowiadałam, ale czuję, że muszę ponownie ją przywołać, bo w moim przekonaniu miłość własna nie zaistnieje bez dobiecia się wszelkimi sposobami do tego dzieciaka, którego każde z nas przechowuje w ukryciu, będąc rzekomo dorosłym. Przeczytałam gdzieś, że jeżeli zalewają nas wzburzone fale emocji, nieproporcjonalne do sytuacji, to możemy mieć pewność, że dzieciak próbuje przemówić z odmętów. Mąż z surową miną mówi: „Tak to nie będziemy rozmawiać”, a ja czuję, jak wprost podtapia mnie wściekłość, czuję ją w całym ciele, a z ust wysuwają się sztylety słów, którymi na oślep rzucam w jego kierunku. Albo koleżanka, z którą umówiłam się tydzień wcześniej na sztywno, dzwoni i odwołuje wspólne wyjście do kina, a ja zalewam się łzami (po odłożeniu telefonu) i czuję smutek w dawce śmiertelnej. To tylko pierwsze lepsze przykłady. Badam zatem siebie i widzę wyraźnie, że złość i smutek są starsze niż sytuacje, które je wywołały. Rozumiem, że surowe spojrzenie męża jest bliźniaczo podobne do lodowatego spojrzenia mojego ojca, a „tak to nie będziemy rozmawiać” słyszałam wielokrotnie; wielokrotnie zamykano mi nim usta, kończono rozmowę, uniemożliwiano wyrażenie uczuć, siebie. Wtedy też doświadczałam złości, której jednak nie mogłam wypluć, bo za to groziła kara. Przetykałam ją zatem, setki razy przetykałam, formując wewnątrz zwartą kulę niewyrażonej wściekłości, którą tu i teraz odpalał nieświadomie mąż. Analogicznie ze smutkiem. Wszyscy znamy to rozczarowanie, gdy obiecano nam coś, a potem beztrąsko nie dotrzymano słowa. Smutek przychodzi po stracie. Ileż razy traciłam, a potem zalewałam się łzami, również do wewnątrz, formując masywną kulę smutku, którą koleżanka, tu i teraz, nieświadomie uruchamia.



Czy to możliwe, by depresja, ten najcięższy kaliber smutku, mogła być wynikiem niedającej się już wypierać utraty samego siebie, tej najważniejszej relacji ze wszystkich? Nie jestem specjalistką, więc tak tylko rzucam do kontemplacji.

Zatem objawiła mi się dziewczynka – pomimo bywania dorosłej Nosowskiej w świecie – niezaopiekowana, niekochana w sposób zasilający. Nagle we wszystkich słowach, jakie wypowiedano do mnie w relacjach, ale również wypisywano w internetowych komentarzach, dostrzegłam nitki prowadzące bezpośrednio do dzieciństwa. Cokolwiek byście mi powiedzieli – a wywoła to we mnie emocjonalny sztorm – znam z przeszłości. Przypominacie mi tylko o masywnych kulach, które chowam wewnątrz. Jako że nie mamy najmniejszej mocy, by sterować ludźmi, wymagać od nich traktowania nas podług naszych oczekiwań, zaczynamy wreszcie rozumieć, że jedyną osobą na świecie, która ma dostęp do kul, która może wziąć w ramiona dzieciaka, jesteśmy my sami.

Nie jest to łatwe, bo nagle muszę się stać dla części siebie rodzicem, muszę dotrzymać danego dzieciakowi słowa, a przecież nauczono mnie, że można na luzie nie dotrzymywać. Muszę pozwolić dzieciakowi wyrazić uczucia, a przecież nikt mnie nie nauczył bezpiecznie wyrażać własnych. Muszę dbać, a przecież byłam zaniedbywana, być czułą, znając tylko chłodne ramiona i ponure spojrzenie. Na początku dzieciak jest nieufny, wierzga, sztywnieje w ramionach, ale konsekwencja tworzy powoli załączek zaufania. Tu nie ma drogi wstecz, nie można się wycofać, bo raz rozpoznane wewnętrzne dziecko, ponownie zawiedzione tym razem przez nas, stanie się katatonikiem i już się nie pojawi, nie dźwignie tej zdrady. Własnoręczne prowadzenie siebie do momentu, gdy wiek dziecka zrówna się z naszym realnym, jest najwspanialszą przygodą życia. To niesamowite obserwować, jak się zmienia życie, jak się zmienia wszystko, gdy bierzemy sprawy w swoje ręce.

Znacie mnie już trochę i wiecie, że niska samoocena to niedomówienie, gdybyście chcieli opisać mój wieloletni stosunek do siebie. Nowość! Ja mam samoocenę, ja sobie ją zbudowałam – najpierw w dzieciaku, a potem w sobie dorosłej. To jest możliwe. Masywne kule były z lodu, potrzebowałam wytworzyć źródło ciepła, by je pomalutku roztopić. To oczywiście proces i nierzadko trzeba prosić o pomoc specjalistów. Nie podam przepisu na drogę, chcę tylko powiedzieć, że to jest do zrobienia, i zachęcić, by – gdy przyjdzie odpowiedni moment – zdobyć się na ten gest w stosunku do siebie, a wtedy metody i narzędzia same się pojawią – odpowiednie dla Was, bo, kurde, metody muszą być dobierane indywidualnie, żeby Wasze dzieciaki miały ubranka szyte na miarę, a nie z odzysku, po starszej siostrze.

Na pewnym etapie słynny internetowy hejt stał się dla mnie jednym z ważniejszych narzędzi. Zaczęłam traktować go jako cenną wskazówkę, informację o tym, gdzie nadal boli, gdzie jeszcze trzeba zadbać, wygoić. Na początku tego roku, po kilku latach radowania się nową sobą, doświadczyłam sporego ataku w sieci w związku z feminatywami. Powiedziałam coś, wydawało mi się, jasno i precyzyjnie. Znam swoje intencje i staram się być odpowiedzialna w mowie. No i klops. Jakiś nagłówek, jakieś przekręconko i wyszło na to, że wpierdol się należy. Poczułam falę, choć już byłam w domu, a mój dzieciak niby dorósł. Poczułam wstyd i lęk, a nawet przez moment podałam w wątpliwość własną poczytalność. W takich momentach siadam w swoim pokoiku i zaczynam się badać. Zrozumiałam, że nie ustałam przy sobie, przyjudaszyłam, zaczęłam pod wpływem presji z zewnątrz opuszczać siebie. To trwało chwilę, ale wystarczającą, by rozpoznać temat, na który należy zwrócić uwagę: zdarza mi się jeszcze zapomnieć, zdarza mi się jeszcze podważyć. Tak jakbym miała do napisania kartkówkę, by sprawdzić stan wiedzy. Zaczęłam pisać bzdury, ale szybko się zorientowałam, zamazałam i napisałam właściwą odpowiedź: Wiem, kim jestem, i trwam przy sobie nawet w obliczu *cancel culture*, publicznego unieważnienia, bo byłam unieważniana w dzieciństwie wielokrotnie, a nawet unieważniałam siebie.

Czy rozumiecie, o co mi chodzi? Kochanie siebie to nie jest jakaś tanizna, nie ma terminu przydatności, tego nie można dać i odebrać. To uczucie autentycznie zrywa relację z zaburzonym narcystycznie światem. Przestajesz grać w tę grę. Nie przekonujesz do swojej racji, nie udowadniasz jej. Nie lękasz się odrzucenia. Nadajesz sobie nareszcie wartość, która jest niezbywalna, trwała i nie wynika z osiągnięć czy stanu posiadania. Wraz z wartością pojawia się szacunek, który sprawia, że w mig rozpoznajesz wszelkie próby nadużywania czy wykorzystywania. To uczucie nakazuje Ci rozejrzeć się we własnym życiu, sprawdzić, czy praca, w której zarzynasz się od lat, jest zajęciem, jakiego chciałeś, a jeśli odpowiedź jest negatywna, masz odwagę, by tę pracę zmienić. Oglądasz relacje, każdą jedną, i zabierasz siebie ze wszystkich, które wysysają z Ciebie soki. Kończą się oczekiwania względem ludzi, przestajesz spełniać wymagania innych. Co ciekawe – odkrywasz, że masz na wyposażeniu całe pokłady wyrozumiałości, nie bierzesz do siebie elektrycznych wyładowań bliźnich. Jest Ci dobrze ze sobą, ale też innym jest milej, gdy wejdą w pole Twojego oddziały-

wania. Oddychasz głęboko, sen przychodzi łatwo i jest prawdziwie regenerujący. Ja spostrzegłam pewnego dnia, że nie czuję już zacisku w żołądku, metalicznego posmaku lęku w ustach. Dopiero ich zniknięcie uświadomiło mi, że nie znałam dotąd stanu bez nich. To jest mój jackpot. Megawygrana.

Nie dałabym rady bez miłości własnej odkryć, że nie miałam pojęcia, czym jest prawdziwa MIŁOŚĆ, że to, co mi się na jej temat wydawało, było pomyłką. Lepiej późno niż wcale.



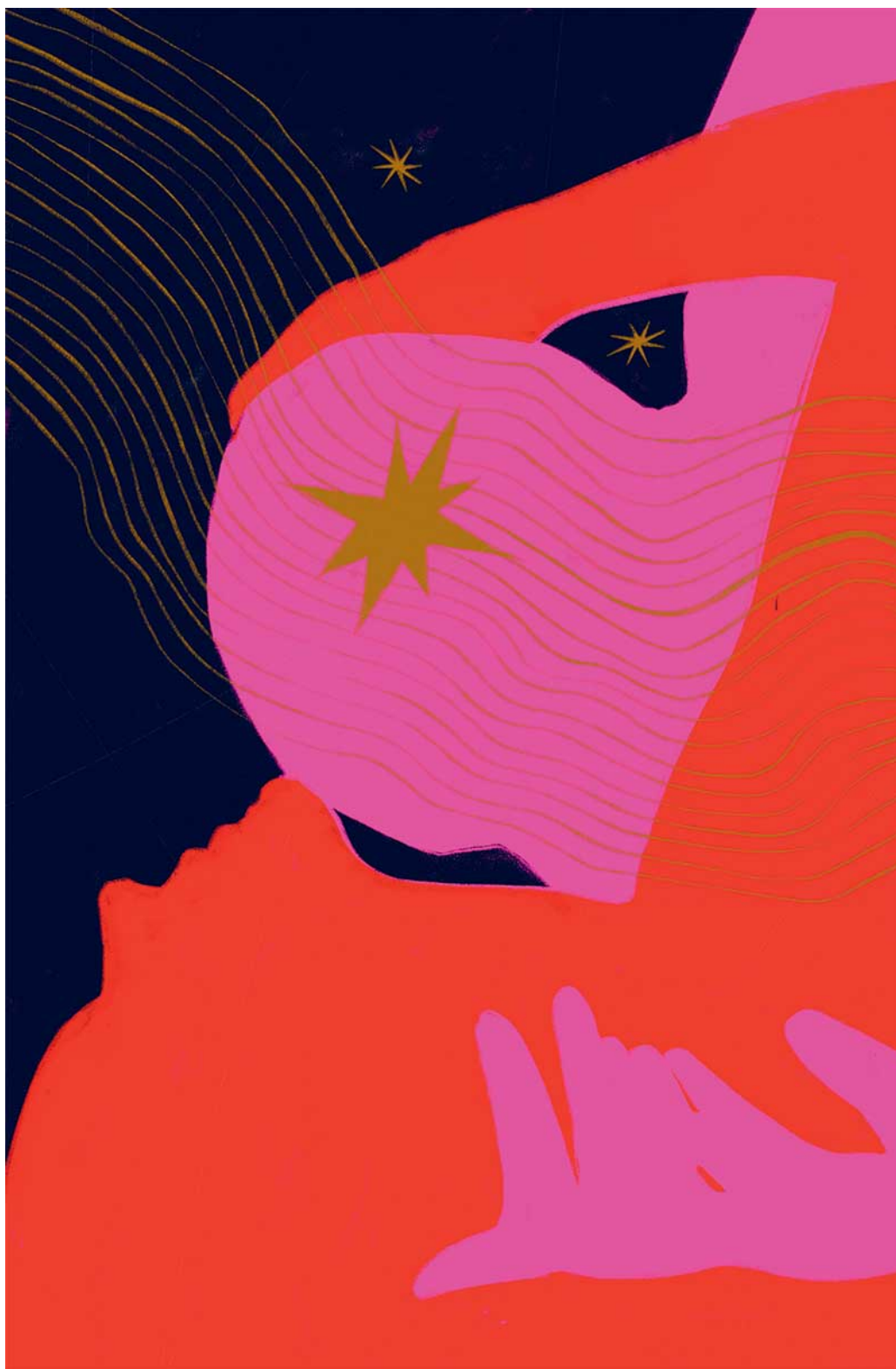
S e k s

Mój pierwszy raz nie był najgorszy, ale z pewnością też nie wzorcowy. Chłopak był o siedem lat starszy, więc wydawało mi się, że jestem w dobrych rękach, że przeprowadzi mnie przez ten moment jak doświadczony drużynowy harcerza przez ciemny las. Bezpiecznie przeprowadzi. Wiedziałam, że coś we mnie trzeba przebić. Przestraszała mnie myśl o przebijaniu. Oczekiwałam bólu, hektolitrow krwi, bo na filmach widziałam, jak podczas przebijania, na przykład włócznią ciała wojownika, krew się leje strumieniami. Wiedziałam, że najpewniej trzeba będzie stanąć przed chłopakiem na nagusa, a już wtedy myśl o wystawieniu na widok publiczny ciała, które we mnie samej wywoływało lekkie obrzydzenie, przyprawiała o dreszcze. Ze dwa lata wcześniej oglądałam pornosa, więc wiedziałam, jak wygląda włócznia. To dobrze, bo przeżyłabym szok, spodziewając się w tym miejscu rysunku z książki do biologii. Z pornosa wiedziałam, że kobieta pojękuje i dyszy. Sprawdzałam na sucho, jak brzmi moje pojękiwanie i dyszenie, zanim w ogóle zaczęło się zanosić na pierwszy raz, i nie było to jakieś fantastyczne jęczenie ani miłe dla ucha dyszenie. No i nadal miałam w pamięci kotłujące się ciała rodziców, które ujrzałam w blasku migającego telewizora, kiedy byłam zupełnie mała, co doprowadziło mnie do hysterii i potwornego lęku w następnych latach. Bałam się, że znów usłyszę, jak mi ojciec morduje matkę, że znów zobaczę mord na własne oczy.

Wracając do pierwszego razu – czułam wielopłaszczyznowy lęk, chyba najbardziej chciałam mieć to z głowy. Chłopak był delikatny, za co mu chwała. Krwi było mało, więc obeszło się bez ekipy sprzątającej, a ból okazał się prawie nieodczuwalny w zestawieniu z tym, jaki pamiętałam z gabinetu dentystycznego, bo w moim dzieciństwie nie serwowano znieczulenia przecież. No oczywiście, że zastosowałam jęczenie i dyszenie, a gdy on spytał, czy było mi wspaniale (*what?*), odpowiedziałam, że najlepiej na świecie. Skąd wiedziałam, że trzeba skłamać, nie mam pojęcia, ale był tak dumny z siebie, że odtąd już zawsze szukałam tej dumy u faceta nawet za cenę kłamstwa. Robiliśmy to przez kilka lat związku i zdążyłam się przyzwyczaić, że razem dążymy do jego satysfakcji, a ja

nic z tego nie mam, traktuję to jako rodzaj gimnastyki i nie zgłaszam pretensji, bo na wuefie też się przecież nie spodziewam ekstazy.

Wraz z seksem wprowadził się do życia strach przed zajściem w ciążę. Wyczerpujący, wszechobecny. Chłopak nie lubił prezerwatyw, a innych metod prócz gumy i obstawiania niebezpiecznych dni przy użyciu kalendarza nie znałam. Tak mi szkoda siebie z tamtych lat. Tak bym chciała pojawić się przy tej dziewczynie jako przybyszka z przyszłości, by podczas czulej rozmowy powiedzieć, że nie musi być służką jego spełnień, nie musi pozwalać przyciskać się do materaca, żyć w strachu; może mu powiedzieć wprost o tym małym punkcie swojego ciała, którego mógłby dotknąć językiem w ramach rewanżu. A przede wszystkim chciałabym jej powiedzieć, że nie musi trzymać się kurczowo układu, w którym za dnia jest traktowana z buta, czuje się nic niewarta, a w nocy jeszcze za to słono płaci.



Żeby nie było, że chłopcy mają mniej przesrane. Rozmawiałam z kolegami i oni też się bali, czy dadzą radę, czy dobrze wypadną i zostaną zapamiętani, zapisani złotymi zgłoskami w dziewczęcych pamiętniczkach. Też oglądali pornosy i spodziewali się określonych reakcji dźwiękowo-wizualnych, i panicznie

lękali się ich braku, a także ciąży. Z jakiegoś powodu chłopak czuje się zobowiązany wejść w rolę druha drużynowego i prowadzić harcerkę, nawet jeśli sam jest początkujący i nie bywał w lesie. No ale kto nam opowie, jak to mogłoby wyglądać? Kto nadmieni, że można porozmawiać szczerze, chwycić się mocno za rękę, by przejść przez las, wspierając się nawzajem, bez oceniania, bez oczekiwań, w wygodnym dla obojga tempie? Albo poczekać i nie wchodzić do lasu, by udowodnić odwagę sobie i innym.

Porno to szczególny temat. Dla początkujących, moim zdaniem, prawdziwa zmora. Jeśli człowiek nie wie jeszcze, kim jest, co z czym, a naogląda się kompulsywnie, to jest duża szansa na trudne do odwrócenia zrycie beretu. Podłapuje się wzorce, gubiąc siebie, znieczulając na żywego trójwymiarowego partnera i jego autentyczne pragnienia. I mamy potem chłopaka, co mówi, że woli duże cyce, raniąc tym wyznaniem swoją ukochaną, która dysponuje drobnym biustem, więc podświadomie zaczyna oglądać się w lustrze z rozczarowaniem i do listy pierwszych potrzeb dopisuje biustu powiększenie. Albo brzydzi go jej Barbara, bo jest pofalbankowana, a obraz równo przyciętych warg Andżeli z filmu, który katował bez końca, wrył mu się w głowę i wyznaczył na wieki pożądany standard.

Dziewczyny też potrafią się naoglądać naoliwionych samców, którzy kobiety biorą; wygląda to na przemoc, ale przecież nią nie jest, bo kobiety jęczą jak szalone, a sam akt trwa godzinę albo dłużej. Potem te dziewczyny są znudzone delikatnością swoich chłopaków, rozczarowane tym, że seks się liczy w minutach, a nie godzinach, myślą, że pewnie coś z nimi nie tak, bo przy nich chłopak toczy znacznie mniej perłowej substancji niż filmowe samce, których sperma wylewa się jak piana z odkorkowanego właśnie szampana.

Seks rozpanoszył się wszędzie, żaden serial, żaden film nie obejdzie się bez niego. Co charakterystyczne, przeważnie ludzie się parzą, a nie kochają. Mocno, szybko, kobiety są rzucane na meble, obracane w windach albo same rzucają chłopów na kanapy, ujeżdżają, pacyfikują, wszyscy wyzwoleni, nieskrępowani, sięgają po swoje, jęczą wniebogłosy, nie pierdolą się w tańcu, choć mogą i w tańcu się pierdolić, zupełnie na luzaku, bez najmniejszej krępacji. Oczywiście są ludzie, którzy się nie wstydzą, lubią swoje ciała i wtedy w porządku. Zagubieni czują się ci, którzy nie zdążyli jeszcze polubić siebie albo woła subteln-

niejsze formy, podczas gdy wszystko zdaje się mówić, że to obciach, że są spięci i nudni.

W dziedzinie romantycznego seksu też da się zauważyć sugerowane zewnętrznie wzorce. Zasadniczo sprowadza się to do zapalenia świeczki, może kadzidelka, w podkładzie jakaś ballada czy *slow instrumental*. Koniecznie szampan albo chociaż wermut. Dociera sporo podprogowych informacji, że na trzeźwo się nie da. Płatki róż na prześcieradle, ponętna halka czy koronkowy zestaw, może jakieś pończochy samonośne. No i obowiązkowo truskawka zanurzona w płynnej czekoladzie. Wolniejsze tempo ruchu posuwisto-zwrotnego. Romantycznie.

Czy mam problem? Można tak pomyśleć. A jednak nie mam. Co kto lubi, pełna swoboda. Mnie tylko chodzi właśnie o to: „co kto lubi”. O pozostawienie ludziom przestrzeni na zadanie sobie tego pytania i samodzielny ucziwą odpowiedź. Czasem nie dostrzegamy, że to, co rzekomo myślimy, wcale nie jest nasze. Informacje, zasady, wzorce wsączają się niepostrzeżenie uchem, okiem, czasem jawnie, czasem perfidnie, bo podprogowo. Myślisz, że wiesz, co myślisz, bronisz tego zajadle, będziesz przysięgać, ruszysz do boju. Na podstawie własnego żywego doświadczenia nieśmiało i serdecznie zachęcam do przebadania siebie, takiego wnikliwego. Jakże ja się zdziwiłam, gdy kolejne przekonania pobrane z głowy i umieszczone na dłoni rozsypywały się w pył w kontakcie z powietrzem.

Odkąd pamiętam, zawsze kręciła się obok jakaś mądra głowa, która perorowała nieproszona, odpowiadała na niezadane przeze mnie pytania. Mądrale w telewizji, mądrale w radiu i gazetach. Nawet jeśli się nie zgadzasz, to zaraz wyjeżdżają ci z tytułami, papierami, dowodami i milkniesz natychmiast, bez sprawdzania uznajesz za swoje, bo hasło „amerykańscy naukowcy twierdzą” onieśmiela i umieszcza na pozycji głupiego, który się nie zna i trzeba go poprowadzić w myśleniu.

Nie mam nic do naukowców, ale są sfery, w których od niedawna jedyną instancją, jaką poważam, jestem ja. Tak jest, bo własnoręcznie zwróciłam sobie prawo do samodzielnego myślenia. W kwestii seksu dowodem na to, że idę w dobrym dla siebie kierunku, jest czucie, które również musiałam sobie przywrócić, bo okazało się, że nawet gdy nie czułam, wmawiałam sobie, że czuję, robiłam z siebie wariatkę, uprawiałam autogaslighting. Byłam pionkiem albo

próbowałam rozgrywać partie partnerem. Nie o taką wymianę mi chodziło, jak się okazało. Nie jestem pionkiem i nie widzę pionka w partnerze, bo dotarło do mnie, że pionkami nie jesteśmy i nigdy nie byliśmy.

Wracamy do miłości własnej. Gdy to czujesz i jest autentyczne, kruszą się iluzoryczne mury podtrzymujące wrażenie oddzielenia. Widzisz w drugim człowieku siebie. Kończy się gra, bo nie ma stron, z których każda pragnie, jak to w grze, zwycięstwa. Białe zaczyna płynnie przenikać się z czarnym jak w symbolu jin i jang. Męskie we mnie rozumie męskie w nim, a jego kobiece przegląda się w moim. Kłaniamy się sobie, a jednoczesne pochylenie karku nie kojarzy się już z poddaniem. Jest okazaniem głębokiego szacunku. Od tego momentu sceny intymne nie powstają na podstawie scenariusza. Nie stosuje się sprawdzonych z innymi ludźmi trików, dawne wzorce opuszczają przestrzeń, zabierając ze sobą wstyd i lęk. Jest tylko bezkresne TERAZ. Nie wiem, jak to się dzieje, jak to jest możliwe, że zanika myślenie, słowa też nie są konieczne, komunikacja ewidentnie zachodzi, ale odbywa się w ciszy. To najbardziej przypomina taniec, ale rolę prowadzącego się wymieniamy i nie pada hasło „zmiana” – to się dzieje samo. Każdy fragment ciała (obojga) jest zaopiekowany i doceniony. Wzrusza, jak bardzo ciała reagują, jak się komunikują. Tempo? Właściwe. Natężenie dźwięku? Naturalne korzystanie z pełnego spektrum. O dziwo, można przejść do końca bezdźwięcznie i nie wzbudza to żadnych podejrzeń.

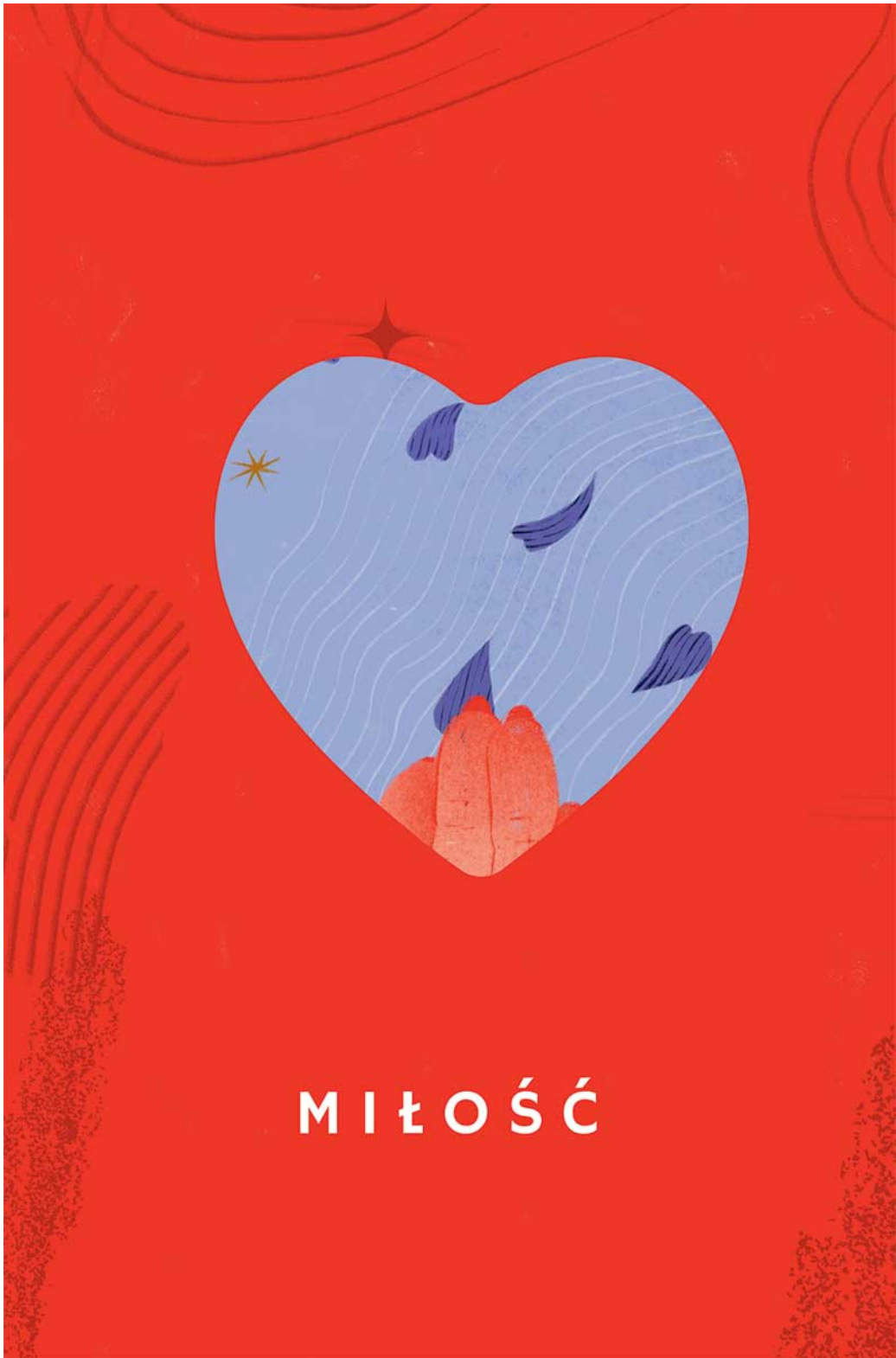
Zdrada? W takim układzie nie przychodzi do głowy. W mocarnym TERAZ, w beczasie, nie rozważa się przyszłości. Ona po prostu się staje. Oczekiwania na tym etapie są wygaszone. Wydarza się to, co ma się wydarzyć. Jeśli ktoś odchodzi, nie zostawia za sobą opuszczonego, bo ten, kto został, jest kompletny, obalił już dawno koncepcję dwóch połówek. Ma obie nogi i idzie dalej, czując wdzięczność za to spotkanie.

Powiecie: mrzonka. A może by tak sprawdzić? Może żyliśmy w przeświadczeniu, że mamy nad głowami sufit i dotknięcie go głową zamyka perspektywę. Widzimy innych, którzy nie doskakują, i jeśli nam się udało, to się cieszymy z tego sukcesu i myślimy, że odhaczone. Może jednak powyżej sufitu jest coś więcej? Może da się go przebić i zobaczyć nieboskłon, na którym błyszczą nieograniczone możliwości?

I na koniec, a może na początek – w kontekście seksu nie istnieje słowo „muszę”. Nie wypowiadajmy go więcej do siebie, nie mówmy „musisz” do drugiego

człowieka.

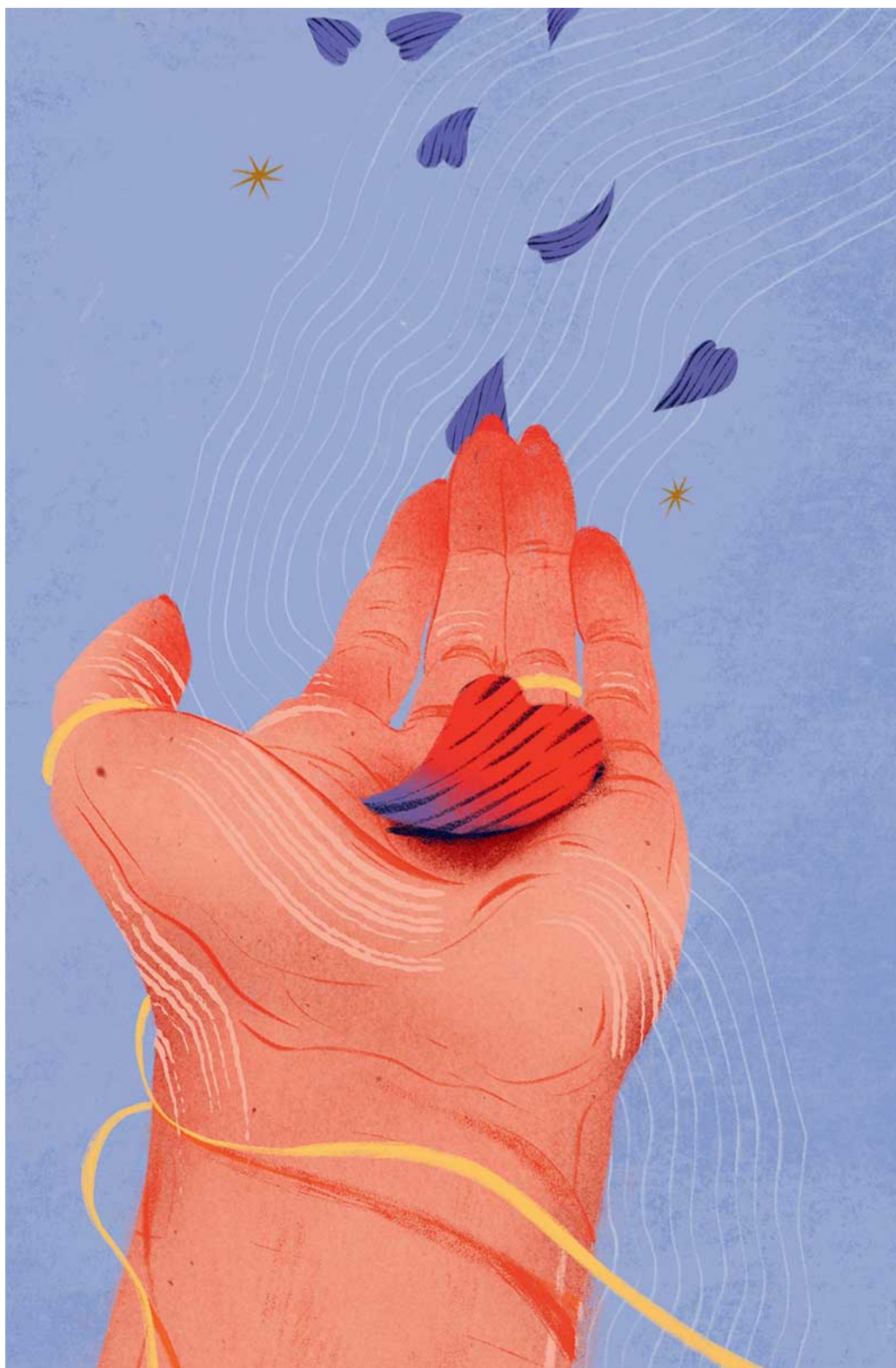
PS Oszczędziłabym dzieciom konieczności rozważania tematów dotyczących seksu. Mam wrażenie, że i tak są niemal siłowo z nimi konfrontowane. Siłowo i przedwcześnie.



MIŁOŚĆ

Miłość jest. Jest dyskretnie obecna od zawsze. Jesteśmy skłonni uznać, że jej nie ma, bo nawołujemy, a w odpowiedzi otrzymujemy ciszę. I do głowy nam nie przychodzi, że miłość właśnie odpowiedziała, że właśnie ciszą jest. Łączymy się w pary i emocjonalno-słowno-fizyczny sparing nazywamy miłością, podczas gdy miłość, znów będąc nierozpoznana, jest przestrzenią, w której ów sparing się toczy. Każde z nas próbuje wytropić miłość, oglądając świat przez peryskopy oczu, nie rozumiejąc, że JESTEŚMY miłością, że oto miłość ogląda samą siebie, w sobie się przegląda. Powiedzmy, że jesteśmy kwarkami, którym świadomości wystarcza co najwyżej, by skumać, że są częścią protonu i elektronu. Czujemy, że wirujemy i nazywamy to życiem. Na tym poziomie mylimy wiele z miłością. Niektórym kwarkom udaje się poszerzyć świadomość o istnienie jądra – te najczęściej czczą atom na klęczkach jako coś wielkiego, niedoścignętego nad sobą. To poziom, na którym kwarki zaczynają przeczuwać, że może miłość to coś więcej, niż im się wydawało. W tej metaforze miłość jest materią. Chodzi o to, by kwarki zrozumiały, że absurdem jest czcić atom, że cały czas były zarówno atomem, jak i materią we własnej osobie.

Miłość zawsze tu była. Nieustannie mamy do niej dostęp. Nie trzeba się donikąd udawać, by jej doświadczyć. Trzeba tylko uważności, by doświadczyć jej niemal namacalnie, przy czym brak uważności nie sprawia, że jest nieobecna. Na przestrzeni życia wielokrotnie przejawia się mikrobłyskami.



Miłość jest determinacją, która pozwala plemnikowi wyprzedzić miliony innych, by wbić się w ścianę jaja. Miłość jest w podszepcie, który mówi matce, by pozwoliła Ci tam zostać, dała przestrzeń własnego łona, gdzie z niebytu się stಾನiesz. Wiesz, że mogła nie dać. Z różnych powodów. Czasem matka sama nie

rozumie, dlaczego się decyduje. Miłość jest w precyzji tego stawania się, w namnażaniu się komórek Twojego ciała. Miłość pozwala Ci przetrwać, nie rozpaść się, gdy jako dziecko nie umiesz pojąć rozmiarów własnego cierpienia. Miłość podpowiada Ci sposoby na przetrwanie. Postaraj się nie pomylić tej miłości, o której teraz piszę, z tym co dawniej za nią brałaś, brałeś. Ta miłość jest jak cicha nuta – nie jesteś w stanie jej wysłyszeć, gdy orkiestra gra w pełnym składzie – ale jest, cały czas jest. Kiedy rodzice krzywdzą, to matka gra na puźonnie, a ojciec na kontrabasie. Nie o te dźwięki chodzi. Miłość brzmi inaczej.

Jest w radości, jaką czujesz w ciele, gdy zapominasz się w zabawie. Jest obecna w Twoim szczerym śmiechu. Miłość przez moment błyszczy, gdy jesteś z siebie dumna, dumny, kiedy nikt nie patrzy. Wtedy gdy widzisz coś pierwszy raz i wypełnia Cię zachwyty. Gdy stajesz we własnej obronie albo bronisz bezinteresownie kogoś. Gdy pokonujesz lęk, żeby spełnić marzenie. Miłość sprawia, że pewnego dnia postanawiasz żyć inaczej. Miłość scala Twoje połamane serce. Miłość to odwaga, by wybrać siebie. Miłość to decyzja, że poprosisz o pomoc.

Miłość kazała mi zająć się sobą. Miłość szeptała, że chcę żyć, gdy głowa chciała życie brutalnie zakończyć. Miłość sprawiła, że spoglądając w przeszłość, po raz pierwszy zobaczyłam w sobie dzielną dziewczynę, a nie ofiarę. Miłość pomogła mi wielokrotnie szczerze wybaczyć.

Miłość pozwala nam widzieć ludzi przez ich warstwy ochronne. Miłość wybuchła w oszołomieniu naturą, ona nas z nią zrównuje. Miłość mówi, że trudne minie, i nie kłamie. Miłość mówi Ci, że chcesz zostawić nałóg, trzyma Cię, gdy dygoczesz, gdy powtarzasz sobie: Dziś się nie napiję, dziś się nie naćpam. Miłość mówi w Tobie Twoim głosem: Nie poddam się albo: Nie szkodzi, spróbuję jeszcze raz. Miłość daje Ci siłę do walki o zdrowie, gdy inni twierdzą, że szanse są niewielkie.

Miłość w relacji nie ma oczekiwań, nie żąda dowodów. Jest łagodna i cierpliwa. Miłość sprawia, że wyrzucasz smycz, puszczasz tego, kogo kochasz, wolno. Nie czekasz na zwrot, rewanż, nie licytujesz się, kto dał więcej, kto się bardziej stara. Nie prowadzisz dziennika zasług ani książki przewinień. Mówisz prawdę, prawdę przyjmujesz. Nie karzesz, nie śledzisz, nie węsyzysz, bo miłość sprawia, że ufasz. Nie obrazasz się. Dzięki miłości potrafisz to wszystko robić naturalnie, bezwysiłkowo.

Miłość pozwala Ci rozpoznać wartość TERAZ. Miłość to moment, gdy decydujesz się położyć na życiu jak na powierzchni wody i dajesz się nieść. Miłość to spokój w ciele nawet pośród zamętu. Czucie życia w bezruchu. To zrozumienie na głębokim poziomie prawdy, że wszystko jest nietrwałe. Wszystko z wyjątkiem MIŁOŚCI.

Miłość to pełna świadomość, że rzeczy, ludzie są, jacy są, a brak akceptacji wynika jedynie z percepcji. Miłość sprawia, że patrzysz i nie masz najmniejszej potrzeby dobierania słów do obrazu.

Miłość zrównuje wszystkich zupełnie jak śmierć.

Jeśli to czytasz, to wiem, że jesteś gdzieś teraz obecna, obecny w ciele. Jesteśmy tu i teraz razem. Myślę w tej chwili o Tobie, myślę ze wzruszeniem, ciepło. Odbieram Cię mimo odległości. Nie wiem, jak wyglądasz, nie wiem, czym się zajmujesz. To nie ma znaczenia. Jesteś jak ja, zamknięta, zamknięty w swoim ciele łażiku. Chcę Ci powiedzieć, że znam i rozumiem Twój lęk, złość, smutek, żal, rozczarowanie, gniew, frustrację, rozpacz, zniechęcenie, bezradność, wstyd. Tak bardzo Cię czuję i rozumiem. Wiem, że Ty mnie też. Szczegóły naszych doświadczeń nie są istotne, liczą się tylko blizny, osad, korozja, które po doświadczeniach zostały.

Kłaniam Ci się teraz nisko. Kocham Cię. Nie musisz odpowiadać.

Spis treści

Zakochanie
Obsesja
Pożądanie
Pocałunek
Dotyk
Dowód miłości
Mieszkanie
Oczekiwania
Wyobrażenia
Wstrzemięźliwość
Zazdrość
Kocham wszystko
Rozmowa
Używki
Nuda
Rozstanie
Lajki
Platonicznie
Autentyczność
Wstyd
Fantazje
Soloseks
Samokontrola
Prawda, kłamstwo
Bogumił i Barbara
Miłość własna
Seks

Miłość

Karta redakcyjna

Ilustracje i projekt graficzny okładki i wnętrza
Patrycja Niewiadomska

Przygotowanie okładki do druku
Karolina Żelazińska

Zdjęcie Autorki na okładce
Piotr Porębski

Redaktor prowadząca
Monika Koch

Redakcja
Anna Rydzewska

Korekta
Teresa Zielińska
Justyna Domagała

Copyright © by Katarzyna Nosowska, 2023
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2023

ISBN 978-83-8032-990-4



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Wiertnicza 36
02-952 Warszawa

Odwiedź
nas na 

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)